



**DARLENE GRAHAM**

---



*Pełnia księżyc*

# *Rozdział 1*

Wszystkiemu winna była pełnia; nikt nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Upiąwszy swe długie, gęste włosy pod zielonym czepkiem, doktor Danielle Goodlove przystąpiła do szorowania rąk antyseptycznym mydłem. To wprost nie do wiary, pomyślała, że filmowcom i kinomanom srebrzysta tarcza księżycy kojarzy się z romantycznym nastrojem.

Romantyczny nastrój? Ha!

Na oddziale położniczym lekarze i pielęgniarki od dawna wiedzieli, że ilekroć stary księżyc zwracał ku pogrążonej we śnie, niczego nie podejrzewającej Ziemi swoją okrągłą, pyzată buziuchną, rozpętywało się piekło.

Bo dlaczego takie rzeczy jak nagła konieczność wykonania cesarskiego cięcia, aby uratować życie dziecka - ba! czasem też życie matki - zawsze zdarzały się podczas pełni?

Uważając, by niczego nie dotknąć mokrymi rękoma, Danni trąciła kolaniem dźwignię odcinającą dopływ wody, a następnie skierowała się w stronę sali porodowej. Dobiegający ze środka krzyk kobiety sprawił, że ostatnie metry pokonała niemal biegiem. Pchnąwszy biodrem ciężkie drzwi, zawołała:

- Tętno płodu?

Pielęgniarka spojrzała na stojący obok supernowoczesny monitor i przekreśliła gałkę, aby wzmocnić dźwięk.

- Sześćdziesiąt dwa, trzy! - odparła.

W sali rozlegał się jedynie przerażająco rzadki odgłos uderzeń serca. Druga pielęgniarka podbiegła do Danni, aby sterylnym ręcznikiem wytrzeć jej ręce, trzecia czekała już z fartuchem chirurgicznym, a czwarta, nie tracąc czasu, ściszone głosem opowiadała, co się stało:

- Koszmarna sytuacja. Wybuchł pożar, w przyczepie była cała rodzina. Ojciec, matka, dwoje dzieci. Przerażonej kobiecie odeszły wody...

- Kiedy? - spytała Danni.

Dziewczyna przeniosła wzrok na duży zegar wiszący na wyłożonej kafelkami ścianie porodówki.

- Tuż przed północą, jakieś pół godziny temu. Mamy do czynienia z wypadnięciem pępowiny i stanem zagrożenia płodu.

- Słyszę - powiedziała Danni.

Fale ultradźwiękowe, przetworzone na sygnały elektryczne, były coraz słabsze.

Pielęgniarka z ręcznikiem skończyła wycierać Danni ręce i szybko odeszła na bok, a druga pomagała jej włożyć fartuch, podczas gdy trzecia, nie przerywając relacji, poprawiała jej na nosie okulary, które zaczęły się zsuwać.

- Matka, zorientowawszy się, że dzieci zostały w środku, rzuciła się do przyczepy. Jeden ze strażaków siłą ją stamtąd wyciągnął, a potem zaczął szukać maluchów. Do ojca dzieci niewiele docierało. Był pijany, prawdopodobnie to on zaproszył ogień. Policja zabrała go na komendę. Kobieta jest w trzydziestym czwartym tygodniu ciąży. Nie była pod opieką żadnego ginekologa. Nic nie wiemy o dotychczasowym przebiegu ciąży. Musi pani zdać się na intuicję.

Danni skinęła głową, wsuwając jednocześnie ręce w rękawiczki chirurgiczne, z którymi czekała pierwsza pielęgniarka. Następnie podeszła do stołu operacyjnego.

Pacjentka już nie krzyczała. Leżała teraz bez ruchu, przeraźliwie blada i milcząca. Oczy miała zamknięte, twarz gdzieś tam pobrudzoną, brwi i włosy osmalone. Czując, jak ktoś poprawia prześcieradło, którym była okryta, uniosła powieki. Kiedy zobaczyła stojącą obok Danni, usiłowała powiedzieć coś pomimo maski na ustach, po czym wysunęła spod prześcieradła czarną od sadzy rękę. Widząc, że pacjentka zamierza chwycić Danni za łokieć, a tym samym skazić jej sterylnie czysty fartuch, jedna z pielęgniarek ujęła brudną rękę i wsunęła ją z powrotem pod prześcieradło.

- Proszę się nie martwić - powiedziała Danni, pochylając się nad zasypiającą już pacjentką. - Zaraz wydostaniemy pani dziecko. Wszystko będzie dobrze.

Wyciągnęła rękę po skalpel i popatrzyła pytająco na anestezjologa. Ten wyregulował dopływ podtlenku azotu i skinął przyzwalająco głową.

- W porządku, zaczynamy - oznajmiła Danni. Ustawiła nóż we właściwej pozycji i wykonała pierwsze cięcie.

Doktor Danielle Goodlove była znana z umiejętności podejmowania błyskawicznych decyzji i szybkości, z jaką w nagłych wypadkach potrafiła przeprowadzać najbardziej skomplikowane operacje. W sali operacyjnej szpitala Świętego Krzyża, jednego z najlepszych szpitali w Tulsie, wszyscy pracowali w skupieniu, starając się dotrzymać jej tempa. Sześć minut od powzięcia decyzji o cesarskim cięciu do wydobycia dziecka z brzucha matki - na ogół tyle to trwało.

W tym zawodzie, żeby pomóc pacjentce, czasem trzeba było zadać jej ból. Niekiedy pacjentka krzyczała, niekiedy płakała, czasem zaciskała zęby. Innym lekarzom przeszkadzało to w pracy, ale nie Danni. Już jako nastolatka nauczyła się ignorować emocje i koncentrować na celu, który chciała osiągnąć. Nauczyła się tego niejako wbrew sobie, na skutek tragedii, jaka się wydarzyła w jej rodzinie, tragedii, o której nie lubiła mówić ani nawet myśleć. Ta niebywała zdolność skupienia się na pracy przydawała się zwłaszcza podczas pełni.

Zawsze wtedy, gdy na niebie świecił wielki i okrągły księżyc, Danni chcąc nie chcąc myślała o Lizie. Właśnie w taką noc zginęła Liza. Liza i jej nie narodzone dziecko.

Dzisiaj dziecko zostało uratowane - w porę wyjęto je z brzucha matki, uwolniono od zaciskającej się wokół niego pętli. Od chwili pierwszego precyzyjnego cięcia do momentu, gdy wierzgający nogami noworodek trafił do inkubatora, minęło zaledwie dziewięćdziesiąt sekund.

Danni była spokojna i opanowana, na jej czole nie pojawiła się ani jedna kropelka potu, ale reszta zespołu operacyjnego odetchnęła z ulgą, kiedy małym pacjentem zajął się zespół pediatryczny, a w rogu sali rozległ się cichy płacz. Danni zdawała się nie dostrzegać ogólnego odprężenia. Nigdy nie pozwalała sobie na najmniejsze emocje podczas przyjmowania porodu, dziś jednak coś czuła. Tak, słysząc przybierający na sile płacz dziecka, czuła jakieś dziwne klucie w sercu.

Nagły trzask otwieranych drzwi sprawił, że wszyscy drgnęli i odwrócili się gwałtownie. Do środka wpadła zdyszana recepcjonistka. Twarz miała zasłoniętą papierową maseczką, a oczy wielkie i wystraszone.

- Doktor Goodlove! - wysapała z trudem. - Doktor Stone szaleje w izbie przyjęć. Powiedział, żeby pani czym prędzej skończyła cesarkę i zeszła na ostry dyżur. Co chwila mamy rodzącą.

- Nic dziwnego - westchnął ktoś za plecami Danni. - Pełnia księżyc.

Recepcjonistka przyłożyła rękę do piersi, jakby chciała uspokoić szybko bijące serce, po czym kątem oka dostrzegła niemowlę.

- Udało się? Żyje? - spytała.

- Żyje i krzyczy wniebogłosy. Jest cudowny! - odrzekła pielęgniarka z oddziału pediatrycznego.

Recepcjonistka spojrzała na leżącą na stole operacyjnym, nieprzytomną kobietę.

- Słuchajcie, ten ranny strażak, który ją uratował... - zawiesiła głos.

Strażak nikogo nie zainteresował; wszyscy byli zajęci swoimi sprawami.

- Cooper mówi, że facet wygląda jak Tom Selleck - dokończyła niezrażona.

Danni posłała dziewczynie karcące spojrzenie.

- Proszę wrócić do Stone'a i powiedzieć mu, żeby się nie pieklił. Przyjdę do niego, kiedy tu skończę.

Gdy zeszła na ostry dyżur, na moment zatrzymała się w korytarzu i spojrzała przez szybę na dwa małe ciała leżące obok siebie. Krzątający się po sali lekarze zasłaniali jej widok, ale wiedziała, że sytuacja nie wygląda dobrze. Lekarze zachowywali się bardzo cicho, a taka dzwoniąca w uszach cisza zwykle oznacza, że sprawa jest beznadziejna.

Jak przekazać matce tak straszną wiadomość?

Zamieszanie nieopodał na korytarzu sprawiło, że obejrzała się za siebie.

Dwie pielęgniarki i sanitariusz próbowali uspokoić leżącego na łóżku wysokiego mężczyznę, który koniecznie chciał wstać. Mężczyzna miał świeżo obandażowane ramię, przykryte kompresami z lodu. Patrząc na jego strój - poplamioną krwią koszulę, spodnie od kombinezonu i strażackie buty ochronne - Danni domyśliła się, że facet jest tym strażakiem, o którym mówiła recepcjonistka. Tym, który rzucił się do płonącej przyczepy, żeby ratować dzieci. Teraz usiłował stanąć na nogi; jedną ręką odepchnął od siebie krzepkiego sanitariusza, a drugą zerwał z twarzy maskę tlenową.

Recepcjonistka nie miała racji, przemknęło Danni przez myśl, kiedy ruszyła na pomoc pracownikom szpitala. Ten człowiek wcale nie wygląda jak Tom Selleck. Twarz miał wykrzywioną z wściekłości, a oczy płonęły mu tak dzikim blaskiem, że trudno było go nawet nazwać przystojnym.

- Puśćcie mnie! Chcę je zobaczyć! - krzyczał, odpychając od siebie ręce pielęgniarki. - Do jasnej cholery, chcę zobaczyć, czy dzieciaki są całe i zdrowe!

Jeden z jego kolegów, czarnoskóry mężczyzna w stroju strażaka, choć bez kasku, podbiegł do łóżka.

- Nie wygłupiaj się, Matt - powiedział, usiłując uspokoić poparzonego mężczyznę. - Potrzebujesz tlenu.

Nasunął mu z powrotem na twarz maskę, po czym z całej siły zaczął na niego napierać, próbując zmusić go, aby się położył.

- Co dostał? - spytała Danni jedną z pielęgniarek, a kiedy uzyskała odpowiedź, rzuciła szybko: - Proszę mi natychmiast przynieść ativan.

Zanim jeszcze Danni skończyła mówić, inna pielęgniarka, przewidując jej polecenie, pobiegła po środek uspokajający. Po chwili Danni miała w ręku strzykawkę.

- Niech go pan przytrzyma - zwróciła się do czarnoskórego strażaka.

Pacjent walczył jak lew, raz po raz wykrzykując, że chce zobaczyć maluchy, które wyciągnął z płonącej przyczepy. Danni z trudem wbiła mu igłę w żyłę. Kiedy wreszcie ranny strażak westchnął głęboko i stracił przytomność, Murzyn puścił go i wyprostował się.

- Proszę się na niego nie gniewać - zwrócił się do Danni. Nagle głos mu zdrzął. - Matt wyciągał zabitych i rannych spod gruzów w Oklahomie. Dziś, kiedy wydobywał te dzieciaki z pożaru, pewnie odżyły w nim tamte wspomnienia. Wciąż nie potrafi się z nich otrząsnąć.

Spod gruzów w Oklahomie... Mieszkańcom tego stanu nie trzeba nic więcej tłumaczyć. Wszyscy pamiętają straszną tragedię sprzed paru lat: wysadzenie w powietrze wielopiętrowego budynku, dziesiątki rannych i zabitych, rozpacz rodzin, szok.

Danni skinęła głową. Kiedy tak stała na korytarzu, odprowadzając wzrokiem rannego strażaka, który rzucał się nieprzytomny z boku na bok, poczuła, jak łzy napływają jej do oczu.

Biedak! Tyle czasu minęło od tamtego aktu terroryzmu, tak okrutnego i bezsensownego, a wiele osób nadal cierpiało, nadal odczuwało skutki tej katastrofy.

- Matt to naprawdę porządny i sympatyczny facet - kontynuował za jej plecami czarnoskóry strażak. - Zajmie się pani jego ręką?

Danni odwróciła się i popatrzyła na mówiącego. Był całkiem przystojny - mimo niehumanicznego zmęczenia, które malowało się na jego twarzy.

- Nie - odparła. - Jestem położnikiem, ale na pewno któryś z lekarzy na ostrym dyżurze...

Nim zdołała dokończyć zdanie, podbiegła do niej zdenerwowana pielęgniarka.

- Pani doktor, błagam! - zawołała, chwytając Danni za rękaw fartucha i ciągnąc w stronę pomieszczenia, gdzie na pięciu łóżkach leżało pięć kobiet z wielkimi brzuchami.

Na widok pięciu jednocześnie rodzących Danni aż jęknęła.

- U wszystkich poród się zaczął. - Pielęgniarka podała Danni karty pacjentek. - Stone powiedział, że pani się tym zajmie.

- Proszę, proszę. Czyżby stary znów wystawiał mnie na jakąś próbę?

- Znów? On cały czas to robi. Ze wszystkimi. - Oprócz kart pielęgniarka podała Danni sondę oraz tubkę niebieskawego żelu. - Ale proszę się nie martwić. Udało nam się wreszcie zlokalizować doktora Bryanta. Podobno zepsuł mu się pager.

Danni wzniosła oczy do nieba.

- Hura, hura! Będę miała do pomocy Bryanta.

Bryant był jeszcze trudniejszy we współpracy niż Stone. Kenneth Stone przynajmniej sprawnie zarządzał szpitalem i mimo nadmiernej pewności siebie nie usiłował zawsze w każdej sytuacji okazać się najlepszy. Bryant natomiast wszystkich traktował jak konkurentów i rywali. Choć był zaledwie o rok czy dwa starszy od Danni, uważał, że ma znacznie większe od niej doświadczenie, a co za tym idzie - wiedzę.

Po chwili drzwi się otworzyły i Bryant wpadł do środka z miną zbawcy, który przybywa na ratunek chorym i umierającym. Ignorując go, Danni poczekała, aż pielęgniarka wyjaśni mu, co się dzieje.

Przez godzinę pracowali bez wytchnienia, badając pacjentki i kierując je na oddział położniczy.

- No dobrze, ruszam na górę - oznajmił w końcu Bryant. Widać było, że chce czym prędzej uciec od chaosu panującego na ostrym dyżurze. Przeczesując palcami swoje rzadkie, jasnoblond włosy, skierował się do windy. - A ty, moja droga - powiedział, zwracając się do Danni - powinnaś odpocząć. Wyglądasz koszmarnie.

- Ojej, ojej! - Danni złapała się za głowę. - Wyglądam koszmarnie! Kto by pomyślał?

Spojrzała porozumiewawczo na swoją najlepszą przyjaciółkę i jedną z najlepszych pielęgniarek w całym szpitalu, Carol Hollis, która pojawiła się znienacka na ostrym dyżurze.

- No właśnie, kto by pomyślał! - Carol z kamienną twarzą rozejrzała się wkoło, po czym, zanim za Bryantem zasunęły się drzwi windy, rzuciła głośniejszym głosem: - A może cztery porody i dwa cesarskie cięcia miały na to wpływ? Jak sądzisz?

Drzwi zamknęły się z cichym sykiem. Doktor Roger Bryant znikł z pola widzenia.

- Palant! - mruknęła pod nosem Carol, wskazując kciukiem na windę. - Ale niestety palant nie poradzi sobie z tym, na co się zanosi na górze - dodała, spoglądając na Danni.

- A na co się zanosi?

- Na kolejną cesarkę.

- Kiedy?

- Mniej więcej za godzinę. Dlatego tu zeszlłam. Żeby cię odnaleźć.

Danni uniosła rękę, jakby chciała zaprotestować.

- Dobrze, ale najpierw muszę coś zjeść, bo inaczej padnę z głodu.

Przeszły do małego bufetu na końcu korytarza. Ledwo zdążyły usiąść przy stoliku, kiedy drzwi się otworzyły i ukazała się w nich głowa w pielęgniarskim czepku.



- Pani doktor, zanim wróci pani na położnictwo, czy mogłaby pani na chwilę zajrzeć do strażaka?

Danni wypła łyk mleka prosto z kartonu, po czym potarła ręką kark.

- Do strażaka? Do jakiego strażaka, na miłość boską?

- No, tego, co wyciągnął bliźniaki z przyczepy. Facet czeka już ponad godzinę. Przydałoby mu się znów osłuchać płuca, poza tym ma paskudną ranę, którą trzeba zszyć. - Pielęgniarka wzruszyła bezradnie ramionami, po czym przesunęła wzrokiem po tacce z narzędziami, którą trzymała w ręku. - Po prostu nie nadażamy. Panuje taki ścisk, że musieliśmy umieścić biedaka w magazynie. Mogłaby pani się nim zająć?

- Pomogę ci, Danni - zaoferowała szybko Carol. - Niech przez chwilę Bryant sam sobie radzi na górze.

Danni westchnęła znużona. Czy ta noc nigdy się nie skończy?

- W porządku. - Wstała i przytknąwszy do ust karton mleka, opróżniła go do końca. - Idziemy.

## *Rozdział 2*

Nawet bez łóżka, na którym leżał wysoki potężnie zbudowany mężczyzna, magazyn był ciasnym, zagraconym pomieszczeniem. Z łóżkiem był klitką, w której nie sposób było się swobodnie poruszać.

W świetle syczącej jarzeniówki Danni przyjrzała się pacjentowi. Leżał nieprzytomny, z nasuniętą na twarz maską podłączoną do aparatu tlenowego, przykryty cienkim kocem. Po podłodze wałało się kilka plastikowych kubeczków; przynajmniej biedakowi dano wodę do picia. Opatrunek i kompres okrywający ramię były przesiąknięte krwią, zawieszona nad drugim ramieniem kroplówka była już prawie pusta.

Wstyd, pomyślała Danni. Ten człowiek dokonał bohaterskiego czynu. Wyciągnął z płomieni dwójkę dzieci, a my go upychamy w magazynie!

Sięgnęła po wetkniętą pod róg materaca kartę choroby i zaczęła czytać.

Matthew Creed, lat trzydzieści sześć. Oprócz ativanu dostał w kroplówce potężną dawkę demerolu. Na ramieniu miał oparzenia trzeciego stopnia oraz głębokie rany od szkła.

Ponieważ strażacy mają bezpośredni kontakt z ogniem, lekarze zawsze się obawiają o ich płuca. Na szczęście ze wstępnych badań wynikało, że płuca Matthew Creeda nie ucierpiały podczas akcji ratowniczej.

Przyglądając się bacznie twarzy pacjenta, Danni doszła do wniosku, że może jednak recepcjonistka, która porównała go do Toma Sellecka, tak bardzo się nie pomyliła. Mężczyzna niewątpliwie był przystojny. Wprawdzie miał mocno spuchnięte powieki, co odnotowała w karcie, ale za to tak długich, gęstych rzęs mogłaby mu pozazdrościć niejedna modelka. Widoczną pod maską skórę na brodzie i policzkach pokrywał silny, jednodniowy zarost.

Czarne, krótko przystrzyżone włosy były zaczesane do góry. Czoło znaczyła czerwona ni to zmarszczka, ni to fałda pozostawiona przez ciasną gumę przytrzymującą kask. Najwyraźniej pacjent nie odniósł żadnych obrażeń głowy. Danni zanotowała w karcie swoje spostrzeżenia.

Po chwili, podawszy kartę Carol, odwinęła koc, by kontynuować badanie.

- Olala! - zawołała Carol.

Danni posłała jej spojrzenie pełne dezaprobaty. Pielęgniarka zupełnie się tym nie przejęła.

- Olala! - powtórzyła cicho i zaczęła przygotowywać igłę i nici do nałożenia szwów. - Aż się cała spociłam. Przydałoby mi się coś na ochłodę.

- Kubel zimnej wody - burknęła Danni.

Chociaż nie pochwałała nieprofesjonalnego zachowania przyjaciółki, wcale się jej nie dziwiła. Pacjent był nagi do pasa. Tors miał opalony na brąz i wspaniale umięśniony.

- Sprawdź, czy w karcie podano wagę...

Przypuszczalnie ważył sporo więcej, niż mogło się wydawać. Chciała się upewnić, czy podano mu dostateczną ilość środka przeciwbólowego.

- Dziewięćdziesiąt siedem kilo - przeczytała Carol. Danni skinęła głową; uważnie, bez słowa, wpatrywała się w nieprzytomnego mężczyznę, szukając na jego ciele ran, niewidocznych na pierwszy rzut oka obrażeń czy urazów.

No dobrze, najwyższy czas urządzić mu pobudkę. A kiedy się zbudzi, poprosić o zdjęcie spodni i butów; bądź co bądź powinna zbadać go całego. Delikatnie uniosła brzeg opatrunku okrywającego zranione ramię.

- Panie Creed? Żadnej reakcji.

- Matthew?

Postanowiła zmierzyć pacjentowi tętno. Spoglądając na zegarek, wyciągnęła rękę i nagle natknęła się na spłowiałą czerwoną bandanę, którą mężczyzna miał zawiązaną na zdrowym nadgarstku. Zdziwiła się, że strażakowi nie usunięto chustki, kiedy podłączano go do kroplówki. Szybko wsunęła palec pod węzeł i poprosiła Carol o nożyczki.

W tym momencie pacjent się ocknął i chorą ręką chwycił Danni za nadgarstek.

- Zostaw! - powiedział z trudem. Jego głos brzmiał sucho, ochryple.

Maskę miał lekko zaparowaną, klatka piersiowa mu falowała, poza tym jednak leżał bez ruchu, trzymając nadgarstek Danni w żelaznym uścisku. Zwróciwszy uwagę na rozgrzaną dłoń mężczyzny, Danni pomyślała sobie, że należy ponownie zmierzyć mu temperaturę. A nuż ma gorączkę? Zaczęła się też zastanawiać, dlaczego kręci się jej w głowie. Ze zmęczenia? Z głodu? Z jakiegoś innego powodu?

- Panie Creed - rzekła, usiłując uwolnić rękę. - Muszę panu zdjąć tę chustkę, żebym mogła pana dokładnie przebadać.

Błyskawicznie cofnął dłoń i odsunął ją w bok, aby nie mogła do niej sięgnąć. Jak na rannego miał niesamowicie szybki refleks.

Podniósł głowę, otworzył oczy i zsunął maskę.

- Powiedziałem, że chustka zostaje.

Wbiła wzrok w niebieskie oczy mężczyzny. Coś w jego spojrzeniu sprawiło, że przełknęła ślinę i odparła cicho:

- Oczywiście.

Oczy zamknęły się, głowa ponownie opadła na łóżko. Tym samym niskim głosem, który wcześniej przyprawił Danni o szybsze bicie serca, strażak mruknął coś,

potem, przyciskając brodę do klatki piersiowej, popatrzył wzdłuż swojego ciała na drzwi, które dzielił od jego stóp metr, może półtora.

- Gdzie ja jestem?

- Na ostrym dyżurze w szpitalu Świętego Krzyża.

- Tak? A pani to kto? Siostra oddziałowa?

- Nie. Jestem doktor Da... doktor Goodlove. To ja dałam panu wcześniej środek uspokajający.

- Tak?

- Tak. A teraz chciałabym zszyć panu ramię. Zerknął na ranę i jęknął cicho.

- W porządku. Niech pani szyje - powiedział tym swoim niskim głosem, który wprawiał ją w drzenie, po czym położył zdrową rękę na czole, zakrywając sobie oczy.

Carol przysunęła stojak z kroplówką.

- Co z tymi dziećmi? - spytał nagle. - Żyją?

Danni poczuła klucie w sercu. Pomimo maski tlenowej, która częściowo zasłaniała mu twarz, wyraźnie widziała, że strażak z trudem kontroluje emocje.

Wzięła głęboki oddech, starając się ukryć wzruszenie.

- Tak - odparła, bo dwie godziny temu jeszcze żyły, co nie znaczyło, że nadal żyją. - A ich matka leży na górze. Na oddziale położniczym.

- Na oddziale położniczym? - Odsłonił oczy i popatrzył na Danni z niedowierzaniem. - Jest w ciąży?

- Już nie. Urodziła wcześniaka. Sama zrobiłam jej cesarskie cięcie.

- Psiakość! - Strażak westchnął z zadowoleniem i zacisnął powieki.

- Niemowlę czuje się dobrze. A teraz muszę zająć się panem.

Pochyliła się nad pacjentem i przyłożywszy mu do klatki stetoskop, który co kilka sekund przesuwała w nowe miejsce, uważnie wsłuchiwała się w jego oddech.

- Wydaje się, że płuca są czyste - powiedziała do Carol.

Następnie przytknęła stetoskop do serca pacjenta i ponownie skupiła się na badaniu. Tętno miał przyśpieszone, prawdopodobnie na skutek stresu, ale regularne.

Skierowała spojrzenie na twarz mężczyzny. Obserwował ją jak... Sama nie wiedziała, jak kto. Tak czy inaczej śledził każdy jej ruch. Przebiegł ją dreszcz. Dziwne

to było uczucie wpatrywać się w niebieskie oczy, jednocześnie wsłuchując w bicie serca.

Wreszcie skończyła; wyjęła słuchawki z uszu, wyprostowała się i powiedziała:

- No dobrze. Teraz ramię...

Przysunęła do łóżka metalowy stołek. Podczas gdy pacjent z senną obojętnością przyglądał się wszystkiemu, co się wokół niego działo, Danni z pomocą Carol posmarowała maścią oparzone miejsca, sprawdziła, czy w ranie nie ma odłamków szkła lub innych obcych ciał, a wreszcie przystąpiła do szycia.

Wiedziała, że sprawia mu ból. Cały czas czekała na jakąś reakcję, lecz Matthew Creed ani razu nie syknął, nie jęknął, nie skrzywił się. Ilekroć zerkała w jego niebieskie oczy, przechodziły ją ciarki. Miała wrażenie, że wzrok mężczyzny przenika ją na wskroś.

Małe pomieszczenie, w którym się znajdowali, zdawało się jeszcze kurczyć. Danni czuła się niemal jak w grobowcu. Była spięta. W dodatku ilekroć mężczyzna wykonywał najmniejszy ruch - unosił kolano albo głębiej oddychał - zaciskała palce na narzędziach, jakby się bała, że je upuści.

Carol zachowywała się bardzo dziwnie, co nie wpływało na rozładowanie napięcia. Podawała wszystko z przesadną gorliwością, głosem pełnym szacunku zwracała się do Danni „pani doktor”, cały czas posługiwała się żargonem medycznym, zupełnie jakby chory był poddawany skomplikowanej operacji mózgu.

- Zszywa pana prawdziwa mistrzyni. Nasza najlepsza krawcowa - oznajmiła w pewnym momencie, próbując pocieszyć leżącego.

Danni miała ochotę zapaść się pod ziemię. Domyśliła się, do czego Carol zmierza. Po prostu przyjaciółka zauważyła, że strażak nie nosi obrączki. Boże, to straszne! Wszyscy ciągle usiłują ją wyswatać. Ale co innego samotny mężczyzna, a co innego półprzytomny pacjent!

- Mówi siostra, że najlepsza, tak? - Strażak odwrócił głowę i mrugnął porozumiewawczo do Danni.

- Zdecydowanie najlepsza - odrzekła Carol. Pytanie mężczyzny wyraźnie ją ośmieliło. - Doktor Goodlove... wszyscy w szpitalu mówimy na nią doktor Danni... tak pięknie zszyje panu ramię, że nie zostanie nawet blizna.

Danni raz po raz posyłała przyjaciółce mordercze spojrzenie, ale wszystko wskazywało na to, że pacjent doskonale się bawi. Uśmiechnął się leniwie.

- Szkoda - powiedział. - Liczyłem na wielką szramę, którą mógłbym się pochwalić kolegom z pracy.

- Przykro mi. - Carol nie zamykały się usta. - Nasza doktor Danni nie zostawia szram. Ma niesamowicie zręczne palce. Jak doświadczona hafciarka.

Danni pochyliła głowę; pracowała w skupieniu, modląc się o to, aby Carol wreszcie zamilkła.

- Długo już pracuje w szpitalu? - spytał Matthew Creed. - Bo wygląda bardzo młodo.

Danni oblała się rumieńcem, czując na sobie uważny wzrok mężczyzny. Co miała powiedzieć? Rozmawiajcie sobie, kochani, rozmawiajcie? Mną się nie przejmujcie? Ja tu tylko zszywam rany?

- Mniej więcej dziesięć lat - odparła Carol. - Medycyna to całe jej życie. Wreszcie Danni nie wytrzymała.

- Siostro Hollis! Sądzę, że pacjent byłby wdzięczny za łyk zimnej wody! Carol, wiedząc, że wystawiła cierpliwość przyjaciółki na ciężką próbę, spłoszyła, po czym odwróciła się i pośpiesznie opuściła magazyn.

Nagle pacjent wydał się Danni zbyt rzeński, zbyt przytomny. Lepiej czuła się przy nim, gdy leżał na wół zamroczony środkiem przeciwbólowym.

Skończywszy zszywać rozcięcie, posmarowała ranę środkiem przyspieszającym gojenie, a następnie założyła sterylny opatrunek. Strażak nie odrywał od niej oczu. Obserwował ją jak... Jak mężczyzna, który pożera wzrokiem ładną kobietę. Tylko że Danni nigdy nie uważała się za ładną.

Wzięła z tacy szeroki bandaż i zaczęła owijać go wokół zszytego ramienia. W pewnym momencie mężczyzna chrząknął i zdrową ręką całkiem odsunął z twarzy maskę.

- Dziękuję za pozostawienie mi chustki - rzekł cicho. Widząc wyraz powagi malujący się w jego oczach, Danni domyśliła się, że zawiązana na nadgarstku bandana ma dla niego jakieś szczególne znaczenie. Ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, mężczyzna odwrócił głowę.

- A także za piękny szew - dodał po chwili.
- Nie ma o czym mówić. - Zaczęła odwijać z rolki plaster i ciąć go na kawałki.
- Tylko w przyszłości radzę bardziej na siebie uważać.
- Jeśli będę uważał, to więcej pani nie zobaczę. Kiepsko na tym wyjdę.

Przerwała pracę i spojrzała mu w oczy. Tak, tym razem nie miała wątpliwości. Patrzył na nią z wyraźnym zainteresowaniem, w dodatku próbował z nią flirtować! Ponieważ zdjął maskę, nic nie zasłaniało jego ust. Były kształtne. Pełne. Pięknie wykrojone. Powoli rozciągnęły się w lekkim, szelmowskim uśmiechu.

Danni zaczerwieniła się i drżącymi palcami przyczepiła do bandaża pocięte kawałki plastra.

Mężczyzna sprawiał wrażenie całkiem odprężonego. Zdrową rękę wsunął sobie pod głowę. Danni zobaczyła pachę porośniętą gęstwiną czarnych włosów.

Nagle przypomniała się jej inna scena. Kilka miesięcy temu obie z Carol zostały ściągnięte na ostry dyżur, żeby pozszywać rannych nastolatków, którzy brali udział w wielkiej wojnie gangów. Jeden z chłopców tak strasznie cuchnął potem, że Carol wsadziła mu pod pachy nasączone alkoholem kłęby waty i zabroniła je wyjmować. Z kamienną twarzą oznajmiła, że taki okład stanowi nieodzowną część kuracji.

Na wspomnienie tego Danni poczuła, jak ogarnia ją śmiech. Śmiech, który w obecnej sytuacji był zupełnie nie na miejscu.

Uspokój się! Weź się w garść! - mówiła do siebie. Usiłowała powstrzymać chichot, który podchodził jej do gardła. Schyliła się, udając, że szuka czegoś na podłodze, ale śmiech wstrząsał całym jej ciałem; ramiona się jej trzęsły, łzy płynęły z oczu. Nie była w stanie się opanować. Przez moment zastanawiała się, czy przypadkiem na którejś półce nie stoi uszkodzony zbiornik z ulatniającym się podtlenkiem azotu, lecz nawet ta niepokojąca myśl wcale nie wpłynęła na nią otrzeźwiająco.

Wtem usłyszała nad sobą poważny męski głos:

- Nic pani nie jest?

Chciała odpowiedzieć, że nie. Otworzyła usta, ale to był błąd. Znow zaczęła trząść się ze śmiechu. Wreszcie usiadła prosto, bo z głową spuszczoną w dół nie miała

jak oddychać, i resztką sił odepchnęła stołek od łóżka i leżącego na nim mężczyzny, który wpatrywał się w nią nic nie rozumiejącymi oczami.

Danni, weź się w garść!

Naprawdę chciała. Naprawdę próbowała.

Na próżno.

Oparłszy się o szafkę z medykamentami, krztusiła się ze śmiechu, aż łzy płynęły jej po policzkach. Jedną ręką trzymała się za brzuch, drugą machała, jakby chciała powiedzieć, że przeprasza, że prosi o chwilę cierpliwości, że zaraz wyjaśni swoje bezsensowne zachowanie.

- Co pani tu widzi śmiesznego? - spytał mężczyzna. Minę miał poważną niczym sędzieja prowadzący rozprawę.

Nic, odpowiedziała w myślach Danni. Nic a nic! I w tym cały problem!

W dalszym ciągu nie mogła opanować wesołości. Nagle przyszło jej do głowy, że pewnie ten biedny poparzony człowiek ma ją za wariatkę, która wdarła się do szpitala, ukradła komuś fartuch i teraz krąży po korytarzu, udając lekarkę. Na samą tę myśl ponownie zatrzęsała się ze śmiechu.

Strażak wsparł się na zdrowym łokciu; przyglądał się jej z tak wielkim zatroskaniem w oczach, że za każdym razem, kiedy napotykała jego wzrok, chcąc mu wytłumaczyć, że jej dziwne zachowanie jest po prostu reakcją na potworne zmęczenie, znów dostawała ataku śmiechu. Brzuch ją bolał, a oczy miała zaczerwienione od łez.

W tej chwili do magazynu wróciła Carol z kubeczkiem wody. Danni wyrwała go przyjaciółce z ręki i wychyliła do dna.

Wreszcie chichot ustał.

Pielęgniarka, strofując Danni wzrokiem, podeszła do łóżka i pomogła pacjentowi usiąść. Mężczyzna spuścił nogi, po czym zdrową ręką pomacał chore ramię i napiął mięśnie. Widząc, jak Danni przygląda mu się znad plastikowego kubeczka, posłał jej porozumiewawczy uśmiech.

Strażacy i gliniarze! Diabelskie nasienie!

Carol wyciągnęła w stronę pacjenta koszulę szpitalną, którą dla niego przyniosła.



Danni odstawiała pusty kubeczek, po czym, westchnąwszy głęboko, ściągnęła z głowy czepek. Włosy opadły jej swobodnie na ramiona.

- Bardzo pana przepraszam - powiedziała, zwracając się do strażaka. Z kieszeni fartucha wyjęła gumową opaskę uciskową, zgarnęła do tyłu włosy i zawiązała je w koński ogon. - Mój śmiech był całkiem nie na miejscu. To reakcja na zmęczenie. - Wrzuciła kubeczek do stojącego pod ścianą kosza na śmieci. - Zaraz panu przyniosę wody...

- Nie trzeba. Nie chce mi się pić. A jeśli chodzi o zmęczenie, to rozumiem. - Minę miał jednak sceptyczną.

Pewnie uważa, że zwariowałam, pomyślała Danni. Że brak mi piątej klepki.

Carol, która bez słowa wiązała troki koszuli na plecach pacjenta, najwyraźniej też była tego zdania. Przynajmniej na to wskazywało spojrzenie, jakim zmierzyła przyjaciółkę.

Danni odetchnęła głęboko raz i drugi.

- Zostanie pan na noc na obserwacji, dobrze? - rzekła do mężczyzny.

Delikatnie przyciągnęła do siebie jego zranione ramię; zaczęła je ostrożnie obmacywać, zginać w łokciu, poruszać nadgarstkiem, palcami, sprawdzać, czy wszystko jest w porządku. Wiedziała, że policzki ma czerwone, na szczęście głos nie zdradzał jej zdenerwowania.

- Wszystko sprawnie funkcjonuje. Proszę mi powiedzieć, o co się pan tak pokaleczył?

- O drzwi, kiedy usiłowałem się przez nie przecisnąć.

- Unosząc brwi, spojrzał na swoje buty. - W końcu je wyważyłem. Koledzy się nie zorientowali...

- Rozumiem - szepnęła Danni, choć wcale nic nie rozumiała.

Domyślała się jedynie, że coś poszło nie tak podczas akcji ratowniczej, i przeniknął ją dreszcz. Wyobraziła sobie żar, huczące płomienie, odwagę strażaków oraz Matthew Creeda osłaniającego własnym ciałem dwójkę małych dzieci.

- A pod kombinezonem... - zaczęła - pod spodniami...

- Na moment zawahała się, po czym nieco inaczej sformułowała pytanie: - Nic pana nie boli? Nie ma pan żadnych ran na kolanach, na stopach?

- Nie, na pewno nie.

Kiedy mężczyzna odsłonił w uśmiechu rząd wspaniałych, śnieżnobiałych zębów, spostrzegła na jego twarzy dwa urocze dołeczki, identyczne jak u Toma Sellecka. Miał w sobie jeszcze coś, co ją pociągało, ale nie umiała tego nazwać. Coś nieokreślonego, nieuchwytnego.

- No dobrze. - Podniósłszy kartę pacjenta, Danni poprawiła okulary, które zsuwały się jej z nosa. - Trzeba dodać do kroplówki silny antybiotyk. Czy środek przeciwbólowy jeszcze działa?

- Owszem, działa. Jeszcze raz dziękuję za piękny szew. Zważywszy na pani zmęczenie, naprawdę doceniam czas, który mi pani poświęciła.

Głos miał spokojny, chłodny, ale spojrzenie tak ciepłe i ujmujące, że Danni poczuła, jak nogi się pod nią uginają.

- Bez przesady - mruknęła i ponownie zaczęła notować coś w karcie.

- Siostro... - strażak zwrócił się do Carol. - Czy na górę wolno mi przejść o własnych siłach?

- Obawiam się, że nie. Ktoś pana zawiezie na wózku.

- A czy moglibyśmy przejechać koło sali, w której leżą te bliźniaki? Chciałbym na nie rzucić okiem.

Danni wbiła wzrok w twarz mężczyzny. Przed chwilą założyła mu dwadzieścia kilka szwów, nieco wcześniej dostał końską dawkę środków przeciwbólowych i nasennych, więc powinien marzyć tylko o tym, aby zamknąć oczy i spać kamiennym snem do rana! A on zamiast o sobie myśli o dzieciakach, które wyciągnął z płonącej przyczepy. Tak, Matthew Creed jest doprawdy niezwykły.

Na górze, na oddziale położniczym, doktor Stone krążył z kąta w kąt niczym lis czyhający na ofiarę.

- Przykro mi, że zakłóciłem pani drzemkę, doktor Goodlove... - rzekł, kiedy tylko Danni i Carol wyszły z windy.

- Danni wcale nie spała - zaprotestowała pielęgniarka, natychmiast stając w obronie przyjaciółki. - Zszywała pacjenta...

Stone otworzył na chwilę drzwi, nachmurzył krzaczaste, rudawosiwe brwi, po czym wyszczerzył drobne, ostre ząbki, jakby chciał nimi chwycić Carol. Następnie odwrócił się do Danni i patrząc na nią znad okularów, oznajmił:

- Doktor Bryant powiedział mi, że postanowiła się pani zdrzemnąć.

- Co? - Skrzyżowawszy ręce na piersi, Danni uśmiechnęła się do przełożonego.

- Miałabym iść spać i przegapić ten cyrk, który od kilku godzin tu się odbywa? Stone nie raczył odpowiedzieć na jej uśmiech.

- Kilka pacjentek zaczęło rodzić. Zajmę się tymi w sali A, proszę iść robić cesarkę tym w sali B.

Danni skinęła głową. Nie spytała, choć bardzo ją korciło, gdzie się podziwia i komu poświęca swój cenny czas najwspanialszy i najmądrzejszy z nich wszystkich doktor Roger Bryant.

- O Boże! Mam nadzieję, że to już ostatnie - mruknęła Carol przez maskę zasłaniającą usta, kiedy Danni wyjęła kolejne dziecko z brzucha leżącej na stole kobiety i sprawdziwszy ilość gąbek, wacików i gaz, zaczęła zszywać nacięcie.

- Ostatnie, kochani. Ostatnie - rzekła Danni, wiążąc malutki supełek. - Wiercie mi, to wszystko przez ten cholerny księżyc. Zawsze podczas pełni ciężarne walą do nas drzwiami i oknami. Zlatują się jak muchy do miodu.

Rozległ się śmiech. Zespół operacyjny wreszcie się trochę odprężył. Maską Carol wydeła się; pielęgniarka westchnęła znużona. Danni popatrzyła na zaczerwienione oczy przyjaciółki.

- Jak tylko skończymy - rzekła cicho - masz natychmiast zdjąć fartuch i iść do domu.

- A ty? Też pójdziesz? - spytała Carol, sięgając do tacy po kleszczyki.

Wyraz jej twarzy dobitnie świadczył o tym, że nie zamierza zostawić Danni samej. Od trzech lat tak blisko z sobą współpracowały, że znały się naprawdę świetnie. Potrafiły odczytać każdy swój grymas, każde drgnienie powiek, każde wzruszenie ramion.

Danni nie odpowiedziała. Zaledwie od trzech lat prowadziła prywatną praktykę, a już powoli traciła cierpliwość. Wszystko coraz bardziej działało jej na nerwy. Nadmierna opiekuńczość Carol. Pełnia księżycyca. Dzieci.

Dzieci.

Dzieci.

Wyciągnęła rękę po narzędzie. Dłoń lekko zadrżała. Carol z zafascynowaniem w oczach zerknęła na przyjaciółkę, po czym wręczyła jej kleszczyki hemostatyczne.

Pod maską zasłaniającą połowę twarzy Danni zacisnęła gniewnie usta. Psiakość! Niech Carol da mi święty spokój. Niczego przed nią nie można ukryć. Każdego przeniknie na wylot. Patrzy na człowieka tymi wielkimi, brązowymi oczami, w których kryje się tyle zrozumienia. Cholera jasna! Dlaczego pielęgniarki zawsze są takie miłe, tak idiotycznie uprzejme, takie zrównoważone?

Skończywszy zszywać powłoki brzuszne pacjentki, Danni ściągnęła gumowe rękawiczki.

- No dobra. Idę się schować gdzieś w kącie. Jeśli zjawi się następna rodząca, proszę mnie obudzić, kiedy główka będzie już na wierzchu.

Szybkim krokiem ruszyła w stronę pokoju lekarskiego. Usłyszała, jak Carol prosi kogoś o zrobienie pacjentce opatrunku. Domyśliła się, że przyjaciółka zaraz podaży jej tropem.

Ledwo zamknęła za sobą drzwi, kiedy Carol pchnęła je energicznie i weszła do niewielkiego pokoiku, w którym lekarze pełniący dyżur mogli przez chwilę odpocząć. Danni akurat kładła się na kozetce.

- No dobra, o co chodzi? - spytała spokojnym tonem pielęgniarka i z półki nad szafkami zdjęła równo złożony koc. - Pomijając to, że od początku sierpnia mamy tu urwanie głowy, a teraz w dodatku jest pełnia księżyca... - Rozprostowała koc i okryła nim przyjaciółkę. - Pomijając też to, że dochodzi trzecia nad ranem, że dzisiejszej nocy odebrałaś cztery porody i wykonałaś trzy cesarskie cięcia i że założyłaś szwy na rękę tego Mister Universum...

Danni wysunęła spod przykrycia rękę, ściągnęła czepek, po czym zerwała gumową opaskę przytrzymującą włosy.

- Jeszcze nigdy nie widziałam cię w takim stanie - ciągnęła Carol. - Co cię, do diabła, napadło z tym śmiechem? Kompletnie zgłupiałaś przy tym strażaku!

Danni skrzywiła się na samo wspomnienie. Wciąż nie mieściło się jej w głowie, jak mogła zachować się tak nieprofesjonalnie.

- Ja? - oburzyła się i sama postanowiła zaatakować. - A ty to co?

- Ja? - spytała z kolei Carol, przybierając niewinny wyraz twarzy.

- Dobrze wiesz, o czym mówię - powiedziała Danni i naśladując głos przyjaciółki, dodała: - Zszywa pana prawdziwa mistrzyni, nasza najlepsza krawcowa.

- Przecież nie miałam nic złego na myśli. Rzadko się trafia taki przystojniak. W dodatku zauważyłam, że wpadłaś mu w oko. Ktoś cię musi pchnąć we właściwym kierunku, bo inaczej nigdy w życiu nie poznasz żadnego faceta. - Przyglądając się bacznie leżącej na kozetce przyjaciółce, również ściągnęła z głowy czepek i przeczesła palcami gęste, szpakowate loki. - Na miłość boską, Danni, co cię gryzie? Masz jakieś kłopoty?

- Nie. - Danielle Goodlove skuliła się pod kocem, po czym zrezygnowana westchnęła głośno. - Po prostu... Sama nie wiem.

Wiedziała jednak, doskonale wiedziała. Starając się stłumić w sobie emocje, nagle poczuła, jak łzy napływają jej do oczu.

Nie wygłupiaj się, Danni! - zbesztła się w duchu. Nie becz! Lada moment może się pojawić Stone. Jeszcze gotów pomyśleć, że nie wytrzymujesz napięcia.

- Przede mną nie musisz niczego udawać - oznajmiła Carol, po czym chwyciła stojące w rogu plastikowe krzeselko i przyciągnęła je do kozetki. - No dobra, mów.

- Chodzi o to, że... Mam wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłam. Świetną pracę, prywatną praktykę, wspaniały dom, psy, cudownego konia...

Więc skąd te łzy? - zadała sobie w duchu pytanie, które, jak podejrzewała, również cisnęło się na usta przyjaciółki.

Carol bez słowa podała jej papierową chusteczkę. Danni osuszyła oczy, wytarła nos.

- Nie jestem histeryczką. Rzadko zdarza mi się płakać. Ale dziś... sama nie wiem. Dziś każda głupia rzecz sprawia, że łzy ściskają mnie za gardło. Prawie się poryczałam, kiedy zeszłam na ostry dyżur i zobaczyłam tego strażaka.

Carol uśmiechnęła się rozbrajająco.

- Ja też, złotko. Ja też. Co za ciało!

- Nie. Wtedy kiedy dowiedziałam się, że brał udział w akcji ratowniczej po ataku terrorystycznym w Oklahomie. To mną jakoś wstrząsnęło.

Carol spoważniała.

- Serio? Brał w tym udział?

- Tak. Ale to tylko jeden drobny przykład. Wszystko mnie dzisiaj jakoś głębiej dotyka. Nie jestem sobą. Ten kretyński napad śmiechu... - Miętosła nerwowo w palcach chusteczkę.

- Chyba wiem, o co chodzi. To dziwnie zabrzmiało, ale myślę, że cały problem tkwi w... hormonach. W płodności. Carol uniosła brwi.

- W płodności - powtórzyła za przyjaciółką.

- Tak, w płodności. - Danni pociągnęła nosem. - Osiągnęłam wszystko, o czym marzyłam najpierw jako studentka medycyny, a potem jako stażystka ślaniająca się na nogach ze zmęczenia. Kłopot w tym, że miałam niezbyt wygórowane marzenia.

Kłopot w tym, że...

Oczy ponownie zaszyły jej łzami. Leżała, wpatrując się w sufit. Co, u licha, się z nią dzieje? Nie poznawała samej siebie.

Kiedy jednak poczuła, jak na jej prawej ręce zaciska się pulchna, ciepła dłoń Carol, kochanej, troskliwej Carol, przestała się opierać. Wiedziała, że Carol jej nie zawiedzie.

- Kłopot w tym - podjęła po chwili - że wylądowałam całkiem sama. Że wiodę życie bez mężczyzny, bez dziecka, bez miłości...

Lewą ręką zasłoniła oczy. Nie potrafiła wypowiedzieć na głos swych lęków: że tak już zawsze będzie, że do końca swoich dni pozostanie samotna, bezdzietna, że nie zazna miłości.

- Kłopot w tym - wtrąciła cicho Carol - że jesteś człowiekiem. Kobieta z krwi i kości. I kiedy zobaczyłaś dziś na dole tego umięśnionego przystojniaka, nagle zdałaś sobie sprawę z tego, co tracisz. Czego ci w życiu brak.

Danni skinęła głową, w milczeniu przyznając przyjaciółce rację, ale nie odsłoniła oczu. Nie potrafiła spojrzeć Carol w twarz ani zdobyć się na to, by wyznać jej wszystko do końca.

- Poza tym - ciągnęła pielęgniarka - w tym roku skończysz trzydzieści trzy lata.

- Trzydzieści cztery - poprawiła ją ochrypłym głosem Danni.

- Niech będzie. Trzydzieści cztery. W tym wieku należy poważnie zastanowić się nad swoim życiem, przewartościować je. Nie masz się co dziwić, Danni. Po prostu czujesz, jak tyka twój zegar biologiczny. Widywałaś to u swoich pacjentek. Dlaczego ty miałabyś być inna?

Lekarka roześmiała się gorzko.

- Zawsze twierdziłam, że nie chcę mieć dzieci. Zwłaszcza po tym, kiedy...

- Kiedy co?

Nie czuła się na siłach rozgrzebywać bolesnych spraw z przeszłości.

Przynajmniej nie teraz, kiedy pacjenci mogą jej potrzebować.

- To długa historia - rzekła - ale z zegarem biologicznym masz rację. Tylko że mój nie tyka, a dzwoni, w dodatku głośniejszy niż Big Ben! - Szybko cofnęła rękę i popatrzyła Carol w oczy. Uczucie frustracji i złości na samą siebie przyćmiło ból, który ścisnął ją za serce. - Nie sądzisz, że jestem na to trochę za młoda? Rozum mi mówi, że chyba...

- Czasem, kochanie, rozum nie ma nic do rzeczy. Zresztą może w twoim przypadku wcale nie chodzi o biologię. Może po prostu intuicyjnie czujesz, że dojrzałaś do innego życia. Jesteś świetną lekarką, w pracy osiągnęłaś sukces, sprawdziłaś się na polu zawodowym, może więc nadeszła pora, żeby skupić się na życiu osobistym.

Danni usiadła.

- To prawda - rzekła z namysłem. - Tak długo liczyła się dla mnie tylko praca, że nie myślałam o niczym innym.

A teraz, kiedy jestem szanowanym lekarzem, kiedy zdobyłam liczącą się pozycję w kręgach zawodowych...

- Zrozumiałaś, że oprócz kariery ważna jest także miłość i rodzina. - Carol wzruszyła ramionami. - Pragnienie miłości nie jest żadnym przestępstwem.

W oczach Danni zabłysł promyk nadziei. Słowa przyjaciółki tchnęły optymizmem. No właśnie. Kochać i być kochaną. Co w tym złego? Dlaczego ona, doktor Danielle Goodlove, nie może mieć normalnej rodziny? Tak jak wszystkie jej pacjentki? Przecież niczym się od nich nie różni.

- No właśnie - powiedziała na głos. - Dlaczego nie mogę mieć dziecka...

- A przy okazji może i męża... - podsunęła Carol.

- Niech ci będzie. Przy okazji i męża - zgodziła się Danni.

Nagle przypomniała sobie rozebranego do pasa strażaka o pięknych, niebieskich oczach, który leży z ręką pod głową. Jednakże tym razem wspomnienie jego widoku nie wywołało w niej śmiechu.

Carol pogroziła jej palcem.

- Nie rozumiem takich jak ty wyzwolonych, nowoczesnych kobiet - powiedziała. - Kiedy ja byłam w twoim wieku, najpierw myślało się o mężu, dopiero potem o dzieciach. Dzieci były jakby produktem ubocznym małżeństwa.

Danni, ubawiona, roześmiała się.

- Kiedy byłaś w moim wieku, ty i George mieliście już mnóstwo produktów ubocznych.

Carol parsknęła śmiechem.

- Wszystko przez ten księżyc, moja droga. Za to mam czterech wspaniałych chłopaków, których nikomu nie oddałabym za żadne skarby świata. - Poklepała Danni po ramieniu. - A skoro mowa o księżycu, spróbuj się zdrzemnąć. Niedługo znów zaczniesz się karuzela.

- Masz rację.

Danni z ulgą zamknęła oczy. Bała się, że jeśli dłużej będą rozmawiać o mężczyznach i dzieciach, łzy znów napłyną jej do oczu, a nienawidziła płaczu.

Dawno temu doszła do wniosku, że nie może sobie pozwolić na łzy. Na pewno nie w pracy. Jeśli chce wykonywać sumiennie obowiązki i traktować pacjentów w sposób profesjonalny, nikomu nie może opowiedzieć o śmierci swej siostry.

Już na studiach zrozumiała, że nawet nie powinna głośno wymawiać imienia Lizy; to było zbyt bolesne. Dlatego, rozmawiając z Carol, nie zdradziła jej całej prawdy. Zresztą nikomu nie mówiła o Lizie. Nie potrafiła sobie poradzić z własnymi uczuciami. Na tym polegał problem.

Chociaż nie. Problem polegał na tym, że Liza nie żyła.

I nic tego nie mogło zmienić.



## Rozdział 3

Nastrój przygnębienia wciąż jej towarzyszył, kiedy posepnym, szarym świtem skręciła z Peorii w ulicę, przy której stał jej dom. Wspaniałe, pełne blasku i splendoru życie pani doktor, pomyślała z ironią, usiłując nie zasnąć przy kierownicy. W takich chwilach jak ta cieszyła się, że od szpitala dzieli ją zaledwie półtora kilometra.

Właśnie dlatego wybrała Woodward Park, tę elegancką, historyczną część Tulsy na miejsce swojego zamieszkania.

Skręciła w łagodnie wznoszący się podjazd, po czym znużona sięgnęła po pilota i wycelowała go przed siebie. Drzwi otworzyły się z cichym sykiem. Zaparkowawszy swe BMW w idealnie czystym, nie zagraconym garażu, Danni ponownie podniosła pilota, ale tym razem wycelowała go za siebie i drzwi się zamknęły.

Po chwili weszła do pogrążonego w ciszy pomieszczenia gospodarczego.

Dwa srebrzyste wyżły weimarskie, Perła i Dym, niczym duchy wstały z posłania i otarły się o jej nogi.

- Dzień dobry, pieski - przywitała się, głaszcząc je po łbach. - Jak się macie, moje śliczne?

Nacisnęła domofon, żeby połączyć się ze służbówką na piętrze.

- Jackie? Jackie?

Nie było odpowiedzi. Czyżby wczoraj służąca miała wychodne? A może tak mocno śpi?

Już zamierzała wystukać kod, by móc wejść do środka, kiedy nagle spostrzegła, że alarm jest wyłączony.

Psiakość! Co za roztrzepana dziewczyna! - pomyślała ze złością. Ile razy trzeba jej powtarzać, żeby wychodząc z domu zawsze nastawiała alarm?

Wcisnęła jeden z kilku przycisków widocznych na tablicy z alarmem: wewnątrz włączyły się lampy oświetlające schody, łazienki, korytarze.

Liczący trzysta pięćdziesiąt metrów kwadratowych dom wzniesiony został na przełomie wieków. Wiosną tego roku Danni zatrudniła najlepszą firmę remontową w Tulsie, aby przeprowadzić gruntowną renowację. Chodziło jej o to, aby z zewnątrz

willa zachowała piękny, stylowy charakter - miedziane klamki i okucia, wspaniałe ornamenty kamieniarskie, oryginalne gzymsy - natomiast w środku miała wszystkie nowoczesne udogodnienia.

Niczego tu nie brakuje, myślała czasem, wędrując po swoim królestwie; niczego prócz ludzi, z którymi mogłabym dzielić zarówno dom, jak i radości oraz smutki życia.

Skrećiwszy w prawo, znalazła się w głównym holu. Popatrzyła na wąskie drewniane schody. Nie miała czego szukać na górze, Jackie na pewno gdzieś baluje. Z prawej strony odchodził korytarz, na końcu którego mieściła się biblioteka, pokój gościnny i sypialnia, a z lewej łukowe drzwi prowadziły do ogromnej kuchni, jadalni i salonu.

Psy ruszyły w kierunku kuchni.

Danni stała w holu niezdecydowana. Czuła się jak mysz w laboratorium, która musi wybierać pomiędzy różnymi pokusami. Łazienka? Kuchnia? Łóżko?

Miała ochotę na wszystkie trzy rzeczy naraz.

Poszła do małej łazienki tuż obok biblioteki, umyła ręce, opłukała zimną wodą twarz. Wycierając ją ręcznikiem, przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Nie podobało się jej to, co widziała: ziemista cera, przekrwione oczy, przylizane włosy. Uszczypnęła się w policzki; leciutko się zaróżowiły, ale niewiele to pomogło. Popatrzyła na swoje równo przycięte paznokcie i popękane skórki. No cóż, szorowanie rąk mydłem antyseptycznym trudno zaliczyć do zabiegów pielęgnacyjnych. Odeszła od lustra, zdjęła pogniecione białe spodnie i bluzę, które nosiła w szpitalu, i rzuciła je na podłogę.

Beznadziejne, pomyślała, stając bokiem do lustra i wciągając powietrze. Wypukły brzusek jest rezultatem codziennych hamburgerów i innych niezdrowych posiłków pochłanianych niemal w biegu, w tłuszczu na biodrach obrosła, jeżdżąc konno, a unikając joggingu, natomiast piersi... Z westchnieniem spojrzała na swój obfity biust. Co mogła z nim zrobić? Nic.

Zrezygnowana, przeszła przez bibliotekę do sypialni, wzięła z krzesła stary różowy szlafrok frotte, włożyła go, po czym, odsuwając od siebie wyrzuty sumienia -

przecież po ciężkim dniu pracy należy się jej coś smacznego do jedzenia - skierowała się prosto do lodówki.

W kuchni, ogromnym pomieszczeniu o dużych oknach, przeszklonych drzwiach i wielkim kamiennym kominku byłoby całkiem ciemno, gdyby Jackie zaciągnęła zasłony. Ponieważ jednak tego nie zrobiła, światło księżycy sączyło się przez wysokie, podłużne okna od strony południowej, nadając wszystkim przedmiotom dziwny, widmowy kształt. W ciągu dnia, kiedy wpadające do środka słońce oświetlało przepiękny kredens i szafki z jasnego drewna, dębową podłogę, tapicerkę w dyskretny wzór na krzesłach, widok kuchni dosłownie zapierał dech, ale teraz... Teraz kuchnia sprawiała wrażenie zimnej, ponurej jaskini.

Mijając aparat telefoniczny, Danni postanowiła odsłuchać nagrane wiadomości. Wcisnęła odpowiedni guzik, po czym, okrążając stojącą pośrodku kuchni wyspę z granitowym blatem, podeszła do olbrzymiej lodówki. Kiedy otworzyła drzwi, buchnęła w nią fala zimnego powietrza. Lodówka była pełna. Przez moment Danni wpatrywała się w półki uginające się od jedzenia. Jedno musiała Jackie przyznać: dziewczyna umiała gotować jak mało kto.

Bip! Pierwsza nagrana wiadomość. „Danni, moja miła” - rozległ się wesoły głos matki, który o czwartej nad ranem zabrzmiał niezwykle irytująco. „Czy ty nigdy nie bywasz w tym swoim ślicznym domu? Ciocia Hetra, ciocia Dottie i ja wybieramy się jutro po zakupy. Ponieważ będziemy na Utica Square, pomyślałam sobie, że najpierw wpadniemy do ciebie, żeby ciotki zobaczyły, jak pięknie wszystko wygląda po remoncie. Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza? Aha, jeszcze jedno. Dzwoniła dziś do mnie matka Wesleya Fuerborne'a. I zgadnij co? Wesley przyjechał do Tulsy! Czy to nie wspaniała nowina?”

Danni westchnęła. Boże, co za uparta kobieta z jej matki! Wesley Fuerborne! Nie widzieli się od czasów studenckich. Ich związek, póki trwał, cieszył całą socjetę Tulsy, wszystkich oprócz Danni. Co jej się nie podobało w Wesleyu? Choćby to, że seks z nim był do niczego. Młodzieńczy, nieporadny. Może to była jej wina, może jego. Nieważne. Rzecz w tym, że nie potrafiła zatracić się w rozkoszy, zapomnieć o swoim irracjonalnym strachu przed niepożądaną ciążą.

Matka tymczasem szczebiotała dalej: „Taki miły człowiek! Oczywiście podczas pobytu w Tulsie chciałby się z tobą zobaczyć. Pomyślałam sobie, że może wybralibyście się ze mną na wielką galę, która odbędzie się na zakończenie festiwalu teatralnego?”

Perła i Dym usadowiły się przy nogach Danni i patrzyły wyczekująco na otwartą lodówkę. Rzuciła im po kawałku sera, po czym stanowczym tonem rozkazała:

- A teraz wynocha z kuchni!

Psy naturalnie zignorowały polecenie.

„Zadzwoń do mnie, kochanie. Jeśli się ze mną nie skontaktujesz, wpadnę jutro z ciotkami. Pa”. Bip!

Danni ponownie głęboko westchnęła, ale po chwili skupiła się na jedzeniu. Sałatka z makaronu i tuńczyka nie bardzo ją kusila. Hmm... Tak, miała znacznie większą ochotę na kotlety wieprzowe. Nie wzięła talerza ani sztućców, nie usiadła przy stole. Jadła na stojąco, spoglądając przez okno na pogrążony w mlecznym blasku ogród za domem.

Księżyc. Wielki, okrągły.

Cichy. Czekaający. Przywołujący.

Jest tak daleko od Ziemi, a wydaje się tak blisko. Niemal na wyciągnięcie ręki. Nienawidziła go.

Nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że bez celu chodzi po kuchni, minęła stół roboczy z granitowym blatem, przeszła do sąsiadującej z kuchnią jadalni i usiadła na skórzanej kanapie stojącej naprzeciw okien wychodzących na południe. Po chwili wyciągnęła się wygodnie i leżała tak, obserwując sunący wysoko nad drzewami księżyc.

Była zmęczona, nieludzko zmęczona.

Marzyła o tym, by zamknąć oczy i pogrążyć się we śnie. Nie chciała wracać myślami do smutnych wspomnień z przeszłości ani rozpamiętywać tego, co widziała dziś w szpitalu.

- Czasem nie cierpię tej pracy - szepnęła do księżyca i zacisnęła powieki, z całej siły próbując wyrzucić z pamięci zwłaszcza jedną scenę, której była mimowolnym świadkiem.

Wszystko, z czym lekarz się styka, począwszy od narodzin, a skończywszy na śmierci, ma wpływ na jego nastrój i psychikę, jednakże niektóre obrazy i zdarzenia pozostawiają piętno na jego duszy. I to bywa groźne.

O trzeciej nad ranem na oddziale położniczym wreszcie zapanował spokój. Danni postanowiła skorzystać z okazji i zajrzeć do matki poparzonych bliźniaków, która na skutek silnych przeżyć urodziła w nocy wcześniaka. Pacjentce fizycznie nic nie dolegało, ale psychicznie była w nie najlepszym stanie. Na wszelki wypadek Carol poprosiła kapelana i pracownicę społeczną, aby porozmawiali z nią i spróbowali ją pocieszyć. Nic więcej nie można było zrobić.

Chciała sprawdzić, czy kobieta niczego nie potrzebuje. Kiedy zbliżyła się do drzwi, z sali poporodowej dobiegł ją cichy szloch. Odeszła parę kroków, żeby z dyżurki pielęgniarek przynieść jakiś środek uspokajający, kiedy nagle przez płacz pacjentki przebił się głos strażaka:

- Zostanę z panią tak długo, jak będzie pani chciała.

Marszcząc czoło, Danni wróciła na palcach do drzwi i zajrzała przez szparę do środka. Matthew Creed stał zwrócony do niej tyłem i trzymał za rękę leżącą na łóżku kobietę. Pod szpitalną koszulą miał na sobie spodnie od kombinezonu, na nogach szpitalne kapcie.

- Tak strasznie się boję - powiedziała przez łzy kobieta.

- Lekarze robią, co mogą. Proszę być dobrej myśli. Kobieta ponownie zaczęła łkać. Mężczyzna pochylił się nad nią, otoczył ją zdrowym ramieniem i uścisnął, starając się dodać jej otuchy.

- Nie wiem, jak panu dziękować! Uratował pan moje dzieci!

- Żałuję, że nie udało mi się szybciej do nich dotrzeć. Głos miał ochrypły, dziwnie spięty. Czyżby też płakał?

Danni, lekko speszona, cofnęła się od drzwi; nie powinna podsłuchiwać.

Ruszyła korytarzem do dyżurki pielęgniarek po środki uspokajające, miała jednak świadomość, że znacznie bardziej skuteczna od jakichkolwiek farmaceutyków jest serdeczność, troska i współczucie okazywane kobiecie przez strażaka, który wydobył jej dzieci z płomieni.

Widok Matthew Creeda pocieszającego zrozpaczoną matkę przypomniał się jej, kiedy leżała w domu na skórzanej kanapie, wpatrując się w księżyc na niebie.

Zacząła myśleć o tej nieszczęsnej kobiecie. Wizyta Creeda szalenie jej dziś pomogła. Oby znalazło się więcej takich osób, które mogłyby jej służyć wsparciem i pomocą. Wszyscy potrzebujemy zrozumienia i troski, pomyślała Danni, i poczuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek przedtem.

Przycisnęła policzek do kanapy; jedna duża łza popłynęła jej po twarzy i skapnęła na miękkie skórzane obicie.

- Dlaczego jestem samotna? Dlaczego nikogo nie mam? - spytała szeptem zawieszony w górze księżyc.

Ale on, blady i drwiący, milczał.

Carol odgadła prawdę, przynajmniej częściowo. Doktor Danielle Goodlove, skupiona na pracy i karierze, zapomniała o życiu osobistym. Właściwie nie tyle zapomniała, co świadomie z niego zrezygnowała - ze strachu przed tym, co spotkało Lizę. Teraz, gdy osiągnęła pozycję w zawodzie i była szanowanym lekarzem, pustka i samotność coraz bardziej dawały się jej we znaki. Coraz częściej powracało też znajome uczucie bólu; myliła się, sądząc, że skutecznie się go pozbyła.

- Siostrzyczko, tak bardzo się boję - szepnęła.

We własnym domu nie musiała się już tak kontrolować. Gdyby chciała, mogłaby szlochać, wrzeszczeć, krzyczeć, tłuc talerze, ale od tak dawna tłumiła w sobie wszelkie emocje, że nie potrafiła dać upustu złości czy frustracji. Zacisnęła mocno powieki i wkrótce zasnęła; z mrocznych głębin podświadomości zaczęły ją nawiedzać dziwne, niepokojące sny.

Nie te, co zwykle. Nie te o Lizie. O Lizie żyjącej, śmiejącej się. Tym razem śniły jej się syczące języki ognia oraz silny, muskularny mężczyzna, który niesie ją przez płomienie, kładzie na trawie i kocha się z nią w chłodnym blasku księżyca.

Tej nocy, dzięki snom, wreszcie przestała odczuwać ból, pustkę, tęsknotę i samotność.

## Rozdział 4

Obudził ją zapach smażonego boczku i ostre promienie słońca bijące prosto w oczy. Poduszka, którą miała wetkniętą pod głowę, oraz koc, którym była okryta, świadczyły o tym, że Jackie wróciła już do domu.

Początkowo zatrudniła dziewiętnastoletnią Jackie Smith w charakterze pomocy medycznej, szybko jednak zauważyła, że dziewczyna - wcale o to nie proszona - ma zwyczaj czyścić i porządkować gabinet. Ponadto systematycznie przynosiła różne domowe wypieki, żeby personel miał co zjeść, gdy zgłodnieje. Kiedy po jakimś czasie okazało się, że Jackie potrzebuje miejsca, gdzie mogłaby się ukryć przed byłym narzeczonym, pijakiem i brutalem, który lubił się nad nią znęcać, Danni zaproponowała jej służbówkę w zamian za prowadzenie domu.

Na górze rozległ się szum odkurzacza, który po chwili ucichł, potem odgłos kroków dudniących po schodach, następnie okrzyk: „Cholera jasna!” oraz rozpaczliwe drapanie łopatką o patelnię, do której przykleił się boczek.

- Znów robisz dziesięć rzeczy naraz? - spytała sennie Danni.

- Pani doktor! - Jackie odwróciła się twarzą do jadalni. - Już pani nie śpi?

Usiadłszy, Danni potarła oczy i przeciągnęła się.

- Niestety - mruknęła. - Która godzina?

- Ósma.

- Dobry Boże! - Zdławiła ziewnięcie. - Mam na dziś wyznaczone jakieś pacjentki?

- Nie. Jest sobota.

- Sobota? - Zadumała się; czyżby na skutek wczorajszego zamieszania i chaosu, na który niewątpliwie wpływ miała pełnia, straciła rachubę czasu? - Dzięki Bogu... Gdzie byłaś wieczorem?

- Miałam zajęcia. Mówiłam pani, że się zapiszę na kurs.

- Tak, rzeczywiście. No i jak było?

- Fantastycznie. Uwielbiam księgowość. Nie wiem, jak pani dziękować. Gdyby mi pani nie opłaciła nauki...

- Bez przesady, Jackie. - Danni machnęła lekceważąco ręką. W końcu po to są pieniądze, żeby je wydawać i móc innym sprawiać przyjemność. Nagle jednak coś sobie przypomniała. - Kiedy wróciłam o czwartej rano, Ciebie jeszcze nie było.

Dziewczyna zarumieniła się.

- Po lekcjach poszłam na randkę. Nie gniewa się pani na mnie, co? Właśnie dlatego dziś pracuję na przyspieszonych obrotach...

Chociaż nie była szczupła, raczej wręcz pulchna, na brak powodzenia u mężczyzn nie mogła narzekać.

Wzdychając głęboko, Danni wstała z kanapy, otuliła się ciasniej szlafrokiem i poczłapała do kuchni. Tam nalała sobie duży kubek kawy. Wraz z pierwszym łykiem starała się przełknąć własną dumę i zdobyć się na odwagę, żeby zadać Jackie pytanie natury osobistej.

- Słuchaj, mogę ci zadać intymne pytanie...?

- Pewnie. - Dziewczyna wbijała jajka do miseczki. - Ale niech się pani nie obawia. - Popatrzyła znacząco na swoją chlebodawczynię. - Jestem ostrożna. W ciąży nie zajdę. - W jej ciemnych oczach pojawiły się figlarne iskierki.

- Och, nie - zaprotestowała Danni. - Nie miałam na myśli nic tak intymnego. Raczej chodzi mi o... - Wetknęła ręce do kieszeni. Czowała, jak na policzki występują jej wypieki.

Jackie przestała ubijać jajka na omlet i zmierzyła Danni podejrzliwym wzrokiem.

- O co, pani doktor? Co panią gryzie?

Dokładnie tak samo sformułowała wczoraj pytanie Carol. Psiakość! Czyżby miała wyryte na czole: „Coś mnie gryzie!”? Skrzywiła się.

- Nic mnie nie gryzie - odparła. - Po prostu znudziło mi się takie życie. Haruję całymi dniami, a potem wracam do wielkiego, pustego domu, w którym spędzam samotnie wieczory. Jak ty to, u licha, robisz?

Jackie zdumiona wytrzeszczyła oczy.

- Co? Co jak robię?

- No... to, że masz takie powodzenie! Że nie możesz opędzić się od facetów!



- Ach, to... - Jackie energicznie pokiwała głową, wprawiając w ruch wielkie złote kółka, które zwisały jej z uszu. Następnie zaciskając pomalowane na jaskrawoczerwony kolor usta, przyjrzała się uważnie Danni. - E tam! Przecież nie chce pani słuchać takich bzdur! Pani jest ponad to.

- Ponad to? To znaczy ponad co?
- No, żeby robić z siebie lep na facetów.
- Lep na facetów! - zawołała Danni.

Kąciki jej warg uniosły się nieznacznie. Ta Jackie jest porządnie stuknięta!

- A nie mówiłam?

Dziewczyna odwróciła się z powrotem do kuchenki, zdjęła patelnię, przerzuciła omlet na talerz, który podsunęła Danni.

Danni postawiła podane jej śniadanie zniecierpliwionym gestem na granitowym blacie stołu, oparła na nim dłonie i ponownie zwróciła się do Jackie:

- Słuchaj, pytam serio. W jaki sposób przyciągasz do siebie tych wszystkich facetów? Mów śmiało. W końcu jestem lekarką.

Jackie zawahała się. Trzymając w ręku patelnię, przez długą chwilę mierzyła Danni wzrokiem.

- No właśnie, jest pani lekarką - oznajmiła wreszcie. - I pewnie pani sądzi, że nie ma czasu na tak przyziemne sprawy jak flirty i zaloty. A przecież wystarczy odrobina perfum, róż na policzkach, podmalowane oczy, ładny ciuszek, jakaś błyskotka...

Dla podkreślenia swoich słów wskazała palcem na lśniące kółka w uszach.

Danni otworzyła usta, ale zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, Jackie podjęła wątek:

- Chce pani wiedzieć? W porządku. Otóż pani uważa, że mężczyzna powinien docenić jej wiedzę, inteligencję i prawy charakter. Zgoda, ale coś pani zdradzę, pani doktor. Żaden facet nie ma ochoty przelecieć Einsteina, ale każdy chce przelecieć babę. Normalną babę. Autoreklama jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Trzeba podkreślić swoje atuty, pokazać, że jest się atrakcyjną kobietą.

Powiedziawszy to, odwróciła się i zaczęła myć pod kranem patelnię.

Danni wciąż patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Policzki miała tak rozpalone, jakby przed chwilą wróciła z otchłani piekielnych. Wiedziała jednak, że musi coś zrobić, nawet jeśli to oznacza, że ma szukać pomocy u dziewczyny, która nie ukończyła szkoły średniej. Bo co tu dużo mówić? To do pulchnej, pełnej temperamentu Jackie Smith przychodziły bukiety róż, a nie do niej, kulturalnej, wykształconej Danielle Goodlove.

- Więc twoim zdaniem jestem nieatrakcyjna?

Jackie przerwała szorowanie patelni i zmrúżywszy oczy, popatrzyła na swoją pracodawczynię, na jej sprany różowy szlafrok, wzburzone włosy opadające bezładnie na ramiona, twarz bez śladu makijażu.

- Niech mnie pani źle nie zrozumie...

- Mów śmiało - zachęciła ją Danni, pociągając z kubka łyk kawy.

Jackie przyjęła taką samą pozycję, w jakiej przed chwilą stała Danni - z rękami wspartymi na blacie stołu.

- Pracuję tu już dwa lata. I wie pani, do jakiego doszłam wniosku? Że może zna się pani na seksuologii, ale na pewno nie zna się pani na mężczyznach.

- Ale... - Danni głęboko odetchnęła. Już chciała się oburzyć, zaprotestować, ale raptem zmieniła zdanie. - Mów dalej. Słucham - powiedziała cicho.

- Dobrze. Zrobimy mały eksperyment. - Dziewczyna odwróciła się twarzą do zlewu i wciągnęła parę gumowych rękawic. - Niech sobie pani wyobrazi, że jest facetem. Co by się pani bardziej podobało? Buciorzy na płaskim obcasie, takie jak te, które pani zawsze nosi, czy moje fioletowe szpileczki? Pani usztywniane staniki i bawełniane majtasy - wskazała palcem w stronę pralni; przypuszczalnie zdążyła uprać wrzucone do kosza rzeczy i rozwiesić je na sznurze - czy moje koronkowe figi? Zapach moich perfum - uniosła do nosa nadgarstek - czy zapach pani mydła antyseptycznego? No? Jest pani inteligentną kobietą. Na miejscu faceta co by pani wolała?

Fioletowe szpileczki? Koronkowe figi? Na samą myśl o takich frymuśnych rzeczach Danni wzdrygnęła się z niesmakiem. Miała ubierać się jak kobieta lekkich obyczajów, żeby zainteresować sobą mężczyznę? Nic z tego! Po pierwsze, ktoś o tak dużym biuście jak ona nie może nosić jedwabnych staniczków na cieniutkich

ramiączkach. Po drugie, musiałaby mieć nie po kolei w głowie, żeby ganiać po szpitalu w szpilkach na nogach. W dodatku fioletowych!

- Dobrze wiesz, dlaczego się nie perfumuję - rzekła uważnym tonem. -

Niektórym pacjentom przeszkadza zapach perfum.

- W porządku. Nie każę pani używać perfum w pracy - powiedziała Jackie, zanurzając dłonie w pianistej wodzie.

- Nie spędza pani jednak całego życia w szpitalu, a ja ani razu nie widziałam w tym domu nawet zwykłej wody toaletowej, nie mówiąc o jakichś egzotycznych perfumach. Na litość boską! Pani doktor! Kogo jak kogo, ale właśnie panią na to stać! Na najlepsze zapachy!

Danni poprawiła zsuwające się z nosa okulary. Przez moment stała bez słowa, pogrążona w myślach.

- Masz rację. Odrobina perfum nie zaszkodzi...

- Właśnie. Teraz przejdźmy do okularów. Nie rozumiem, dlaczego się pani upiera przy takich brzydkich, ciężkich oprawkach. Przecież stać panią na szkła kontaktowe.

Zanim Danni zdążyła zająć w tej sprawie stanowisko, Jackie podniosła ociekającą wodą gumową rękawicę i odgarnęła jej z twarzy kosmyk włosów.

- Nawet nie ma pani przekłutych uszu... - oznajmiła, po czym wróciła do mycia patelni. - Pani się po prostu boi w jakikolwiek sposób zaznaczyć swoją kobiecość.

Danni usiadła zrezygnowana na stołku barowym.

- Więc myślisz, że powinnam uciec się do paru podstępnych sztuczek? - spytała po chwili, wpatrując się w plecy dziewczyny.

Nie podnosząc głowy znad zlewu, Jackie skinęła głową.

- Owszem, pani doktor. Tyle że to nie są wcale żadne podstępne sztuczki.

- Nie wiem, czy dobrze bym się z tym czuła. Chyba bym nie potrafiła... - Danni westchnęła bezradnie. - Nawet nie wiem, od czego miałabym zacząć.

Jackie wzruszyła ramionami.

- Spytała pani, jak to się dzieje, że nie mogę opędzić się od facetów...

- Pewnie zrobiłabym z siebie idiotkę.

Zmarszczywszy z namysłem czoło, Jackie obejrzała się. Po chwili łobuzerski uśmiech rozświetlił jej twarz.

- Już wiem! - zawołała. - Wiem, czego pani potrzeba. Fachowej pomocy. - Opierając namydloną rękę na biodrze, przybrała seksowną pozę. - Lepszej nauczycielki nigdzie pani nie znajdzie.

Nagle rozległ się dzwonek u drzwi. Popatrzyły na siebie zaskoczone. Nikogo się nie spodziewały o tak wczesnej porze. Po chwili Danni jęknęła cicho i przeczesła ręką potargane włosy.

- Boże, to moja mama z ciotką Hetrą i ciotką Dottie. Wyleciało mi z głowy, że mają przyjść!

Jackie zaczęła zdejmować gumowe rękawiczki.

- Poczęstuję je kawą, a pani tymczasem...

- Nie - przerwała jej Danni. - Dokończ zmywanie. Ja otworzę drzwi. - Poprawiła poły szlafroka, obwiązała się w talii paskiem i skierowała do holu. - Chociaż świeże bułeczki z kawą to niegłupi pomysł - rzuciła przez ramię.

Hetra, Dottie i Olivia weszły do środka, szczebiocząc wesoło niczym trzy barwnie upierzone ptaki. Siostry Bartlet dorastały w bogatej dzielnicy Terwilliger Heights, nieopodal Muzeum Sztuki imienia Philbrooka, które zostało otwarte, kiedy były jeszcze małymi dziewczynkami. Matka pracowała tam jako kustosz i godziny spędzone z nią na zwiedzaniu zbiorów ukształtowały gust dziewczynek. Obecnie wszystkie trzy były majętnymi wdowami w wieku sześćdziesięciu kilku - siedemdziesięciu lat, wciąż prowadziły aktywne życie, udzielały się społecznie, olśniewały urodą i elegancją.

W obecności matki i ciotek Danni, która nie odziedziczyła ich klasy i stylu, zawsze czuła się jak kopcuszek. Teraz też, witając się z nimi, świadoma była własnego zaniedbania i nieatrakcyjnego wyglądu.

- Córeczko kochana! - Olivia Bartlet Goodlove odgarnęła do tyłu potargane włosy córki i pocałowała ją w policzek. - Mam nadzieję, że cię nie obudziłyśmy. Sądziłam, że dojedziemy nieco później...

- Nie szkodzi, mamó. Od pół godziny jestem na nogach, tylko jeszcze nie zdążyłam się ubrać. - Poprawiła kołnierz szlafroka i uśmiechnęła się do ciotek. - Cały wczorajszy dzień miałam pełne ręce roboty, a noc była jeszcze gorsza...

- Aż tyle kobiet rodziło wczoraj dzieci? - spytała uprzejmie Hetra.

Danni skinęła głową.

- Jak zwykle podczas pełni.

- No cóż, podobno dobry lekarz dobrze zarabia - wtrąciła Dottie. - A zatem ty, moja droga, musisz być świetnym lekarzem. Co za wspaniały dom!

Olivia uśmiechnęła się promiennie.

- Prawda, że jest boski?

Siostry, rozglądając się dookoła i rozprawiając radośnie, ruszyły przed siebie do słonecznego salonu.

Danni cieszyła ich reakcja, komplementy, pełne aprobaty okrzyki. Przynajmniej tę jedną cechę odziedziczyła po Bartletach - zmysł dekoratorski.

Ciotki wszystko dostrzegały, każdy drobiazg, każdy szczegół, i wszystko chwaliły, łącznie z upieczonymi przez Jackie słodkimi bułeczkami posypanymi cynamonem.

- To co, Danni? Wybrałaś się na galę ze mną i Wesleyem? - spytała Olivia, dodając śmietanki do kawy.

- Nie wiem, mamó. - Danni podniosła do ust filiżankę. - To chyba niezbyt dobry pomysł.

- Dlaczego, kochanie?

- No bo... nie mam sukni wieczorowej.

- A kto ma? Przecież to dopiero początek sezonu! - wtrąciła Dottie. - Dlatego postanowiłyśmy się dziś wybrać po zakupy. Trzeba zacząć się rozglądać powoli... Słuchaj, mam wspaniały pomysł! Chodź z nami. Pomożemy ci znaleźć jakąś oszałamiającą kreację.

Olivia i Hetra ochoczo przyklasnęły.

- Och tak, najlepiej w kolorze szafirowym!

- Albo szmaragdowym! Naprawdę nie warto zostawiać tego na ostatnią chwilę.

Danni uniosła rękę w geście protestu.

- Ja... Przykro mi, mamó. Nie mogę...

Właśnie w tym momencie do salonu weszła Jackie, żeby zabrać ze stolika puste talerzyki, Danni mrugnęła do niej porozumiewawczo.

- Nie mogę, bo obiecałam Jackie.

Dziewczyna nie dała niczego po sobie poznać. W milczeniu, z niewinnym uśmiechem na twarzy, zaczęła ustawiać na tacy brudne naczynia.

- Co obiecałaś Jackie? Że pójdziecie razem po zakupy? - spytała podejrzliwie Hetra, jakby wietrzyła w tym jakiś podstęp.

- Tak. Lubimy chodzić razem po sklepach.

- Bardzo lubimy - potwierdziła Jackie i pośpiesznym krokiem oddaliła się do kuchni.

Wkrótce siostry Bartlet pożegnały się, wcześniej jednak Olivia uprosiła córkę, aby ta jak najszybciej „przemyślała” sprawę gali i powiadomiła ją o swojej decyzji.

Zanim mercedes wycofał się z podjazdu, Jackie wpadła z powrotem do salonu.

- Wie pani co? Wcale pani nie okłamała matki. Zabieram panią po zakupy.

Danni potrafiła docenić mistrzostwo i perfekcję w każdej dziedzinie, a Jackie - jak się o tym przekonała - choć nie miała wyższego wykształcenia, była doskonałym psychologiem.

Postępowała tak, aby nie wystraszyć swojej pracodawczyni. Najpierw zaciągnęła ją do sklepu z butami, gdzie pomogła jej wybrać parę wygodnych czółenek ze ściętym noskiem, następnie zaprowadziła ją do butik, w którym podsunęła jej jedwabny komplet, spodnie i żakiet, w modnym wiśniowym kolorze. Prosty i szykowny.

Po pewnym czasie Danni odprężyła się i odkryła, że się świetnie bawi.

Przy stoisku z perfumami Jackie nie mogła się opanować i tak długo wahała najróżniejsze zapachy, robiła przerażone miny, wydawała okrzyki zachwyty, że Danni rozboleła głowa. Wreszcie sprzedawczyni zaproponowała nowy, delikatny zapach, który szalenie się Danni spodobał. Odeszła ze stoiska uboższa o sto pięćdziesiąt dolarów.

- Uszy sama sobie przekłuję - zaprotestowała, kiedy Jackie chwyciła ją pod rękę i ruszyła w stronę szyldu reklamującego właśnie ten zabieg. - Na miłość boską, przecież jestem lekarką!

- W porządku - zgodziła się dziewczyna.

Po chwili skręciła w stronę sklepu z biżuterią, w którym namówiła Danni na brylantowe kolczyki za tysiąc dolarów.

- Zobacz pani, będą świetnie wyglądać na tle pani włosów - powiedziała, kiedy wstąpiwszy do kawiarenki, żeby coś przekąsić, przystawiła wyłożone aksamitem pudełeczko do policzka Danni. Nagle uśmiech na jej twarzy zgasł, a na czole pojawiła się zmarszczka. - A skoro mowa o włosach...

- O nie, nic z tego! - Danni zacisnęła rękę na grubym warkocz, który zwisał jej z jednego ramienia. - Całe życie się tak czeszę...

- No właśnie. Nie sądzi pani, że pora na zmianę? Znam kogoś, kto świetnie strzyże. Byłoby ciach-ciach i po krzyku.

Danni złękła się nie na żarty; wyobraziła sobie jakąś przyjaciółkę Jackie, która robi jej na głowie baranka albo natapirowaną strzechę, albo... Ciach-ciach i po krzyku? Wykluczone!

- Wykluczone - stwierdziła głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Nie mamy o czym mówić.

Jackie wydeła pomalowaną na czerwono wargę.

- Może chociaż centymetr? - spytała, przysuwając do siebie palec wskazujący i kciuk. - Taki kawałeczek? Same końce, co?

Ulubiony salon kosmetyczny Jackie Smith nosił nazwę „Tres”, co oznaczało „trzy” - czyli włosy, paznokcie i skóra. Miejsce było elegancko urządzone i sprawiało przyjemne wrażenie; nawet Danni musiała to przyznać.

Pierwsze kroki Jackie skierowała do niejakiej Loretty, najlepszej przyjaciółki swojej kuzynki, która zajęła się dłońmi Danni. Starannie opiłowała jej paznokcie, po czym wykonała francuski manikiur. Efekt był doskonały.

Podczas gdy lakier na paznokciach sechł, Danni leżała mając na twarzy maseczkę o niezwykle kojącym działaniu.

Pedikiur także ogromnie się jej podobał. Nie z powodu lśniących, czerwonych jak rubiny paznokci u nóg, ale ze względu na cudowny masaż, jaki pedikiurzystka zaaplikowała jej zmęczonym, obolałym łydkom.

Siedziała zrelaksowana, wspaniale odprężona, zastanawiając się, dlaczego nigdy wcześniej sama sobie nie zafundowała wizyty w gabinecie piękności, kiedy nadeszła pora na przycięcie włosów.

- Aż się boję patrzeć! - zawołała i zasłoniła ręką oczy, podczas gdy fryzjerka o imieniu Naomi, widocznym na przypiętej do piersi plakietce, mrugnęła do Jackie i uniosła pozłacane nożyczki.

Miał być „tyci kawałeczek”, „same końce”, a wyszła zupełnie nowa, w dodatku koszmarna fryzura.

Jackie z Naomi ciągle coś przyglądały, poprawiały, wołały z zachwytem „boskie!”, a kiedy Danni odważyła się spojrzeć w lustro, pierwszą myślą, jaka przemknęła jej przez głowę, było: Co ja najlepszego zrobiłam? Dawniej miała długie, falujące włosy, które nosiła rozpuszczone, związane w koński ogon, upięte w kok lub splecione w warkocz, teraz zaś tysiące wzburzonych loków przypominających poskręcane macki opadały jej na policzki i szyję. Wyglądała jak jedna z pozaziemskich istot z serialu „Star Trek”.

- Boże, jaka... duża głowa - wydukała do swojego odbicia w lustrze.

- Owszem - przyznała z dumą Naomi. - Duże znów są modne. Zrobiłam pani trwałą, a prócz tego dałam mnóstwo specjalnej pianki, która zwiększa objętość włosów.

Po dwudniowych usilnych, lecz nieskutecznych próbach ujarznienia strzechy na głowie, w poniedziałek rano Danni przyszła do pracy z dwiema idiotycznymi spinkami we włosach, które przytrzymały wpadającą jej do oczu grzywkę. Całkiem poważnie rozważała, czy nie lepiej byłoby, gdyby przez najbliższe pół roku nie zdejmowała z głowy czepka chirurgicznego.

- Rany boskie! Co się pani stało? - rozległ się chóralny okrzyk personelu, kiedy weszła na oddział.

Ruch zamarł, zaległa martwa cisza. Wszyscy stali z szeroko otwartymi oczami, jakby pojawiła się naga.



- Byłam u fryzjera - bąknęła. - A teraz bierzmy się do pracy.

Posłuchali; każdy zajął się swoimi sprawami. Jedyne Carol długo przyglądała się paznokciom Danni pociągniętych bezbarwnym lakierem i nowej fryzurze. Po wyjściu ostatniego pacjenta zastukała do drzwi gabinetu.

- George zabrał chłopców na mecz - powiedziała, zaglądając do środka - więc nie muszę nikomu robić obiadu. Chodźmy razem coś zjeść. Ja stawiam.

Poszły do pobliskiej meksykańskiej restauracji. Po pierwszym kąsie Danni westchnęła głęboko i oznajmiła:

- Jackie uznała, że powinnam o siebie zadbać. Pozwoliłam się zaciągnąć do gabinetu kosmetycznego i oto rezultat.

- Czyli nowa fryzura to zasługa Jackie?

- Tak. Trwała, pasemka i pianka zwiększająca objętość włosów. Podobno ostatni krzyk mody. - Krzywiąc się, Danni zgarnęła na bok kilka kosmyków, które wysunęły się spod spinki. - Jak ci się podoba?

- Koszmar. Ale paznokcie są całkiem niezłe.

- Żebyś zobaczyła moje stopy!

- Zrobiłaś sobie pedikiur? - Carol zatrzymała widelec w połowie drogi do ust i przyjrzała się uważnie przyjaciółce. - Czy coś się za tym kryje?

Danni w milczeniu zaczęła intensywnie przeżuwać jedzenie.

- Aha! Polujesz na faceta!

- Mówisz zupełnie jak Jackie, która chce ze mnie zrobić lep na mężczyzn - oburzyła się Danni. - A mnie chodzi o dziecko, o rodzinę, nie o faceta.

W oczach Carol pojawił się wyraz sympatii i zatroskania.

- Można mieć jedno bez drugiego, choć osobiście tego nie polecam - rzekła cicho pielęgniarka i sięgnąwszy nad stołem, poklepała Danni po dłoni. - Jesteś położnikiem - kontynuowała po chwili. - Każdego roku co najmniej kilka niechcianych maleństw przechodzi przez twoje ręce...

Danni przygryzła wargę i zamyśliła się nad słowami przyjaciółki. Wiele razy się nad tym zastanawiała. Odkąd rozpoczęła pracę w szpitalu, kilkoro przeznaczonych do adopcji dzieci udało się jej umieścić u samotnych matek. Zawsze napawało ją to

ogromną radością. Nic nie stało na przeszkodzie, aby sama również zaadoptowała takie dziecko.

Pociągnęła łyk mrożonej herbaty.

- No dobrze. Chodzi mi też o faceta - przyznała. - Chcę mieć zarówno męża, jak i dziecko. - Utkwiła wzrok w rozłożonej na kolanach serwetce. - Ja... po prostu... - Zaczęła wygładzać serwetkę, potem biorąc głęboki oddech, mówiła dalej: - Rzecz w tym, że żadnemu jeszcze nie wpadłam w oko. Nikt się ze mną nie chce umawiać na randki. Wszyscy mężczyźni, których poznaję, oczekują narodzin potomków, a wszyscy ci, których znam od dawna, albo są z kimś związani, albo widzą we mnie tylko kumpla.

Carol pokiwała głową ze współczuciem. Wiedziała, jak to jest. Wiele, wiele lat temu była w identycznej sytuacji. Wszyscy chłopcy, których znała ze szkoły i z niedzielnych nabożeństw w kościele, traktowali ją jak pilną uczennicę i miłą koleżankę. Przepisywali od niej prace domowe i zwierzali się jej, głównie ze swoich problemów sercowych, ale nigdzie jej nie zapraszali.

A potem któregoś pięknego lipcowego dnia spotkała George'a. Było to tego lata, kiedy postanowiła nie przejmować się ani swoją tuszą, ani brakiem powodzenia, i wyjechać na obóz jako opiekunka - chodzić z dziećmiakami po lesie, urządzać biwaki, po prostu cieszyć się życiem. Kiedy poznała George'a, była opalona, wypoczęta, pełna energii. Ponieważ sądziła, że po zakończeniu obozu więcej się już nie zobaczą, nie starała się udawać kogoś innego, niż była - zachowywała się naturalnie, śmiała się, wygłupiała się, stroiła miny, flirtowała.

Wciąż pamiętała - tak dokładnie, jakby to było wczoraj - wieczorek taneczny, kiedy George po raz pierwszy poprosił ją do tańca. Pamiętała, jak się czuła, jak patrzyła mu w oczy, jak jego ręka spoczywała na jej biodrze. Pamiętała, jak wybrali się na lody do pobliskiego miasteczka. Pamiętała pierwszy pocałunek i ostatni spacer nad brzegiem jeziora, kiedy się jej oświadczył. Jakież to było cudowne, jakież romantyczne!

Zrobiło się jej serdecznie żal Danni.

- A nie przyszło ci do głowy, że może wysyłasz niewłaściwe sygnały?

- Sygnały, powiadasz? - Ręka Danni zawisała nad talerzem. - Jackie też coś o tym wspomniała. Że przydałaby mi się odrobina autoreklamy. Po czym kazała mi kupić perfumy i... fioletowe szpilki! Wyobrażasz sobie?

- Fioletowe szpilki? Na miłość boską, nie słuchaj jej. To wariatka. Mnie chodzi o inne sygnały. Takie, jakie wysyła osoba zadowolona z siebie, pewna swojej kobiecości, dobrze czująca się we własnej skórze.

- Mnie nie brak pewności siebie - oznajmiła Danni, biorąc do ust kawałek placka z ostrym sosem.

- Powiedziałam: pewna swojej kobiecości. Danni przełknęła kęs. Minę miała nieszczęśliwą.

- Prawdę mówiąc, sama nie wiem, co o tym wszystkim myśleć - rzekła. - Zawsze mi się wydawało, że wystarczy być sobą, a prędzej czy później znajdzie się partnera. No wiesz, każda potwora... Zresztą matka ciągle mi powtarza, żebym się nie przejmowała, bo w morzu pływa pełno ryb.

- Pływa, kochanie. Pływa. I oczywiście, że zarzucając wędkę, nie powinnaś udawać kogoś innego, niż jesteś. - Carol zadumała się. - Ale... hm, jak by to ująć? Dobra przynęta nigdy nie zaszkodzi.

- W porządku - westchnęła Danni zrezygnowana, chociaż nie podobało się jej słowo „przynęta”. - Wyjaśnij mi, co dokładnie masz na myśli.

- Dietę, moja droga. Powinnaś trochę schudnąć - oznajmiła Carol, uśmiechając się przyjaźnie, a w odczuciu Danni drwiąco i zuchwale.

- Schudnąć? - Aż zakrztusiła się z wrażenia. - Ty mi to mówisz? Ty, która zawsze się upierasz, że w życiu szczęśliwej kobiety waga nie gra roli? Że dobry mąż kocha żonę bez względu na jej tuszę? Że dawno temu przestałaś wierzyć w to, że „chuda” oznacza „piękna i atrakcyjna”, że...

Carol uniosła energicznie rękę, przerywając przyjaciółce w pół zdania.

- Mówimy o tobie, Danni, nie o mnie. I nie chodzi o to, żebyś szczuplejszą figurą przyciągała uwagę mężczyzn. Po prostu kiedy zgubisz kilka kilogramów, poczujesz się lepiej. Ręczę ci, że będziesz zdrowsza, radośniejsza, bardziej świadoma swojej kobiecości. To co? Mała dietka? Zgoda?

Okazało się jednak, że „mała dietka” to eufemizm, a raczej pojęcie względne, inaczej rozumiane przez Carol, inaczej przez Danni.

Nazajutrz po pracy Carol zaciągnęła przyjaciółkę do sklepu sportowego i zmusiła do kupienia tylu różnych sprzętów i urządzeń gimnastycznych, że ta śmiało mogłaby otworzyć własną siłownię.

- Teraz nie ma już odwrotu - oznajmiła wesoło, kiedy Danni, wypisawszy czek na astronomiczną sumę, zaczęła omawiać ze sprzedawcą sprawę transportu i montażu.

Dzień później, kiedy sprzęt był już ustawiony w nie używanym, słonecznym pokoju na piętrze, Carol przekonała Danni, że powinna sobie zrobić dłuższą przerwę w środku dnia - na lunch i gimnastykę, a następnie dokładnie poinstruowała Jackie w kwestii jedzenia.

Po paru dniach Jackie się zbuntowała.

- Ta kobieta chce panią wykończyć - oświadczyła, kładąc na talerzu pyszne czekoladowe ciasteczka własnej roboty. - Jedna filiżanka gotowanych na parze brokułów... - zaczęła naśladować ochrypy głos pielęgniarki - sto gram pieczonej na ruszcie flądry i dziesięć, powtarzam dziesięć, zielonych winogron.

- Ale dieta chyba już przynosi skutki - rzekła Danni.

Dieta dietą, lecz czekoladowemu ciastku nie potrafiła się oprzeć.

Carol zaś wpadła w szał, kiedy znalazła w kuchni domowej roboty ciasteczka. Przyniosła je na górę i stwierdziła, że osobiście się ich „pozbędzie”. Tak też zrobiła; zjadła je na oczach Danni i jednocześnie dyrygowała nią, gdy ta ćwiczyła aerobik.

- Raz, dwa, raz, dwa! - wołała z pełnymi ustami. - Wyżej! Szybciej!

Doskonale! Jeszcze raz...

Wzięła kolejne ciasteczko, a Danni jeszcze energiczniej zaczęła skakać.

- Jesteś mokra! Świetnie! Nie oszczędzaj się. Raz, dwa, raz, dwa. W górę...

- Psiakrew, zamknij się! - zezłościła się Danni, po czym również chwyciła ciastko i wepchnęła sobie całe do ust.

Tego dnia Carol uświadomiła sobie, że daje zły przykład jako instruktorka, Jackie zaś doszła do wniosku, że skoro musi gotować dietetyczne obiady, równie dobrze może je jeść.

Postanowiły, że razem w trójkę będą skakać, rozciągać mięśnie, zlewać się potem i głodować. Solidarnie.

Carol wprowadziła ostry reżim gimnastyczny, a Jackie ostry reżim dietetyczny. Kilka cieniutko krojonych plasterków pomidora. Jeden mały sucharek posmarowany milimetrową warstwą serka o obniżonej zawartości tłuszczu. Całkowity zakaz konsumpcji cukru i słodczy.

Danni chodziła wściekła, ziała nienawiścią do całego świata.

Ale już po dziesięciu dniach tej tortury skutki były wyraźnie dostrzegalne: świeża cera, lśniące oczy, spodnie luźniejsze w pasie. No i rzeczywiście, czuła się zdrowsza, radośniejsza.

Spośród wszystkich ludzi w szpitalu strażak był pierwszą osobą, która zauważyła w niej zmianę.

## *Rozdział 5*

Z ostrego dyżuru zadzwoniono właśnie na oddział położniczy z pytaniem, czy doktor Goodlove jest wolna.

Po chwili młoda recepcjonistka odłożyła słuchawkę, obróciła się na krześle i powtórzyła wszystkim rozmowę, jaką właśnie odbyła.

- Pamiętacie tego przystojnego strażaka? Tego, co wyglądał jak Tom Selleck? No więc facet jest na dole, przyszedł na zdjęcie szwów i upiera się, żeby to zrobiła doktor Goodlove. Twierdzi, że... słuchajcie, słuchajcie... że podoba mu się jej śmiech.

- No, no, no!

Wszyscy wbili oczy w Danni, która stała przy wysokim pulpicie, zapisując coś w karcie pacjenta.

- Nigdy się nie śmieję i dobrze o tym wiecie - burknęła, nie przerywając pisania.

Ale gdy tylko skończyła badać młodą kobietę, u której zaczęły się skurcze porodowe, zbiegła pośpiesznie na dół; nie dlatego, że strażak o to poprosił, ale - jak w

siebie wmawiała - z czystej ciekawości. Czy facet rzeczywiście był tak niesamowicie seksowny, jak zapamiętała?

Owszem. Pamięć jej nie myliła.

Siedział na łóżku za zasłonką, bez koszuli, w obcisłych dżinsach i kowbojskich butach. Tors miał jeszcze wspanialszy niż w jej wspomnieniach - muskularne ramiona, owłosiona klatka piersiowa, cudownie zarysowane mięśnie, opalenizna... Bo to chyba nie był naturalny kolor jego skóry?

Danni chwyciła leżącą obok kartę.

- Mam nadzieję, panie Creed - powiedziała, nie odrywając wzroku od zapisanej strony - że wszystko się ładnie zrosło.

- To pani jest doktor Goodlove? - upewnił się. Kiedy podniosła głowę, zobaczyła, że mężczyzna przygląda się jej ze zdumieniem i niedowierzaniem w oczach.

- Tą samą doktor Goodlove, która zakładała mi szwy?

- Tak - odparła zmieszana.

- Bo wygląda pani... inaczej.

- No cóż... - Uśmiechnęła się. - Kiedy widzieliśmy się poprzednim razem, był pan pod działaniem środków odurzających.

- Nie, mówię serio. - Przechyliwszy głowę, wpatrywał się w nią niczym malarz w modelkę. - Coś się zmieniło w pani wyglądzie.

Danni poczuła pewną satysfakcję.

- Nic się nie zmieniło. Po prostu zrzuciłam parę kilo.

Zacisnęła rękę na ramieniu pacjenta i zaczęła oglądać znikające ślady po oparzeniach oraz ładnie zrastające się rozcięcie. Przesuwając palcami po jędrnym, gładkim ciele, zastanawiała się, dlaczego jest taka spięta. Przecież to tylko mężczyzna. Ale kiedy spojrzała w niebieskie oczy, które tak intensywnie się w nią wpatrywały, zrozumiała dlaczego. Matthew Creed nie był zwykłym mężczyzną, był pierwszym mężczyzną, który sprawiał, że serce biło jej mocniej, a oddech stawał się przyspieszony.

Pochylił się lekko do przodu i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Danni oblała się rumieńcem.

- Istotnie - przyznał. - Ubyło pani parę kilo, ale to nie wszystko... - Zadumał się. - O, już wiem! - Wolną ręką wskazał przed siebie. - Pani włosy. Przedtem były znacznie dłuższe i... jakoś inaczej się układały.

- Zgadza się. - Odrzuciła gniewnie do tyłu jeden niesforny kosmyk. - Inaczej się układały. Obecnie mam na głowie ostatni krzyk fryzjerskiej mody. Przynajmniej według fachowych pism.

Parsknął śmiechem, podczas gdy ona przysunęła bliżej tacę z narzędziami.

- Rozumiem, że nie jest pani zadowolona z efektu?

- Na szczęście sama siebie nie widzę - odparła, wciągając gumowe rękawiczki.

- Mnie się całkiem podoba pani nowe wcielenie. Uniosła z niedowierzaniem brwi.

- Naprawdę! - zawołał, po czym uśmiechnął się. Na jego twarzy pojawiły się dwa urocze dołeczki. - Chociaż wolałbym, żeby moja kobieta miała bardziej... hm, naturalną fryzurę.

Danni wbiła oczy w tacę, na której leżały kleszczyki, nożyczki, gaza.

- Też bym wolała mieć bardziej naturalną. Na razie nic nie pomaga, ani lakier, ani modły...

- A zatem - powiedział, próbując napotkać jej wzrok - to nie jest pani prawdziwy wizerunek? Cieszę się. Bardziej jednak mi się pani podobała z końskim ogonem.

Przypomniała sobie, że tamtego dnia, kiedy ściągnęła z głowy czepek, znalazła w kieszeni opaskę uciskową, którą związała włosy w koński ogon.

- Nie, to zdecydowanie nie jest mój prawdziwy wizerunek - rzekła, przecinając pierwszy szew.

- To dobrze.

Ich oczy się spotkały. Obydwoje zamilkli. Zaległa niezręczna cisza. Po chwili Danni wróciła do przerwanej pracy; wyciągała kolejne szwy, a jednocześnie ze zdziwieniem i radością rozmyślała o tym, że ten przystojny mężczyzna pamięta, jak była uczesana, kiedy widzieli się ostatnim razem.

Przez moment Matthew Creed patrzył na zwinnie poruszające się palce lekarki, po czym ponownie przeniósł spojrzenie na jej twarz. Czując na sobie jego wzrok,

Danni z całej siły próbowała skupić się na tym, co robi. Wymagało to jednak nie lada wysiłku. Dziś bowiem pacjent nie pachniał dymem - pachniał jakąś przyjemną wodą po goleniu. Czyżby skropił się dla niej?

Usunąwszy wszystkie dwadzieścia cztery szwy, Danni kilka razy nacisnęła palcami bliznę, żeby sprawdzić, jak tkanka się zrosła. Strażak nawet się nie skrzywił z bólu.

- Goi się bardzo ładnie - rzekła.
- Czy jest pani zameężna?

Pytanie zaskoczyło ją, a nawet oburzyło, ale zdołała niczego po sobie nie okazać.

- Wie pan, matka zawsze ostrzegła mnie przed strażakami - powiedziała żartobliwym tonem.

- Tak? A to dlaczego?
- Bo pędzą tam, gdzie się pali.
- Czy pani jest zameężna? - powtórzył. - Albo z kimś związana? Tak czy nie?
- Nie... - wydukała, nie potrafiąc uciec od jego zniewalającego spojrzenia.
- W takim razie czy mógłbym kiedyś do pani zadzwonić?
- Do mnie? Czy ja wiem? - Nie była w stanie zrozumieć własnego wahania. -

Strasznie trudno mnie zastać. Jestem bardzo... zapracowana.

Matthew Creed zeskoczył z łóżka, na którym siedział.

- Istotnie, na brak zajęć nie może pani narzekać. - Wciągnął przez głowę granatową koszulkę strażacką. - Dziękuję za zdjęcie szwów.

Danni z przerażeniem zdała sobie sprawę, że zupełnie nieświadomie zdołała odtrącić od siebie tego człowieka. Z wściekłości miała ochotę nawymyślać sobie od idiotek.

- Nie ma za co - powiedziała, podziwiając jego szerokie, umięśnione plecy.

Wetknął dół koszuli do dzinsów.

- Życzę miłego dnia. - Odwrócił się i skinął jej głową na pożegnanie.

Kiedy sięgał po leżącą obok czapkę baseballową, zobaczyła, że usta ma mocno zaciśnięte, a na twarzy maluje mu się wyraz rozczarowania.

- Ja panu również - rzekła i szybko podniosła do oczu kartę pacjenta.



Zanim ochłonęła i zdążyła jakoś wyjaśnić nieporozumienie, strażak odsunął zasłonkę i ruszył przed siebie.

Przez moment wpatrywała się w dane osobowe zapisane w karcie. Między innymi widniał tam jego numer telefonu. Korciło ją, aby go sobie zapisać, wahała się jednak, czy to byłoby zgodne z etyką lekarską.

Dlaczego, do licha, nie podała mu swojego numeru, kiedy spytał, czy mógłby kiedyś do niej zadzwonić? Dlaczego...

- Przepraszam...

Jego głos przerwał jej rozważania. Obejrzała się. Matthew Creed tak cicho wszedł z powrotem za zasłonkę, że nawet tego nie usłyszała.

- Myślę, że naprawdę jest pani bardzo zapracowaną kobietą. Może więc umówmy się tak... - Wyjął z kieszeni wizytówkę. - Zostawię pani mój numer. Jeżeli kiedykolwiek będzie pani miała czas i ochotę, niech pani sama do mnie zadzwoni. Dobrze?

Danni spojrzała na kartonik. W prawym górnym rogu figurował herb Tulsy, pośrodku napis: Matthew Creed, strażak, a w lewym dolnym rogu adres, numer faksu i telefonu straży pożarnej. To strażacy noszą wizytówki? - pomyślała zdumiona.

- Och, nie mogłabym zawracać panu głowy w pracy... - powiedziała speszona.

- Wcale pani nie musi. - Odwrócił wizytówkę na drugą stronę. - Zanotowałem numer domowy.

Poniżej numeru do domu zobaczyła zapisany równym, starannym charakterem pisma adres e-mailowy.

- To dla chorobliwie nieśmiałych - wyjaśnił z uśmiechem, kiedy zdziwiona podniosła wzrok. - Nie cierpi pani na chorobliwą nieśmiałość?

- Nie, skądże! - zaprotestowała szybko, biorąc do ręki wizytówkę.

Faktycznie, na pewno nie określiłaby się mianem nieśmiałej, choć akurat w tej chwili policzki płonęły jej ogniem.

- A może jest pani zarozumiała? Albo, nie daj Boże, lubi pani zadzierać nosa? - spytał, pokazując zęby w uśmiechu.

- Nie! - zaprotestowała jeszcze gwałtowniej, po czym również się uśmiechnęła. Facet naprawdę jest zabawny.

- No dobrze. - Wziął głęboki oddech, tak głęboki, że koszulka rozciągnęła mu się na piersi. - Skoro nie jest pani nieśmiała i nie jest zarozumiała to proszę kiedyś do mnie zadzwonić. - Puściwszy do Danni oko, ponownie zostawił ją samą.

Obserwując jego oddalającą się korytarzem sylwetkę o szerokich plecach i długich nogach, doktor Danielle Goodlove zadumała się nad sobą. To prawda, nie była nieśmiała i z całą pewnością nie była zarozumiała, lecz była śmiertelnie wystraszona. I ten strach wręcz ją obezwładniał.

Matt doszedł do wind, wcisnął przycisk ze strzałką w górę i czekał, aż któraś przyjedzie. Obok stały dwie młode fizykoterapeutki, chcące zjechać na dół. Jedna z nich, ładna, wysportowana blondynka, uśmiechnęła się przyjaźnie do Matta.

Odwzajemnił uśmiech, po czym przeszedł kilka kroków do okna i wyjrzał na zewnątrz, udając, że ciekawi go, co się dzieje na parkingu przed szpitalem.

Psiakrew. Powinien był spytać doktor Goodlove o zdrowie bliźniaków, a on nawet o nich nie wspomniał. Jeszcze gotowa uznać, że jest zimnym, nieczułym draniem.

Nie był nieczułym draniem, lecz ona po prostu była tak piękna, że nie potrafił przy niej trzeźwo myśleć. Minęło tyle czasu, odkąd jakakolwiek kobieta wzbudziła jego zainteresowanie. Bał się, naprawdę się bał. W dodatku lekarka! Boże, chyba zwariował!

No cóż. Przynajmniej dał jej wizytówkę. Następny ruch należy teraz do niej. On nie zamierza popełnić kolejnego błędu. Chce mieć pewność. Jest za stary na to, żeby ciągle gmatwać sobie życie.

Rozległ się dzwonek oznaczający przyjazd windy. Matt wszedł do kabiny, drzwi zasunęły się z cichym sykiem, i winda ruszyła w górę, na najwyższe piętro, gdzie mieścił się oddział poparzeń dziecięcych.

Przez ostatnie dziesięć dni, kiedy siedział w domu, lecząc rany, myślał niemal wyłącznie o dwójce poparzonych maluchów, które wyciągnął z płonącej przyczepy. Owszem, uratował je, ale co dalej? Jaka czeka je przyszłość? Nie kończący się ból, operacje, rehabilitacja, blizny, cierpienie? Kiedy zajrzał do dzieci w zeszłym tygodniu, długo potem nie mógł dojść do siebie.

Kazano mu włożyć jednorazowy fartuch, a potem chuda, wysoka pielęgniarka poinstruowała go, żeby dokładnie umył ręce mydłem antyseptycznym i, broń Boże, niczego nie dotykał. Gdy wykonał polecenie, pomogła mu włożyć sterylny strój - drugi fartuch, maskę, czepek, rękawiczki i papierowe buty. Tak ubrany, podążył za nią na oddział intensywnej opieki. Obserwując idącą przodem pielęgniarkę, której poły fartucha unosiły się w powietrzu niczym skrzydła, zastanawiał się, czy słusznie robi, odwiedzając dzieci. Matka bliźniaków wyraziła zgodę. Ale czy to miało jakikolwiek sens? Bo co mógł jej powiedzieć? Jak ją pocieszyć?

W jaskrawo oświetlonej sali słychać było monotony szum respiratorów, przerywany cichym brzęczeniem monitorów i syczeniem pomp. Nad wszystkim czuwała pielęgniarka. Matt powiódł oczami po sali i skierował się tam, gdzie siedziała matka poparzonych dzieci. Unikał wzrokiem dwóch małych ciałek owiniętych niczym mumie, leżących na dwóch sąsiadujących z sobą łóżeczkach. Rany na twarzy i rękach kobiety - głównie były to oparzenia drugiego stopnia - wyraźnie zmalowały, lecz ona sama wyglądała dużo gorzej niż poprzednim razem. Jakby była bardzo, bardzo zmęczona. Wstała ociężale z fotela. Sterylne fartuchy zaszeleściły, kiedy Matt wziął ją w ramiona. Ciekawe, kto się zajmuje najmłodszym dzieckiem, przeniknęło mu przez myśl; tym, które przyszło na świat przed paroma dniami?

Kiedy ją puścił, kobieta bez słowa ujęła go za rękę i podprowadziła do dwóch małych łóżeczek. Miał wrażenie, że zależy jej na tym, aby spojrzeć na dzieci. Wielokrotnie widział ofiary ognia, zwykle poparzonych strażaków. Prędzej czy później rany się goiły, blizny zanikały. Ale to, co zobaczył tego dnia, wstrząsnęło nim do głębi.

Bliźniaki leżały opatulone od stóp do głów gazą, która osłaniała połącze przeszczepionej skóry. Nawet oczy miały przykryte. Leżały na wznak, z nóżkami wspartymi na specjalnych podpórkach, z rączkami wyciągniętymi w bok i przywiązanymi do materacyka; wyglądały jak ukrzyżowane. Temu po lewej spomiędzy warstw gazy wystawało kolano - idealnie gładkie, bez żadnych uszkodzeń skóry. I właśnie na nim Matt zatrzymał wzrok, na tym małym, odsłoniętym kawałku ciała.

A potem spytał szeptem:

- Jak one się czują?

Drugiemu bliźniakowi serce natychmiast zaczęło gwałtownie łomotać. Salę wypełniły przerażające dźwięki wydobywające się ze stojącego obok urządzenia. Nic dziwnego, że matka do tej pory nie odezwała się słowem.

Pielęgniarka błyskawicznie znalazła się przy kroplówce.

Nagle coś zasyczało. Matt drgnął wystraszony, zastanawiając się, czym teraz zawinił. Ale widząc, jak zmienia się kąt nachylenia materacy, uzmysłowił sobie, że zapewne dzieci położono na specjalnych łóżkach przeciwoleżynowych.

Drzwi się otworzyły i do środka weszła druga pielęgniarka, która najwyraźniej zrobiła sobie krótką przerwę na papierosa. W czystym, sterylnym pokoju zapach, jaki się od niej unosił, wydał się Mattowi szczególnie odrażający.

Patrząc na Matta i matkę poparzonych dzieci, wskazała im na migi korytarz. Pewnie zaraz miał być obchód.

Matt odprowadził panią Taylor do poczekalni; na miejscu poprosił ją, żeby dbała o siebie, starała się odpoczywać, za bardzo nie denerwować, po czym pożegnał się i wrócił do domu.

To było kilka dni temu.

Rozmyślał o tym teraz w windzie, kiedy jechał na górę po zdjęciu szwów. Po chwili drzwi windy się rozsunęły. Na wprost znajdowała się wysoka lada, za którą mieściła się dyżurka pielęgniarek. Stało tam dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna w zielonych fartuchach i czepkach na głowie; dyskutowali o czymś, pochyleni nad kartą jakiegoś pacjenta.

- Moim zdaniem, powinniśmy wezwać doktora Millera i spytać, co sądzi o radykalnym zwiększeniu dawki - powiedział mężczyzna.

Kobieta, podniósłszy wzrok, spostrzegła Matta.

- Pan do kogo?

- Chciałbym zajrzeć na moment do bliźniaków pani Taylor - wyjaśnił cicho.

Pielęgniarka i pielęgniarz wymienili ukradkowe spojrzenie. Widząc to, Matthew poczuł dziwny skurcz w żołądku.

- Kim pan jest? - spytał ciepłym, serdecznym tonem pielęgniarz.

- Nazywam się Matthew Creed. Jestem strażakiem, który je uratował. Już kiedyś u nich byłem. Pani Taylor wyraziła zgodę na moje wizyty.

Pielegniarka zaczęła coś kartkować.

- Faktycznie - rzekła po chwili. - Pana nazwisko rzeczywiście figuruje na liście osób upoważnionych do odwiedzin, ale obawiam się...

Pielegniarka z pielęgniarzem znów wymienili to dziwne, zakłopotane spojrzenie. Zanim Matt zdążył ich o cokolwiek zapytać, z sali nieopodal wyłoniło się dwoje starszych ludzi, najprawdopodobniej babcia i dziadek, którzy ruszyli w stronę recepcji.

- Może wejdźmy tam - zaproponował pielęgniarz, wskazując mały oszklony pokoik.

Weszli we dwóch. Szyby musiały być dźwiękoszczelne, bo kiedy pielęgniarz zamknął drzwi, do środka nie docierały żadne odgłosy z zewnątrz - ani dzwonek brzęczącego na ladzie telefonu, ani ożywiona rozmowa tocząca się między dziadkami a pielęgniarką.

- Proszę, niech pan usiądzie... - powiedział pielęgniarz, zajmując jedno z dwóch plastikowych krzeseł.

Matt zajął drugie; siedział zwrócony twarzą do okna, z rękami skrzyżowanymi na piersi, z nogami szeroko rozstawionymi, czekając na cios. Podejrzewał, że zaraz nadejdzie.

- Panie Creed, dzieci pani Taylor zmarły godzinę temu, w odstępie kilku minut.

Matt pochylił się, oparł łokcie na kolanach, zwiesił głowę. Miał chaos w głowie. Nie wiedział, czy bardziej było mu żal kobiety, która straciła dwoje dzieci, czy raczej powinien czuć ulgę, że bliźniaki nie będą musiały dłużej cierpieć.

Boże, czasami tak strasznie nienawidził swojej pracy.

- Nasza rzeczniczka prasowa prosiła, żebyśmy nikomu o tym jeszcze nie mówili - kontynuował pielęgniarz. - Chce chronić matkę przed szturmem, jaki przypuszczą dziennikarze. Jak pan wie, sprawa pożaru i uratowanych przez pana dzieci wywołała spore zainteresowanie w lokalnych mediach. Uznałem jednak, że akurat pan ma prawo do tej informacji. Naprawdę bardzo mi przykro...

- Mnie też - powiedział cicho Matt.

Personel medyczny pracujący na oddziale poparzeń i strażacy mieli wspólnego wroga, dlatego też wiedzieli, jak z sobą rozmawiać.

- Próby uzupełnienia płynów okazały się nieskuteczne; dzieci od tygodnia cierpiały na ostrą niewydolność nerek. - Mężczyzna zacisnął rękę na ramieniu Matta. - Zawsze robimy, co możemy, ale, niestety, czasem przegrywamy walkę.

- Wiem - szepnął Matt.

Przypomniał sobie, jak wpadł do płonącej przyczepy, jak wyjął z tłącego się łóżeczka dwa małe ciała. Były takie lekkie i bezwładne w jego ramionach. Łzy zapiekły go w oczach.

Chrząknął, odzyskując panowanie nad sobą.

- Dziękuję, że powiedział mi pan prawdę. - Wstał i wyciągnął na pożegnanie dłoń. - Proszę się nie obawiać; wiadomość zatrzymam dla siebie, dopóki państwa rzeczniczka nie powiadomi mediów.

- Będę panu wdzięczny.

Pielęgniarz otworzył drzwi, przepuszczając gościa przodem. Kilka osób z personelu uśmiechnęło się do Matta ze współczuciem.

Kierując się do wind, uświadomił sobie, że tak samo jak po wybuchu w Oklahomie, nie ma dokąd się udać, prócz własnego mieszkania, i nie ma z kim podzielić się smutkiem. Później oczywiście będzie mógł pogadać z Tomem i innymi chłopakami z pracy. Oni zrozumieją targające nim uczucia, z jednej strony to koszmarne uczucie pustki, ten bezsens, a z drugiej dziwną ulgę. Ale na razie - ironiczny uśmiech wykrzywił mu wargi - był zdany wyłącznie na siebie; w jego życiu nie było żadnej kobiety, która wzięłaby go w ramiona, pocieszyła.

Kiedy drzwi windy się zasunęły, ogarnęło go irracjonalne pragnienie, aby wysiąść na czwartym piętrze, tam gdzie mieścił się oddział położniczy, odszukać doktor Danni Goodlove i powiedzieć jej o wszystkim. Był przekonany, że nie odtrąciłaby go. Przeciwnie, wysłuchałaby i na pewno zrozumiała, co przeżywa. Ale mógł się mylić: w końcu wielokrotnie mylił się w przeszłości. Prawie w ogóle się nie znali, ona zaś wcale nie sprawiała wrażenia zainteresowanej, kiedy napomknął o tym, że mogliby się razem gdzieś wybrać. Zaledwie kwadrans temu wręczył jej swoją

wizytówkę. I co? Miałby się teraz pojawić u niej w gabinecie, ze ściśniętym gardłem i łzami kręcącymi się w oczach, szukając... Czego? Pocięchy i współczucia?

Wcisnął dolny guzik, by zjechać na parter. Jakiś czas temu obiecał sobie, że nigdy więcej nie będzie uganiał się za żadną kobietą, choćby nie wiadomo, jak bardzo mu się podobała. Zamierzał dotrzymać słowa.

Wyjął z kieszeni kluczyki samochodowe. Postanowił, że w drodze do domu stanie przy jakimś sklepie i kupi kartkę z kondolencjami, którą wyśle biednej pani Taylor.

## *Rozdział 6*

Carol wyłączyła automatyczną bieżnię i oparła się o ramę.

- Przepraszam bardzo, ale czy nie po to męczysz się jak skazaniec, żeby wzbudzić zainteresowanie jakiegoś przystojnego, samotnego kawalera?

- Myślałam, że dieta i ćwiczenia mają wpłynąć dobroczynnie na moje samopoczucie, a nie służyć do uwodzenia - zauważyła kwaśno Danni.

- Nie wygłupiaj się. Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

Danni przestała pedałować; chciała sobie wszystko spokojnie przemyśleć. Owszem, dziwnie się zachowała, kiedy Matthew Creed spytał, czy może do niej zadzwonić; miała tego pełną świadomość. Ale jak to wytłumaczyć przyjaciółce? Że można czegoś pragnąć aż do bólu, a jednocześnie śmiertelnie się tego bać?

Jackie, która stała w rogu, ćwicząc z hantlami, nie omieszkała wtrącić swoich trzech groszy. Od czasu pierwszej wspólnej sesji gimnastycznej wszystkie trzy mówiły do siebie po imieniu.

- Jeżeli mężczyzna daje ci swój numer telefonu, to znaczy, że chce, żebyś zadzwoniła.

- Bo ja wiem? - Danni podniosła ręcznik i wytarła z czoła strużkę potu. - Czuję się przy nim taka... spięta. Jąkam się i czerwienię. Może dlatego, że pochodzimy z dwóch różnych światów? A może on nie jest w moim typie? - Znow przykładając

ręcznik do twarzy, westchnęła cicho: - Prawdę mówiąc, sama nie wiem, jaki jest mój typ.

Carol i Jackie popatrzyły na siebie porozumiewawczo.

- Słuchaj, złotko... - Carol ponownie uruchomiła bieżnię. - Matthew Creed jest w typie każdej kobiety. Może po prostu nie przywykłaś do tego, żeby przedstawiciele płci brzydkiej wodzili za tobą wzrokiem albo próbowali cię poderwać, ale pedaľuj dalej - wskazała ręką na rower treningowy - i wkrótce się przyzwyczaisz. Faceci będą się za tobą uganiać...

- Jak byczki za krową - wtrąciła z chichotem Jackie. Danni skrzywiła się z niesmakiem.

- Za krową?

- No dobrze. Jak byczki za szczupłą, tryskającą zdrowiem, ponętną jałoweczką - poprawiła się Jackie.

Danni wybuchnęła wesołym śmiechem.

Ku jej zaskoczeniu słowa Carol spełniły się co do joty. Po kolejnych dwóch tygodniach tortur, czyli ćwiczeń i wyrzeczeń, nawet doktor Bryant zauważył zmianę w jej wyglądzie. Zauważył i skomentował.

Któregoś ranka stała pochylona nad biurkiem, sięgając do zawieszanej na ścianie półki z przegródkami, w których tkwiły karty pacjentów, kiedy Bryant wszedł do pokoju. Przyłożył palce do oczu, jakby patrzył przez lornetkę, i cmokając głośno z zachwytu, zawołał:

- Co za kształtny tyłeczek! I co za rozkoszny widoczek!

Danni wyprostowała się i posłała mu lodowate spojrzenie, ale mimo to czuła, jak twarz pokrywa jej rumieniec. Jeszcze nigdy w życiu żaden mężczyzna tak do niej nie mówił. Z jednej strony zachowanie kolegi ją drażniło, z drugiej zaś pochlebiało.

- To tylko niewinny komplement. - Bryant rozłożył ręce w bezradnym geście. - Ale widzę, że nasza Królowa Śniegu go nie docenia.

Danni zmrużyła oczy. Identyczne stanowiska, jakie zajmowali w szpitalu, sprawiały, że stale ze sobą rywalizowali, czasem na wesoło, czasem ostro. Często się też przekomarzali, ale tego było już za wiele.



- Inna nie posiadałaby się z radości - oznajmił. - Podejrzewam, że ty nie czujesz...

- Co ja czuję, to nie twój interes - odparła spokojnie Danni. - I w przyszłości nie życzę sobie uwag na temat mojej anatomii. - Zaczęła wyciągać kolejne karty z przegródek nad biurkiem.

- No cóż, nie jestem ślepy - rzekł Bryant cichym, poufałym tonem. - Zresztą myślałem, że ta cała gimnastyka i dieta mają to właśnie na celu. Żeby spodobać się facetom - dodał i postąpił krok w jej stronę.

Danni bez słowa wysunęła krzesło, usiadła przy biurku, włożyła na głowę słuchawki, otworzyła pierwszą kartę i zaczęła mówić do dyktafonu.

- Słuchaj... - Bryant nagle zmienił taktykę; minę miał autentycznie skruszoną. - Nie chciałem cię urazić. Słowo honoru. Naprawdę świetnie wyglądasz.

Danni nie podniosła głowy. Kątem oka zauważyła, jak Bryant z przesadnym zniecierpliwieniem wzrusza ramionami, po czym idzie do dyżurki i zaczyna opowiadać coś pielęgniarce, śmiać się z nimi i żartować.

Incydent z Bryantem trochę wytrącił ją z równowagi. Wprawdzie Carol od początku ją uprzedzała, że nowa, odmieniona doktor Danielle Goodlove będzie wzbudzać zainteresowanie mężczyzn, lecz Danni nie chodziło o tego typu zainteresowanie. Czy natarczywe, uwodzicielskie spojrzenia to cena, jaką się płaci za bycie atrakcyjną, zadbaną kobietą? Im dłużej rozmyślała o zachowaniu swojego kolegi, tym większa ogarniała ją wściekłość. Musiała jednak przyznać, że zrzuciwszy parę kilogramów, podobała się sobie znacznie bardziej niż dawniej. I znacznie lepiej się czuła. Zamierzała więc kontynuować zarówno dietę, jak i ćwiczenia, nie przejmując się niechcianymi zalotami takich facetów jak Bryant.

Następnego dnia postanowiła urozmaicić nieco swój program gimnastyczny. Wraz z Carol zaczęła uprawiać jogging - biegały trzy razy w tygodniu po pracy. Poza tym, codziennie rano jeździła do stajni i samodzielnie oporządzała swoją piękną czekoladową klacz o imieniu Błyskawica.

W ciągu zaledwie sześciu tygodni jej sylwetka zmieniła się nie do poznania. Danni miała świadomość, że nigdy nie będzie małą, drobną kobietką - budowę ciała odziedziczyła po ojcu - ale to jej zupełnie nie przeszkadzało. To, co widziała w lustrze,

w zupełności ją satysfakcjonowało. W szafie wisiała nowa garderoba, w sam raz na wspaniałe romantyczne randki.

Tylko że na randki nikt jej nie zapraszał.

Któregoś piątkowego wieczoru kręciła się po domu w starym różowym szlafroku, popijając drugą szklaneczkę dżinu z tonikiem - mogła sobie pozwolić na pełen relaks, bo doktor Stone zgodził się pełnić dyżur telefoniczny przez cały weekend - kiedy nagle z góry zbiegła Jackie. Miała na sobie obcisłe spodnie i bluzkę w lamparci wzór.

- Dokąd to? Na safari? - spytała Danni, grzechocząc w szklance kostkami lodu.

- Można to tak nazwać - rzuciła przez ramię dziewczyna, kierując się do holu. - Jak się chce zapolować na zwierzyń, trzeba wybrać się do dżungli.

Zatrzymawszy się przed lustrem, napuszyła sobie grzywkę, odgarnęła do tyłu opadający na twarz kosmyk, poprawiła wielkie kolczyki w uszach. I wtem spostrzegła, że Danni przygląda się jej z wymownym uśmiechem.

- Słuchaj - powiedziała, odwracając się - chadżam tam, gdzie mogę kogoś spotkać. Czy to źle?

- Carol twierdzi, że kobieta powinna czekać, aż mężczyzna sam do niej przyjdzie - odparła Danni.

- Przecież mamy lata dziewięćdziesiąte! Poza tym Carol nie umawia się na randki... Nie obraż się, Danni, ale chyba wiem, na czym polega twój problem. Masz staroświeckie poglądy. Uważasz, że „damie” nie wypada uganiać się za facetami, a siebie oczywiście uważasz za damę.

- To nieprawda! - zawołała Danni, przeczesując palcami skrecone włosy. - Mylisz się!

Jackie przyjrzała się jej sceptycznie, po czym wskazując na szklanekę, spytała:

- Co tam masz? Dżin? - Podeszła do lekarki, wyjęła jej szklanekę z dłoni i podniosła do nosa. - Alkohol jest potwornie tuczący. - Ruszyła ze szklanką do kuchni.

- Dolałam toniku, dużo toniku - broniła się Danni, patrząc z przerażeniem, jak Jackie wylewa płyn do zlewu, a szklanekę wstawia do zmywarki.

- Na moje oko trochę przesadziłaś. I z dżinem, i z tonikiem.

- Może - przyznała ze skruchą Danni, wyjmując z lodówki butelkę wody mineralnej.

Dziewczyna posmutniała.

- Przepraszam, droga pani doktor. Po moich doświadczeniach z Williem pozostał mi uraz... Widok alkoholu działa na mnie jak płachta na byka.

- W porządku, nic się nie stało. - Danni przyłożyła butelkę wody do ust i pociągnęła wielki haust. - A tamto świństwo faktycznie ma mnóstwo kalorii.

- Chcesz, żebym przed wyjściem przygotowała ci coś do jedzenia? - zaproponowała dziewczyna. - A może... może miałabyś ochotę wybrać się ze mną i moimi kumpelkami?

Danni wzdrygnęła się w duchu. Czy jest z nią aż tak źle? Czy aż tak nisko upadła? Ma przyjąć zaproszenie od swojej pomocy domowej, która jej bardzo współczuje? Dziewczyna szła poszaleć z koleżankami, które ledwo przestały być podlotkami... Wykluczone!

- Dzięki, Jackie, ale nie. - Uśmiechnęła się i wypila następny łyk wody. - To miło z twojej strony, mam jednak stopy zaległej lektury. - Skinęła głową w stronę gabinetu.

- Właściwie to mogę ci dać wolne w ten weekend. Stone do poniedziałku rano pełni dyżur pod telefonem, a podgrzać sobie posiłek jeszcze potrafię... - Poklepała czule nową zamrażarkę pełną dietetycznych dań.

- No dobra - rzekła cicho dziewczyna i po chwili tak delikatnie, jakby bała się naruszyć spokój ciężko chorej osoby, zamknęła za sobą drzwi.

Może faktycznie uważa mnie za ciężko chorą? - pomyślała Danni, wyciągając z zamrażarki lekkostrawną, nisko-kaloryczną przystawkę. Bądź co bądź w piątkowy wieczór siedzę sama w domu, rozczulając się nad sobą...

Wstawiła jedzenie do kuchenki mikrofalowej.

- Dobry Boże! Co się ze mną dzieje? - spytała samą siebie.

Kiedy tak stała, wpatrując się w zegar na mikrofalówce odmierzający czas, przemknęło jej przez myśl, że zegar jej życia tyka równie szybko. Miesiące i lata mijają niepostrzeżenie.

- Kobieto, weź się w garść! Jasno określ cel i do roboty! Celem było znalezienie partnera.

Studia, a potem staż w szpitalu ukończyła dzięki niezwykleму uporowi oraz ogromnej sile woli. Zastanawiała się, jak to możliwe, aby pełna pomysłów, młoda dziewczyna gotowa zawojować świat, stała się bezwolną kobietą, która w piątek wieczór siedzi sama w pustym domu i użala się nad sobą, jedząc odgrzewany posiłek.

W porządku, kochana, koniec żartów! Wydobyła z szuflady notes z telefonami i zadzwoniła do wszystkich znajomych osób, które - jak sądziła - mogłyby jej pomóc. Oznajmiła im wprost, że chciałyby kogoś poznać, jakiegoś wspaniałego faceta, byleby to tylko nie był ktoś w stylu ulubieńca jej matki, czyli miłego i piekielnie nudnego Wesleya Fuerborne'a.

Tak, Danni Goodlove przystąpiła do działania, zdecydowana odmienić swój los.

Nazajutrz po południu odezwała się jedna z osób, do których wczoraj zadzwoniła, i poinformowała ją, że zna człowieka, księgowego, który ma „wielki potencjał”.

Była to pierwsza randka w ciemno, na jaką Danni się kiedykolwiek wybrała.

Potem miała nadzieję, że kolejne okażą się lepsze, bo ta była kompletnym niewypałem.

Księgowy z wielkim potencjałem był chudy jak szkielet, w dodatku nie potrafił spokojnie usiedzieć. Bez przerwy odgarniał do tyłu włosy, wygładzał obrus, strzepywał niewidoczne pyłki, układał równo sztucce, nie tylko swoje, ale także te przy talerzu Danni. Najwyraźniej miał bzika na punkcie czystości i porządku. Danni wprost korciło, aby związać mu ręce.

Jeśli zaś chodzi o rozmowę przy kolacji... No cóż, Danni czuła się tak samo jak wtedy, gdy usiłowała rozpalić ogień w ogromnym kominku w domu swoich rodziców: wrzucała szczapki, wtykała zmięte gazety, raz po raz przytykała zapaloną zapałkę, ale nic z tego nie wychodziło. Pojawiał się dym, nigdy zaś płomień czy żar.

Najgorsze jednak było zachowywanie faceta w stosunku do niej. Wciąż ją dotykał, poklepywał. Chichotał nerwowo, błyszczącymi z podniecenia oczami wpatrując się w jej biust.

Danni miała wrażenie, że nieustannie pożera ją wzrokiem. Już od pierwszej chwili nie mogła się doczekać końca wieczoru.

Dlaczego tylko ja mam cierpieć, pomyślała w pewnym momencie, i przystąpiła do kontrataku. Z początku zadawała leciutkie ciosy, a to bawiła się widelcem, po czym odkładała go pod kątem ostrym do talerza, a to strącała serwetkę na podłogę, ale w drodze powrotnej do domu wreszcie nie wytrzymała; udając, że nie może znaleźć klucza, wysypała zawartość torebki na siedzenie w samochodzie.

- Boże, zawsze mam w torebce taki bałagan!

Sądziła, że to go powinno skutecznie zniechęcić, ale jeszcze na wszelki wypadek rzuciła na podłogę zmiętą chusteczkę do nosa.

Pod drzwiami do swojego domu przez chwilę szamotała się, usiłując wetknąć klucz do zamka, a jednocześnie wykręcić szyję tak, żeby na pożegnanie księgowy pocałował ją w policzek, nie w usta.

- Dobranoc - oznajmiła krótko, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Nareszcie była wolna i bezpieczna. Chciała się zaszyć we własnych czterech ścianach i nigdy więcej ich nie opuszczać.

Udała się prosto do olbrzymiej sypialni; w sąsiadującej z nią łazience przygotowała sobie pachnącą kąpiel z pianą, po czym zanurzyła się w parującej wodzie, żeby zmyć z siebie smutek i chandrę. Leżąc w wannie i rozkoszując się ciepłem, ponownie zaczęła myśleć o przystojnym strażaku.

Nie potrafiła o nim zapomnieć. Ale dlaczego?

Dlaczego? Uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrach, które z trzech stron otaczały wannę. Może dlatego, że miał szerokie ramiona, długie nogi, urodę gwiazdora filmowego? Z drugiej strony czy takiego supersamca może interesować taka kobieta jak ona? Chyba nie. A jednak... jednak spytał, czy mógłby do niej zadzwonić.

Powoli uniosła się i wyciągnęła korek z wanny. Przez chwilę stała w wodzie po łydki, ociekając pianą, i oglądała w lustrze swoją nową, szczupłą sylwetkę. Przejechała delikatnie ręką po biodrze, po jędrnym udzie. Całkiem niezła babka, pomyślała; naprawdę nie miała się czego wstydić. Problem polegał na tym, że przez

tyle lat tak umiejętnie tłumiła w sobie wszelkie żądze, że teraz najzwyczajniej w świecie nie wiedziała, co z nimi zrobić.

Analizując chłodno sytuację, zdawała sobie sprawę, że strach przed miłością, który tak silnie odczuwała, jest związany ze śmiercią Lizy. Podejrzała, iż fakt, że jako specjalność wybrała położnictwo, też nie jest bez znaczenia.

Emocjonalnie jednak znacznie trudniej było jej to wszystko zaakceptować. Ciągłe w myślach widziała Lizę, widziała ją, jak siedzi przed lustrem, czesze lśniące, gęste włosy i coś wesoło opowiada. Liza wszystko traktowała z przymrużeniem oka; miała ogromne poczucie humoru i szalone powodzenie u chłopców. Danni, poważna, pilna, roztropna Danni, uwielbiała swoją pogodną, pełną temperamentu starszą siostrę.

Żeby się nie rozplakać, zacisnęła mocno usta. Jakże to teraz ma znaczenie? Liza zmarła tak dawno temu; w grudniu minie dwadzieścia lat.

A jednak ma to jakieś znaczenie. Cięża i śmierć siostry stale prześladowały Danni, nie pozwalały się jej zakochać, nawiązać więzi uczuciowych z jakimkolwiek mężczyzną. Ileż to razy usiłowała sobie wytłumaczyć, że postępuje nierozsądnie? Że nie ma się czego bać? Że Liza pragnęłaby jej szczęścia?

I ileż to razy zwyciężał smutek i strach! Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze; w oczach dojrzała znajomy wyraz bólu.

A przecież marzyła o miłości. Pragnęła kogoś. Mężczyzny. Prawdziwego mężczyzny.

Owinęła się puszystym białym ręcznikiem, pociągnęła energicznie szczotką po włosach, po czym, cisnąwszy ją na marmurowy blat, przeszła do sypialni. Otworzyła szufladę w szafce nocnej, gdzie leżała starannie przechowywana jasnoszara wizytówka. Właściwie nie była jej potrzebna. Znała numer domowy na pamięć.

Chwyciła słuchawkę i szybko, zanim strach zdążył odebrać jej mowę zadzwoniła do Matthew Creeda.

## Rozdział 7

- Halo?

Kobiecy głos! Zmysłowo brzmiący, lekko ochrypły. Wskazujący na spożycie alkoholu. Albo...

Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy się nie pomyliła. A raczej miała nadzieję, że się pomyliła, że wykręciła niewłaściwy numer.

- Czy zastałam Matthew Creeda? - spytała. Przygryzła wargi i wstrzymała oddech. Niech to będzie zły numer, niech to będzie zły numer, modliła się w duchu.

Przez chwilę w słuchawce słychać było jedynie szelest. Czyżby szelest prześcieradeł?! Już chciała się rozłączyć, kiedy usłyszała głęboki męski głos:

- Halo?

Rany boskie! Co jej strzeliło do głowy, żeby dzwonić do strażaka? Niewiele się namyślając, wcisnęła przycisk przerywający połączenie i rzuciła słuchawkę na łóżko. Wpatrywała się w nią z przerażeniem, jakby to był odbezpieczony granat.

I w tym momencie telefon zadzwonił. Danni drgnęła, po czym owinęła się mocniej ręcznikiem.

Rozległ się drugi dzwonek.

Ponieważ była lekarką i często pełniła dyżur pod telefonem, czuła się w obowiązku odebrać. Wprawdzie dzisiejszego wieczoru dyżur miał Stone, ale może chciał jej zadać jakieś pytanie dotyczące którejś z pacjentek? Szkoda, że wyłączyła pager! Po trzecim dzwonku zdobyła się na odwagę i sięgnęła po słuchawkę.

- Doktor Goodlove. Słucham?

- No tak...

Rozpoznała jego głos, niski, ochrypły od snu, a może od alkoholu lub... Nie, nie chciała o tym myśleć.

- Więc to jednak pani...

Danni poczuła, jak serce jej wali, a na gardle zaciska się stalowa obręcz.

- W moim aparacie wyświetla się numer, z którego ktoś do mnie dzwoni - wyjaśnił nie zrażony jej milczeniem.

- No właśnie. Coś mnie rozłączyło.
- Czym mogę służyć, pani doktor?

Korciło ją, żeby spytać: czy jest z tobą w łóżku jakaś kobieta? Ale zamiast tego powiedziała:

- Przepraszam, że zawracam panu głowę w domu.
- Nie szkodzi - powiedział, a ona znów usłyszała szelest prześcieradła. - Nie robię nic ważnego.

Przemknęło jej przez myśl, że chyba by tak nie mówił, gdyby obok leżała kobieta.

- Więc czym mogę służyć? - powtórzył.

Zawahała się; w ciągu tych dwóch sekund, zanim mu w końcu odpowiedziała, nerwowo zastanawiała się nad tym, do jakiego uciec się kłamstwa. Że wynik badania okazał się nie najlepszy? Że powinien kontynuować kurację antybiotykową? Że niechcący nie wyjęła jednego szwu? Że tego dnia, kiedy był w szpitalu, wybuchła epidemia wirusa Eboli?

Wybrała prawdę.

- Może byśmy poszli kiedyś na drinka?
- Chętnie - rzekł cichym, zmysłowym głosem. - Z dużą przyjemnością.

Dobry Boże! Co ona wyprawia?

- Może jutro? - spytała, jedną rękę zaciskając na ręczniku, drugą na słuchawce.
- Świetnie. Gdzie?

Poczuła pustkę w głowie. Bądź co bądź nie codziennie proponowała mężczyznom randkę. Chciała jednak nad wszystkim mieć kontrolę.

- Hm... Zna pan „Dziki Widelec”?

Powiedziawszy to, ugryzła się w język. Na miłość boską, facet był strażakiem! Pewnie kibicował lokalnym drużynom, a potem razem z kolegami świętował zwycięstwo w „Hooters”, gdzie skąpo odziane panienki roznosiły zamówione drinki i dania. „Dziki Widelec”! Ale wymyśliła! Na ścianach współczesna sztuka, a na stołach egzotyczna woda mineralna. No cóż, przynajmniej lokal znajduje się niedaleko jej domu.



- „Dziki Widelec”? - Znów szelest pościeli. - Zdaje się, że to na Utica Square, prawda? Tam się chce pani spotkać?

- Tak. Około siódmej?

- Dobrze. Jaką tym razem zaskoczy mnie pani fryzurą? Danni uśmiechnęła się.

- Zieloną. Na Irokeza - odparła, gratulując sobie w duchu odwagi, refleksu i humoru.

Zawsze uważała „Dziki Widelec” za miły, przytulny lokal z dobrym jedzeniem i sympatyczną atmosferą, w którym samotna kobieta może zjeść kolację w spokoju, przez nikogo nie nagabywana. Teraz jednak, kiedy siedziała przy stoliku, czekając na Matta i próbując spojrzeć na knajpkę jego oczami, atmosfera wydała się jej zbyt napuszczona.

Ściany sali, w której Danni zamówiła stolik przy oknie, zdobiły damskie piersi z pleksiglasu w jaskrawych, neonowych kolorach. Czy te ohydztwa zawsze tu były? Przesiadła się; lepiej aby to ona miała przed oczami te wspaniałe dzieła sztuki, a Matt niech siedzi zwrócony twarzą do wejścia. Karmazynowy odcień boazerii w holu zawsze się jej dotąd podobał; uważała, że jest wesoły, a jednocześnie stylowy i odważny. Teraz wydał się jej kiczowaty, niegustowny.

Opuściła wzrok. Miała nadzieję, że dokonała właściwego wyboru, wkładając małą czarną. Bo co będzie, jeśli on przyjdzie w dżinsach i sportowej koszuli? Zerknęła na swoje odbicie w szybie, ale niewiele zobaczyła, bo szyba była zaparowana, ociekająca deszczem. Pogoda nie sprzyjała wychodzeniu z domu. Lało jak z cebra, było zimno, nieprzyjemnie. Może on w ogóle się nie pojawi?

Jej nowy wizerunek wciąż był dla niej zaskoczeniem, nawet taki jak teraz, niewyraźny, ledwo widoczny w zamazanej szybie. Wiedziała jedno: bez okularów w grubych solidnych ramkach wygląda niepoważnie, trochę naiwnie.

Odgarnęła za ucho włosy. Nienawidzi tej swojej fryzury! W ostatniej chwili Jackie próbowała coś z nią zrobić, potem przyniosła z góry wielkie okrągłe kolczyki i kazała je Danni włożyć. Patrząc w szybę, zauważyła, że migoczą w blasku stojącej na stoliku świecy. Przypomniała sobie, co mówił strażak: że lubi naturalność. No cóż, akurat dziś ona wolała siebie umalowaną. Odwróciła wzrok od okna i pociągnęła łyk wina, starając się zrelaksować.

Zapach jedzenia, które kelner postawił na sąsiednim stoliku, sprawił, że poczuła się głodna. Kiedy jednak zerknęła na wykwintne, elegancko podane dania, przyszło jej do głowy, że strażak pewnie ma prosty, niezbyt wyrafinowany gust i sam widok tego typu potraw może go irytować.

Przebywający w lokalu mężczyźni wyglądali dość kobieco. Pewnie nabrałyby podejrzeń co do ich skłonności seksualnych, gdyby nie to, że kilku z wyraźnym zainteresowaniem przyglądało się atrakcyjnej młodej kobiecie w prowokującej czarnej sukience siedzącej samotnie przy stoliku pod oknem nad kieliszkiem białego wina.

Wielokrotnie jadała samotnie w lokalu - nie miała z tym najmniejszych problemów. Ale co innego wybrać się samej na kolację, a co innego czekać samotnie na mężczyznę. Była coraz bardziej spięta Niepotrzebnie przyszła kilka minut przed czasem. Wydawało jej się, że powinna być na miejscu, kiedy on się pojawi, w końcu to ona go zaprosiła, ale powoli zaczynały ją dręczyć wątpliwości. Zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu, proponując strażakowi randkę, czuła się odważna i wyzwolona. Teraz nie mogła się sobie nadziwić. Co cię opętało? Dlaczego, głupia, zadzwoniłaś? - spytała samą siebie po raz setny.

Po raz sto pierwszy już nie zdażyła, bo zobaczyła, jak Matthew Creed przeskakuje kałużę, a potem wchodzi na zadrzewiony dziedziniec. Miał na sobie sportową marynarkę oraz jasne bawełniane spodnie, w rękę trzymał parasol. Wyglądał świetnie.

Czyż nie dlatego do niego zadzwoniła? Dlatego że na jego widok serce biło jej przyspieszonym rytmem?

Na moment zwolnił, aby przyjrzeć się dużej, odlanej w brązie rzeźbie, przedstawiającej dziewczynkę z ptakiem. Jego zachowanie zdziwiło, a zarazem ucieszyło Danni. Chwilę później skierował wzrok na szybę; zobaczył ją przy stoliku, wpatrzoną w niego, uśmiechniętą. Jego twarz rozjaśniła się promiennym uśmiechem, który sprawił, że Danni zakręciło się w głowie. Pomyślała sobie, że może wieczór okaże się całkiem udany.

I tak też było, mimo że Matt bez przerwy wyśmiewał się z wykwintnych dań podawanych w lokalu. W pewnej chwili z takim rozbawieniem skomentował

mikroskopijną porcję, którą kelner przed nim postawił - „Chyba jesteśmy w kramie Liliputów” - że kilka siedzących nieopodal osób obejrzało się w jego stronę.

Później odprowadził Danni do domu, a ona zaprosiła go do środka. Minąwszy próg, zagwizdał cicho z wrażenia. Podobała jej się jego szczerość, bezpośredniość i poczucie humoru. Dużo się śmiali zarówno podczas kolacji, jak i później, gdy schowani pod parasolem szli spacerkiem przez Utica Square. Spędzili z sobą tylko dwie godziny, lecz Danni miała wrażenie, że znają się od lat. Właśnie dlatego, że tak dobrze i swobodnie czuła się w jego towarzystwie, bez najmniejszych oporów zaprosiła go do siebie na kawę.

Z przyległego do garażu pomieszczenia gospodarczego wyłoniły się dwa wyżły weimarskie, które podeszły do Matthew i - co zdecydowanie liczyło mu się na plus - pozwoliły się pogłaskać. Na ogół były nieufne, krążyły wokół obcych, przyglądając się im spode łba, a na księgowego, z którym Danni wybrała się na randkę w ciemno, wręcz warczały.

- Perła i Dym. - Przedstawiwszy Mattowi zwierzęta, Danni zaczęła chodzić od kontaktu do kontaktu i zapalać w domu światła.

Matt przykucnął na jednym kolanie i podrapał zwierzęta za uszami.

- Dobre psiska. Grzeczne psiska.

- No, do budy! Na posłanie! - rozkazała Danni, ale zwierzęta dalej trącały Matta nosami, kompletnie ignorując jej polecenie. Wzdychając z rozżaleniem, założyła psom obroże. - Tyle płacę za tresurę, że mogłyby się czegoś wreszcie nauczyć!

- Pewnie czują zapach Panny Werbeny.

- Panny Werbeny? - spytała, prowadząc psy do pomieszczenia gospodarczego, w którym miały urządzone wygodne posłanie.

- Mojej suki - odparł, idąc za Danni. - Hej, wiesz co? - Przystając na środku przedziwnie zbudowanego holu o wielu ścianach schodzących się pod różnymi kątami, rozpostarł szeroko ramiona i uśmiechnął się szeroko. - Znam ten dom!

- Słucham?

Miała ochotę uszczypnąć się i sprawdzić, czy nie śni. Cały wieczór zachowywała się, przynajmniej we własnym odczuciu, jak stara panna na pierwszej w

życiu randce. Była przekonana, że Matt musi być nią całkowicie znudzony, ale musiała przyznać, że nie okazywał znudzenia, przeciwnie, cały czas tryskał humorem.

- Już tu kiedyś byłem.

- Serio? Kiedy? Kupiłam go kilka miesięcy temu i...

- Podczas prac remontowych. Posadziłaś przed wejściem nowe krzewy i wymieniłaś drzwi, więc w pierwszej chwili się nie zorientowałem, ale to ja układałem tu podłogi.

- Z isticie kocią gracją schylił się i pogładził lśniąca dębową klepkę u swych stóp. - Ten kolor... to mój ulubiony. Jasny orzech, zgadza się?

Stała jak urzeczona, w milczeniu obserwując jego zwinne, pełne wdzięku ruchy, szerokie ramiona, szczupłe biodra.

- Owszem... Jasny orzech. - Z trudem wydobyła głos.

- Układałeś tu podłogę?

- Tak, z moim przyjacielem Tomem. Założyliśmy małą firmę. - Wstał i otrzepał ręce, choć Jackie utrzymywała dom w stanie niemal sterylnej czystości. - Właściwie w wolnym czasie wykonujemy różnego rodzaju prace remontowe. Pewnie nie wiesz, ale strażacy mają bardzo nieregularne godziny pracy i całkiem sporo wolnego czasu.

- Tak, wiem... A więc podłogi... Co za dziwny zbieg okoliczności.

- Prawda? Powiedziano nam, że dom kupił jakiś bogaty lekarz, który postanowił go gruntownie odnowić. Nie przyszło mi do głowy, że tym bogatym lekarzem jest piękna pani doktor.

Danni oblała się rumieńcem.

- No... ja... - zaczęła się jąkać. Znów czuła się speszona niczym stara panna na pierwszej randce. - Spisaliście się... świetnie, ty i twój przyjaciel. Prawie na medal.

- Prawie?

- Tak, w jednym miejscu lakier trochę popękał, ale położyłam tam dywan, więc nic nie widać.

- Serio? Lakier popękał? Tomowi to się nie spodoba. Facet jest perfekcjonistą. Ja zresztą też. - Uderzył się ręką w pierś. - Mógłbym obejrzeć?

Rumieniec na twarzy Danni pogłębił się.

- To w sypialni... - bąknęła.

- Aha. - Matt też wydał się lekko stropiony. - No dobra, mogę obejrzeć przy innej okazji, Zadzwoń któregoś dnia, to przyjedziemy z Tomem i wszystko naprawimy.

- Nie, w porządku, teraz ci pokażę - rzekła z uśmiechem. Nie chciała, aby uważał ją za pruderyjną, pełną kompleksów dziwaczkę.

Kiedy weszli do ogromnej, niemal pięćdziesięciometrowej sypialni, Matt znów gwizdnął z wrażenia. Na jednej ścianie znajdowały się podwójne drzwi prowadzące do wielkiej, przestronnej łazienki.

- Rany boskie! Bomba! Jak wspaniale urządzone! Danni roześmiała się zadowolona. Przez cały wieczór zaskakiwał ją najróżniejszymi komplementami.

- Jakie cudo! - zawołał, podchodząc do wnęki okiennej, w której znajdowało się wspaniałe siedzisko pełne wielkich poduszek. Po bokach zwisały grube pastelowe zasłony. - Często tu przesiadujesz?

Danni skinęła głową; odkrył jej ulubione miejsce.

- Tak. Zwłaszcza w deszczowe dni lubię tu przyjść z filiżanką dobrej herbaty, odsunąć zasłony i obserwować deszcz.

- Musi być przyjemnie... - Zadarł głowę do góry. Okno było wysokie, sięgające sufitu i składające się z dziesiątek niedużych szybek. - A ktoś to myje?

- Zatrudniam pomoc domową - odparła takim tonem, jakby to było oczywiste, po czym zła na siebie ugryzła się w język. Bo Jackie nie była tylko służącą; była również przyjaciółką. - Ma na imię Jackie - dodała cicho.

Matt odwrócił się od okna i przyjrzał się jej uważnie.

Był niesamowicie przystojny, nawet wtedy gdy marszczył czoło i się krzywił. Na szczęście zachowywał się tak, jakby nie zdawał sobie sprawy z własnej urody, która ją, Danni, niemal zwałała z nóg.

Setki pytań nasuwały się jej na myśl: Co my tu robimy? Co on we mnie widzi? Co dalej?

- Naturalnie. Pomoc domowa - powtórzył z nutą sarkazmu i ponownie skierował wzrok na okno. - Są pokryte specjalną folią antywłamaniową?

- Nawet dwiema warstwami.

- Jak się je otwiera?

- U góry. - Wskazała na zamontowane pod sufitem urządzenie. - To dodatkowy środek zabezpieczający. W ten sposób trudniej się dostać do środka.

- I trudniej wydostać na zewnątrz - mruknął pod nosem. Przeszedł przez pokój i zajrzał do łazienki. Podłoga wyłożona była piękną włoską terakotą; ścianę nad wanną zajmowało wielkie, nie otwierane okno z grubego, nieprzezroczystego szkła.

- Nie ma tu zapasowych drzwi?

- Gdzie? W łazience? - zdziwiła się.

Wrócił do sypialni. Zmarszczka na jego czole znikła, na ustach zagościł uśmiech.

- Przemawia przeze mnie strażak. To co z tymi pęknięciami?

- Z jakimi pęknięciami? - spytała przerażona, pewna, że komentuje jej wygląd.

- Lakieru na podłodze. - Wykonawszy dwa wielkie kroki, znalazł się przy rozłożonym nieopodal łóżka perskim dywanie. - Mówiłaś, że zasłoniłaś je...

Zrolowali dywan na tyle, aby widać było miejsce, gdzie lakier popękał. Matt kucnął i przejechał dłonią po podłodze.

- To się bez problemu naprawi. Po prostu zadzwoń i podaj najdogodniejszy dla siebie termin. Ktoś natychmiast przyjedzie i się tym zajmie.

- Wolałabym, żebyś to był ty - powiedziała Danni z bijącym sercem. - Tak jak ty chciałeś, żebym to ja usunęła ci szwy - dodała, kiedy spojrzał na nią ze zdziwieniem.

Wciąż obmacując palcami podłogę, skinął wolno głową; w jego oczach pojawił się błysk, który sprawił, że Danni przeszły dreszcze. Może nie powinna była tego mówić? Tak mało w sumie wiedziała o mężczyznach.

Nie odrywając od niej oczu, uniósł się z kłęczek i podszedł tam, gdzie stała z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- To prawda, chciałem...

Zacisnął dłonie na jej nadgarstkach, odciągnął jej ramiona w bok i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Czują się skrępowana, a zarazem podniecona.

- Miałem swoje powody... - Powiódł spojrzeniem wyżej i zatrzymał je na jej twarzy. - Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą, Danni.

Zaczerwieniła się. Usiłowała się oswobodzić, ale wciąż trzymał palce zaciśnięte na jej nadgarstkach. Wreszcie się zlitował; pogładziwszy ją delikatnie po rękach, pozwolił jej opuścić ramiona.

- Cieszę się, że zadzwoniłaś. Właśnie rozmawiałem o tobie z Panną Werbeną...

- Z Panną Werbeną? To musi być wyjątkowy piesek - oznajmiła niewinnym tonem. - Przez telefon brzmiała zupełnie jak kobieta.

Matt odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem, po czym zbliżył jej ręce do ust i zaczął całować palce. Ku swojemu zdziwieniu odkryła, że ta poufałość wcale jej nie przeszkadza. Może dlatego, że Matt przez cały wieczór lekko ją dotykał, w sposób naturalny, nie natarczywy; a to musnął jej rękę, kiedy pili wino przy stoliku, a to ujął ją pod łokieć, kiedy opuszczali lokal, a to objął za ramię, gdy szli pod parasolem. Jego dotyk był zupełnie inny niż dotyk księgowego, z którym umówiła ją znajoma. O niebo przyjemniejszy. Wciąż trzymał ją za ręce i delikatnie gładził jej palce.

- Powiedz mi coś - poprosił. - Czy zdarzyło ci się już kiedyś zadzwonić do faceta i zaprosić go na drinka? Niby to nie moja sprawa...

- Nie - odparła i opuściła wzrok.

- Mnie też nigdy dotąd żadna kobieta nigdzie nie zapraszała.

- Kiedy już wykręciłam twój numer, wciąż nie byłam pewna, co powiedzieć.

Nadal nie jestem pewna, co mam robić.

- Wiesz co?

Przyciągnął Danni do siebie, splótł jej dłonie na swoich plecach, po czym wziął ją w ramiona. Przebiegł ją dreszcz podniecenia. Po raz pierwszy w życiu czuła niesamowite napięcie erotyczne.

- Nie musisz nic robić - powiedział szeptem, zbliżając wargi do jej ust. - Nic a nic.

## Rozdział 8

Ten jeden pocałunek, z początku czuły i delikatny, potem gorący i namiętny, sprawił, że z Danni zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Z jednej strony ogarnęła ją szalona żądza, z drugiej zaś dławiący, niepojęty strach. Oparła dłonie na piersi Matta i odepchnęła go, a jednocześnie przekręciła głowę, uwalniając usta spod jego warg.

- Poczekaj. - Przyłożyła rękę do serca; oddychała ciężko, jakby z trudem łąpała powietrze.

Natychmiast ją puścił.

- Dobrze, oczywiście. - Cofnął się o krok. Na jego twarzy malowało się szczere zaskoczenie. - Przepraszam - dodał po chwili. - Chyba źle odczytałem sygnały...

- Jakie... sygnały? - wydukała, gwałtownie wciągając do płuc powietrze.

Akurat w tym momencie przez zamontowany tuż nad kontaktem mały głośnik rozległ się aksamitny, kobiecy głos:

- Halo, halo! Już wróciłam! Oboje drgnęli.

- To moja gosposia - wyjaśniła Danni. - Zawsze, bez względu na porę, dajemy drugiej znać, że wchodzimy do domu. Żeby słysząc hałasy, nie myślała, że to złodziej.

- Rozumiem.

- Podobnie jak strażacy, lekarze też mają nieregularne godziny pracy.

- Faktycznie. - Stał na rozstawionych nogach, wetknąwszy kciuki za pasek spodni.

Danni podeszła do interkomu i wcisnęła guzik.

- Jackie?

- Słucham?

- Mam gościa. Czy mogłabyś nam zrobić kawę? Wypijemy ją w salonie.

Przez moment nie było odpowiedzi; dziewczyna najwyraźniej oniemiała.

Wreszcie ocknęła się.

- Oczywiście - rzekła i rozłączyła się.

Nagle Danni uświadomiła sobie, że urządzenie przy drzwiach wejściowych wskazuje, z którego pokoju dochodzi głos, a zatem Jackie musiała się zorientować, że



ona, Danni, przebywa z gościem w sypialni. W pierwszej chwili miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu, a potem pomyślała sobie, że kiepsko z nią, skoro tak bardzo przejmują się tym, co sobie o niej pomyśli jakaś roztrzepana panna.

Matt, co zauważyła z zadowoleniem, zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen, to znaczy tak, jakby jej dziwna reakcja na jego pocałunek nigdy nie miała miejsca. Przeszli razem do salonu i prowadzili uprzejmą rozmowę, dopóki Jackie nie pojawiła się z tacą z laki, na której oprócz filiżanek i dzbanka z aromatyczną kawą stało mnóstwo różnych przysmaków. Spoglądając na czekoladowe ciasteczka i kawałki owocowo-serowego tortu, Danni zaczęła się zastanawiać, jakie jeszcze niedozwolone frykasy Jackie ukrywa przed nią w kuchni.

Dziewczyna nie spieszyła się, układając serwetki i nalewając kawę do małych filiżanek z chińskiej porcelany. Kątem oka spoglądała na Matta. Przed wyjściem z salonu posłała Danni porozumiewawcze spojrzenie.

Przez moment pili w milczeniu kawę; potem Matt, jedząc z apetytem ciastka, zaczął opowiadać zabawne historyjki o Werbenie, które - jak podejrzewała Danni - miały na celu rozładowanie atmosfery.

- Miss Werbena to rozpuszczony pudel mojej świętej pamięci ciotki. Niestety, popełniłem błąd, obiecując umierającej ciotce Opal, że po jej śmierci zaopiekuję się jej ukochanym pieskiem.

- Naprawdę? - spytała zaintrygowana Danni. - Ciotka była na łożu śmierci, a ty...

- A ja jej solennie przyrzekłem, że Panna Werbena może u mnie mieszkać do końca swoich dni.

Uśmiechając się pod nosem, Danni pociągnęła łyk kawy.

- Jak rozumiem, Panna Werbena daje ci się trochę we znaki?

- O tak. Popiskuje, dygocze, wymiotuje... Przepraszam - dodał po chwili, biorąc do ust wielki kęs tortu. - W każdym razie, składając ciotce obietnicę, byłem pewien, że Panna Werbena wkrótce też zakończy żywot. Ciotka Opal miała tego pudła od niepamiętnych czasów. Pomyślałem sobie: co mi szkodzi zaopiekować się biednym zwierzakiem? Ciotka umrze szczęśliwsza, a suka pożyje jeszcze rok, najwyżej dwa.

- Stało się jednak inaczej? - spytała Danni, przeczuwając, że historia ma ciąg dalszy.

- Okazało się, że Panna Werbena, którą dostałem po śmierci ciotki, to druga Panna Werbena. Pierwsza zdechła, kiedy byłem zaprzątnięty wyjątkowo burzliwą i nieprzyjemną sprawą rozwodową.

Na dźwięk słowa „rozwód” w głowie Danni zabrzączał dzwonek ostrzegawczy. Ale po chwili się wyłączył. Czego się spodziewała? W końcu facet ma trzydzieści sześć lat, a rozwód czasem bywa konieczny i pożyteczny. Tyle że - jak Matt sam powiedział - jego był akurat burzliwy i nieprzyjemny.

I nagle ognisty rumieniec rozlał się Danni po twarzy, a wszystko dlatego, że pomyślała sobie, iż lepiej przeżyć gorącą miłość, a potem burzliwy rozwód niż - tak jak ona - jeden romans, w dodatku nudnawy, z Wesleyem Fuerborne'em.

- Więcej tego nie rób! Nie dzwoń do niego - oznajmiła stanowczo Carol, kiedy Danni opowiedziała jej przez telefon o cudownym wieczorze, jaki spędziła wczoraj ze strażakiem.

Wspomniała o tym, że na odwrocie kolejnej wizytówki zapisał jej dni i godziny swoich dyżurów, że niechcący zostawił na stoliku w salonie srebrne pióro, że przed samym wyjściem poprosił ją, by kiedyś znów do niego zadzwoniła.

Siedziała na tarasie, na wygodnym leżaku, w cieniu wielkiego dwustuletniego dębu, jednego z najstarszych i największych drzew w dzielnicy Woodward Park, którego widok napawał ją radością i dumą. Przyciskając słuchawkę do ucha, czuła, jak narasta w niej złość.

- Na miłość boską, Carol! Lada moment zaczniesz się dwudziesty pierwszy wiek! Mogę dzwonić, do kogo mi się żywnie podoba. Poza tym przyszło mi do głowy, że mogłabym mu odnieść pióro. Na własnym terenie człowiek zawsze zachowuje się trochę inaczej.

- Do domu? Chcesz iść do niego do domu?

- Nie bądź śmieszna. Nawet nie wiem, gdzie mieszka. Ale wiem, gdzie mieści się straż i znam jego godziny pracy.

- Zrobisz, jak uważasz. Ale mylisz się, jeśli sądzisz, że uganiając się za facetem, cokolwiek osiągniesz. Jeśli chodzi o intelekt, to może mężczyźni są

oświeceni, ale instynkt jest silniejszy od rozumu i instynkt każe im polować, zdobywać. Kiedy odbiera im się tę możliwość, zakłóca się ich DNA. To stwierdzony naukowo fakt.

- Pewnie zaraz mi zacytujesz Dziesięć Złotych Przykazań albo coś w tym stylu - odrzekła ironicznie Danni.

- Nie znam żadnych złotych przykazań, wiem natomiast, że mężczyźni uwielbiają wszelkiego rodzaju wyzwania.

Wzdychając głęboko, Danni wzniosła oczy do nieba. W górze nad sobą ujrzała skomplikowany deseń, jaki tworzyły lekko kołyszące się liście oraz prześwitujące pomiędzy nimi promienie słońca.

- Można z wami zwariować! Jackie chce ze mnie zrobić żywą, gorącokrwistą przynętę, a ty zimną, wyrachowaną manipulatorkę. A ja tylko chcę poznać sympatycznego faceta, z którym mogłabym założyć rodzinę i dzielić życie. Czy to takie dziwne? Czy jestem nienormalna?

- Nie, to całkiem naturalne i zrozumiałe pragnienie - zapewniła ją Carol. - Musisz jednak czekać, aż mężczyzna sam do ciebie przyjdzie. Nie powinnaś dzwonić do niemal obcych ludzi. Już lepsza byłaby randka w ciemno.

- I tu się mylisz! - zawołała Danni tonem, który nie pozostawiał cienia wątpliwości, że wie, o czym mówi.

- Naprawdę? - Carol nie potrafiła ukryć zdumienia. - Kiedy?

- W sobotę. Miał tyle uroku co chwast polny. I cuchnęło mu z ust.

- Świetnie. A więc łatwo było mu się oprzeć. Bo chyba jeszcze o tym nie wspominałam, co? Że na pierwszej randce raczej nie powinno się ulegać pokusom?

Danni jęknęła w duchu. Nie zamierzała przyznawać się Carol, że oparła się Mattowi - bo oparła mu się nie dlatego, że była na pierwszej randce. I nie z powodu żadnej starannie obmyślanej strategii. To, że odepchnęła Matta, że przerwała pocałunek, choć pragnęła go kontynuować, zaskoczyło ją samą. Nie podobały się jej sztuczki Jackie, kuszenie seksowną bielizną czy zwisającymi z uszu wielkimi kolczykami, nie podobała się jej chłodna kalkulacja i logika Carol, ale najbardziej ze wszystkiego nie podobała jej się jej własna reakcja - jakiś głęboko zakorzeniony strach przed seksem.

Po randce z Mattem i rozmową z Carol czuła się trochę mniej pewna siebie, pełna wahań i bezbronna, była jednak całkiem nieprzygotowana na to, co wydarzyło się następnego dnia w pracy.

Wraz ze Stone'em spędziła półtorej godziny w sali operacyjnej, za pomocą cesarskiego cięcia przyjmując przedwczesny poród trojaczków. Potem udała się do pokoju lekarskiego, żeby chwilę odpocząć. Stone dołączył do niej.

- Jestem pełen podziwu dla pani pracy - oznajmił, z westchnieniem ulgi wyciągając się na kozetce.

- Dziękuję - powiedziała, zwrócona twarzą do swojej szafki.

Stone usiadł i zaczął rozwiązywać buty, w których zwykle przeprowadzał zabiegi.

- Nie, nie, to ja dziękuję. Dziękuję, że mnie pani nie zawiodła. Bo widzi pani, zachęcałem radę, żeby przyjęła do pracy położnika kobietę. Uważałem, że czas najwyższy, żebyśmy wreszcie dogonili resztę kraju.

Danni najeżyła się. Facet pewnie nawet nie wiedział, że zachowuje się w sposób straszliwie protekcyjny. Ona miała świetne kwalifikacje i członkowie rady od samego początku przychylnie patrzyli na jej kandydaturę, z czego Stone doskonale zdawał sobie sprawę.

Zatrzasnęła drzwi szafki nieco głośniejsze, niż zamierzała, po czym z ubraniem w rękę ruszyła do łazienki, by się przebrać. Zawsze przebierała się w łazience bez względu na to, czy była sama w pokoju, czy nie. Kilka razy zastanawiała się, czy nie przenieść się z szafką do pokoju pielęgniarek, ale intuicyjnie czuła, że obniży to jej pozycję w oczach tych wszystkich zacofanych samców, z jakimi przyszło jej współpracować. Na razie, jako jedyna kobieta położnik w szpitalu Świętego Krzyża, musiała uważać na to, co robi.

Oby jeszcze wytrzymała pół roku! Za sześć miesięcy miały się do niej przyłączyć jej dwie najbliższe przyjaciółki ze studiów medycznych, doktor Alice Clemmons i doktor Cynthia Bornay. We trzy zamierzały otworzyć własną klinikę położniczą, oferującą opiekę doskonałych lekarzy położników za przystępną cenę. Może będzie zarabiała mniej niż obecnie, ale - uśmiechnęła się do siebie - przynajmniej nie będzie musiała słuchać kąśliwych uwag Stone'a i innych kolegów.

Włożyła wiśniowy komplet, spodnie i żakiet, a na szyi zawiesiła złoty łańcuszek z wisiorkiem przedstawiającym laskę oplecioną węzłem. Ten piękny symbol lekarskiej profesji dostała na ostatnie urodziny od Carol, która wypatrzyła go w specjalistycznym katalogu i natychmiast zamówiła. Choć kształtem rzucał się w oczy, był dość elegancki. Ściskając go w ręce, Danni uśmiechnęła się szeroko. Jeżeli Stone będzie miał zastrzeżenia do wisiorka, ciekawe, jak zareaguje na widok złotych kolczyków, które wczoraj podarowała jej Jackie - kolczyków przedstawiających nagie niemowlaki.

Kiedy wyszła z łazienki, Stone, który w tym czasie również się przebrał, siedział wyciągnięty na fotelu, z rękami pod głową. Widać było, że czeka na nią.

- Właśnie się zastanawiałem - powiedział, mrużąc oczy - czy wybiera się pani na zjazd położników i ginekologów, który ma się odbyć pod koniec miesiąca? Doktor Donnar ze szpitala Johns Hopkins poprowadzi seminarium, na którym zaprezentuje najnowocześniejsze techniki badań płodu.

Danni zawahała się. Powinna jechać i poznać najnowsze metody badań. Nieskorzystanie z okazji byłoby głupotą i szczytem nieprofesjonalizmu. Z drugiej strony miała teraz tak wiele pracy - nie mogła sobie pozwolić na tygodniowy wyjazd na Karaiby.

Stone najwyraźniej źle odczytał jej wahanie.

- Mam nadzieję, że się pani na mnie nie gniewa, doktor Goodlove. Czasem człowiek wyraża się nie dość precyzyjnie. To, co powiedziałem kilka minut temu, to był komplement.

Jednak Danni, którą tak często raził seksizm Stone'a, nie tylko nie zwróciła uwagi na przeproszający ton przełożonego, ale przeciwnie, miała wrażenie, że w jego głosie dźwięczy nuta arogancji.

Otworzyła szafkę i przez chwilę stała bez ruchu, zbierając się na odwagę, aby wygarnąć Stone'owi coś, co dusiła w sobie od wielu miesięcy.

- Doceniam to, doktorze Stone - oznajmiła spokojnie - ale nie po to przychodzę do szpitala, żeby sprawiać panu przyjemność lub pana zawodzić. Pańskie samopoczucie w ogóle mnie nie interesuje. - Odwróciła się do niego twarzą. - Przychodzę tu po to, żeby jak najlepiej wykonywać swój zawód. I tylko po to.

Stone ze zdziwienia otworzył usta. Przez kilka sekund siedział bez ruchu, po czym zerwał się z fotela niczym gotów do ataku buldog.

- Mam tego po uszy! Tego pani zadzierania nosa! - zawołał, grożąc Danni palcem. - Usiłuję pani powiedzieć, jakim jest świetnym lekarzem, a pani zachowuje się tak, jakbym ją obraził! W medycynie każdy musi udowodnić, na co go stać, pokazać, co potrafi. Problem w tym, że wy, kobiety, do wszystkiego podchodzicie zbyt emocjonalnie!

Z jego szarych oczu wyczerała wściekłość.

- A pan chłodno i beznamiętnie? Tak jak teraz? - spytała Danni.

Słyszac to, Stone aż prychnął ze złości. Przez moment wyglądał tak, jakby miał ochotę udusić Danni, po czym chwycił z oparcia fotela fartuch i ruszył do wyjścia.

Akurat w chwili, gdy Danni, po raz drugi w ciągu kilku minut, trzasnęła drzwiczkami szafki, do pokoju lekarskiego wpadł Roger Bryant.

- Wydawało mi się, że słyszę podniesione głosy - rzekł.

Na widok Danni w jedwabnych wiśniowych spodniach, bluzce i żakiecie uniósł brwi, a potem skinął z uznaniem głową.

- Właśnie usiłowałem pochwalić doktor Goodlove za jej fachowe umiejętności - oznajmił Stone, wkładając ponownie fartuch. Wygładziwszy kłapy, przeczesał rękami swoje rzadkie rudawe włosy.

Danni poczuła, jak pieką ją policzki. Może posunęła się za daleko. Może jest przewrażliwiona, ale Stone od dłuższego czasu działał jej na nerwy, drażnił ją swoimi uwagami. Teraz, rzecz jasna, pragnęła zamienić z nim jeszcze parę słów, ale w obecności uśmiechniętego Bryanta, który był wyraźnie zadowolony z napięcia, jakie wyczuwał w powietrzu, jakakolwiek dalsza rozmowa nie wchodziła w grę.

- W takim razie przepraszam, że przeszkodziłem...

- No dobrze, obowiązki wzywają... - Stone ruszył do drzwi. Odwrócił się, z ręką na klamce. - Doktorze Bryant, czy wybiera się pan na zjazd położników?

- Co za pytanie! Tydzień na wyspie Saint Martin? Niech no kto spróbuje mnie powstrzymać.

- Doskonale. - Stone otworzył drzwi. - Przynajmniej jedna osoba od nas tam będzie.

Wyszedł.

- A ty nie jedziesz? - spytał Bryant, patrząc na Danni.  
- Raczej nie. - Zwinęła fartuch i wrzuciła go do kosza.  
- Czym cię Stone tak bardzo rozzłościł? Bo wiesz, w jednej sprawie to on ma rację. - Powiódł wzrokiem po jej zgrabnej sylwetce. - Nie potrafisz z uśmiechem przyjąć komplementu.

Danni w milczeniu skierowała się do wyjścia.

- Poczekaj, poćwiczmy. - Zagroził jej drogę i żartobliwym tonem ciągnął: - Bardzo ci w tym stroju do twarzy.

Danni minęła go bez słowa.

- Słuchaj, a tak całkiem serio... - Chwytał ją za łokieć. - Wystarczy mi rzut oka na kobietę, żeby wiedzieć, ile waży. Moim skromnym zdaniem, sporo schudłaś.

Położyła rękę na klamce, a Bryant swoją na drzwiach, jakby nie zamierzał jej wypuścić. Następnie zmrużył oczy i ponownie zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Wspaniale wyglądasz - rzekł, zatrzymując oczy na złotym wisiorcu spoczywającym między jej piersiami.

Wbrew sobie Danni poczuła, jak coś ją rozplómienia. Gniew? Tak, z pewnością gniew, ale również coś jeszcze. Chyba podniecenie. Wzięła się w garść. Nie chciała, by cokolwiek było po niej widać. Nie chciała też stracić nad sobą panowania.

- Carol wspomniała, że kiedy ostatni raz twoja żona była w szpitalu, bardzo interesowała się naszą dietą. Wypytywała o szczegóły...

Wzmianka o żonie trochę zbiła Bryanta z tropu, jednak szybko odzyskał pewność siebie.

- Liz i dieta? - Prychnął pogardliwie. - Prędzej kaktus mi wyrośnie! Słyszałaś, że zdecydowaliśmy się na separację?

- Nie. - Danni zmarszczyła czoło. - Przykro mi...

- Też jesteś taka głodna jak ja? - spytał, pochylając się nad nią. - Chodźmy coś zjeść przed obchodem. Chyba w bufecie na dole mają coś, co możesz zjeść?

Danni nie wiedziała, co o tym sądzić. Zamiast, jak to miał w zwyczaju, dokuczać jej i prowadzić akcję sabotażową, Roger Bryant nagle zaprasza ją na lunch?

Widząc błysk zainteresowania w jego oczach, gdzieś głęboko w żołądku znów poczuła dreszczyk podniecenia. Nic dziwnego. Na swój sposób Bryant jest całkiem przystojny.

- Jackie, moja gosposia, przynosi mi posiłki - oznajmiła, usiłując go wyminąć.

- Naprawdę? - Ponownie zagroził jej drzwi i pokazał zęby w drapieżnym uśmiechu, jakby był pewien, że bardziej od dietetycznego posiłku jedzonego w samotności Danni woli wysokokaloryczny posiłek spożyty w jego towarzystwie. - A skąd ta twoja Jackie wie, czy na przykład nie wypadł ci jakiś nie planowany zabieg?

- Zostawiam wiadomość na jej pagerze - odparła zgodnie z prawdą.

Jackie miała teraz własny pager, w różowym kolorze. Kiedy pojawiała się na nim wiadomość od Danni, dziewczyna - gdziekolwiek była i cokolwiek robiła - natychmiast gnała do domu po dwa dietetyczne posiłki, które przywoziła do szpitala dla Danni i Carol. Postanowiły rygorystycznie trzymać się diety, nie pozwalając sobie na żadne odstępstwa. Tym bardziej że każda straciła po dobre parę kilogramów.

Bryant zrobił smutną minę, po czym nagle się rozpogodził.

- Już wiem! - zawołał. - Niech przyniesie drugi lunch dla mnie.

Czy nie ma na niego sposobu? Aż tak trudno jest mu pogodzić się z odmową? Odepchnąwszy go od drzwi, Danni nacisnęła klamkę.

- Wątpię, żeby chciała - rzekła przez zaciśnięte zęby i wyszła na korytarz.

- Doktor Bryant zaprosił cię na lunch? - Carol wprost nie mogła uwierzyć, kiedy Danni opowiedziała jej o wszystkim podczas rozgrzewki przed wieczornym joggingiem.

- To znaczy, tak jak kolega zapraszający koleżankę z pracy?

- Raczej jak mężczyzna zapraszający kobietę.

- No widzisz? A nie mówiłam? Faceci lubią zdobywać. Tak długo ignorowałaś biedaka, że wreszcie nie wytrzymał. Postanowił przejąć inicjatywę.

- Rzecz w tym, że nie bardzo umiem sobie z nim radzić - przyznała Danni. - Póki byłam gruba i zaniedbana, ograniczał się do docinków na temat moich umiejętności zawodowych. Wtedy wiedziałam, jak zareagować, a teraz nie mam najmniejszego pojęcia.



- Daj mu jasno do zrozumienia, że nie zamierzasz wdawać się w jakikolwiek romans z żonatym mężczyzną - oznajmiła Carol i zadowolona z udzielonej rady, zrobiła głęboki skłon, rozciągając kręgosłup.

- On nie jest tak całkiem żonaty. Są w separacji.

Coś w tonie przyjaciółki sprawiło, że Carol wyprostowała się. Oparłszy ręce na biodrach, zmrużyła oczy i przyjrzała się Danni podejrzliwym wzrokiem.

- Podoba ci się...

- Nie, gdzież tam! To kawał drania. Tylko... tylko kiedy popatrzył tak na mnie z ukosa, wtedy... no...

- To chemia, moja droga, a chemia nie ma nic wspólnego z miłością. Można czuć pociąg do człowieka, z którym nic nas nie łączy emocjonalnie, intelektualnie, zawodowo, towarzysko i tak dalej.

- Wiem - rzekła Danni, mając na myśli nie tyle Bryanta, co Matta. - Ale powiedz mi taką rzecz. Spotykasz faceta. Po czym możesz poznać, że jesteście dla siebie stworzeni?

- Nie możesz, przynajmniej nie od razu. Dlatego przez jakiś czas umawiacie się, chodzicie na randki, odkrywacie swoje wady i zalety.

- Na randki. - Danni westchnęła ciężko. - To wymaga tyle zachodu.

- Zgadza się. Nie ma nic za darmo. No, bierz się do ćwiczeń.

Danni powróciła do przysiadów, zrobiła ze dwa, po czym ponownie się wyprostowała.

- Wiesz co? Chyba jestem nienormalna.

- Dlaczego? Zarumieniła się.

- Bo z Bryantem... sama nie wiem. Ogarnęło mnie... hm, uczucie triumfu. Od tak dawna traktował mnie jak powietrze, a nawet gorzej, ciągle ze mnie szydził, że teraz, kiedy dojrzałam w jego oczach błysk zainteresowania, poczułam dziwną satysfakcję. Naprawdę się ucieszyłam.

- Nie przejmuj się, to zupełnie naturalna reakcja. - Carol usiadła na trawie i oparta prawą stopę o wewnętrzną stronę lewego uda. - Musisz uzbroić się w cierpliwość. Prędzej czy później poznasz miłego człowieka, który będzie dla ciebie odpowiedni. - Pochyliła się do palców lewej stopy, rozciągając ścięgna udowe.

- Gdzie, do diabła, go poznam? Kiedy? Jak? - Danni złączyła ręce nad głową i zaczęła wykonywać skłony w prawo i w lewo.

- Nie wiem. Ale, tak jak ci mówiłam, powinnaś czekać. Nie wolno się uganiać za mężczyznami. Trzeba czekać, aż oni sami nas odnajdą.

- A jeżeli będą błdzić? Jeżeli nie trafią do celu?

- Trafią, spokojna głowa. Masz najlepszy przykład z Bryantem. Nie zwracał na ciebie uwagi i nagle się zainteresował. - Carol wyprostowała prawą nogę, zgięła lewą i kontynuowała ćwiczenie. - Faceci... myśl o nich jak o plemnikach. Będą wokół ciebie krążyć, podpływać coraz bliżej, ale tobie wystarczy jeden. Musisz tylko dokonać właściwego wyboru.

- Będą krążyć i podpływać, tak mówisz? No, nie wiem, Carol. Z mojego doświadczenia raczej wynika, że na widok Danni Goodlove te wszystkie plemniki uciekają w przeciwną stronę.

Carol wstała i unosząc wysoko kolana, zaczęła biegać w miejscu.

- Może tak było dawniej, ale teraz wszystko się zmieniło. Musisz siebie zaakceptować. Jeżeli ty pokochasz Danielle Goodlove, ręczę ci, że wkrótce pojawi się mężczyzna, który również ją pokocha. No, dość gadania. Trochę joggingu dobrze nam zrobi - rzekła i ruszyła przed siebie truchtem.

W porządku, pomyślała Danni, usiłując dogonić przyjaciółkę. Któregoś dnia przybędzie książę z bajki, pocałuje śpiącą królową, wtedy ona się obudzi i będą żyli długo i szczęśliwie. Oby!

## *Rozdział 9*

Pomimo ostrzeżeń Carol Danni postanowiła wybrać się do Matta do pracy. Musiała się z nim zobaczyć. Wydawało się jej, że kiedy go jeszcze raz ujrzy, w świetle dnia, na jego własnym terenie, wszystko się wyklaruje i przynajmniej w tej jednej sprawie będzie miała jasność.

Wstała o świcie, przez pół godziny nie mogła się zdecydować, co włożyć, w końcu uznała, że najlepszy będzie beżowy golf i ciemne, prążkowane spodnie. Tak ubrana, wyszła z domu wcześniej niż zwykle. Wiedziała, że tego dnia Matthew będzie w pracy od samego rana. Dokładnie sobie wszystko wyliczyła: ile czasu może rozmawiać i o której musi ruszyć do szpitala. Miała też przygotowany pretekst, żeby pożegnać się szybciej, gdyby rozmowa się nie kleiła.

Poranek był chłodny, lecz słoneczny. Ogromne drzewa porastające Woodward Park powoli przybierały odcień czerwonożółcisty. W dolinach pomiędzy łagodnie wznoszącymi się pagórkami zalegały resztki mgły.

Dojechała do Utica Square, gdzie mieścił się dwupiętrowy budynek straży pożarnej, zbudowany, tak jak inne domy w tej części miasta, na początku lat trzydziestych.

Zwalniając przed bramą, otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Ujrzała bowiem ogromny żółty wóz strażacki i sześciu lub siedmiu strażaków w granatowych kombinezonach, którzy biegali dookoła, polewając się wodą ze szlauchów jak grupa nastolatków pucujących samochód. Przez zamknięte okna swojego BMW słyszała ich wesołe krzyki.

Zaparkowała na szerokim podejździe; w chwili, gdy otworzyła drzwi i wysiadła z auta, na zewnątrz zapadła cisza. Mężczyźni, stojąc bez ruchu niczym ociekające deszczem posągi, przyglądali się jej w milczeniu. Wciąż rozlegał się plusk wody ciekącej ze szlauchów oraz wysoki, szatański chichot dobiegający zza maski.

- W czym mogę pani pomóc? - spytał najbliższy stojący mężczyzna,

W grupie mokrych wesołków Danni rozpoznała czarnoskórego strażaka, który był z Mattem w izbie przyjęć - i który teraz patrzył na nią jak na przybysza z kosmosu - ale Matta nigdzie nie widziała.

- Szukam kapitana Creeda - rzekła.

I nagle go spostrzegła. Uśmiechnięty szeroko i przemoczony do suchej nitki wystawił głowę zza maski wozu.

- Danni! - zawołał i rzuciwszy szlauch na ziemię, ruszył jej naprzeciw. - Co ty...

- Już wiem! - krzyknął czarnoskóry strażak. - Pani jest tą lekarką!

- Mam nadzieję, że zbytnio nie przeszkadzam...

- Zbytnio to nie - odparł jeden z młodszych mężczyzn - ale trochę to tak.

Oswajanie się z wodą to ważna część szkolenia strażaka.

Jego koledzy wybuchnęli śmiechem.

- Dobra, chłopaki, dosyć - powiedział Matt. - Pani przyszła, żeby ze mną porozmawiać. - Przeczesał ręką mokre włosy. - Może usiądźmy tam - zaproponował, wskazując stojące nieopodal w cieniu ogromnego wiązki dwie metalowe ławki pomalowane w płomienie.

Danni skierowała się w ich stronę, pragnąc zwiększyć nieco odległość pomiędzy sobą a strażakami, którzy ochoczo powrócili do mycia wozu i polewania siebie nawzajem. Teraz jednak co rusz któryś przerywał zabawę i rzucał ukradkowe spojrzenie na ławkę pod wiązkiem.

- Nie zawsze się tak zachowujemy - powiedział Matt z lekko zakłopotaną miną. Granatowa koszulka i gabardynowe spodnie lepiły mu się do ciała. - Nie da się jednak ukryć, że czasem podczas mycia wozów chłopaki zaczynają szaleć. Ale takie wygłupy pomagają rozładować napięcie, rozproszyć nudę...

Położył rękę na oparciu ławki.

Danni usiadła. Chociaż miała na sobie wełniane spodnie, poczuła chłodny dotyk metalu. Zadrżała.

- Nie jest ci zimno? - spytała.

- Jest, ale walczymy z ogniem niezależnie od pogody. W mrozy też. I zwykle przy tym mokniemy.

- A gdyby teraz wybuchł pożar?

- Po prostu wyjechalibyśmy mokrzy. I parę kilo ciężsi. Żadna różnica, skoro po każdej skończonej akcji i tak ociekamy wodą... - Na moment urwał. - Cieszę się, że wpadłaś mnie odwiedzić, chociaż przy tym przyłapałaś nas na szczeniackich wygłupach.

Nagle Danni zauważyła, że Matt nie usiadł. Poczowała się skrępowana.

Sięgnąwszy do torebki, wydobyla pióro, które tamtego dnia zostawił u niej w domu.

- Chciałam ci zwrócić - rzekła, podając je. - Nie wygląda to na zwykłe pióro. Raczej na pamiątkę. W każdym razie zostawiłeś je u mnie.

- Wiem. Zamierzałem odebrać przy jakiejś okazji. To rzeczywiście pamiątka. Prezent na dziesięciolecie służby... - Wzruszył ramionami.

No dobrze. Jej kolej.

Rany boskie, dlaczego życie musi być tak skomplikowane? Dlaczego sprawy damsko-męskie są tak trudne?

- Bałam się, że się gdzieś zapodzieje - skłamała; przybierając obojętny wyraz twarzy.

Oczywiście, pióro nie mogło się nigdzie zapodziać. Trzymała je na stoliku nocnym, strzegąc niczym droгоценego klejnotu. Raptem złękła się. A jeżeli Matt przejrzy ją na wylot? Jeżeli domyśli się, co nią naprawdę kierowało? Poderwała się z ławki. Pomimo porannego chłodu czuła, jak policzki ją pieką.

- Muszę jechać do szpitala...

- Gdybym nie był taki mokry, oprowadziłbym cię po moim królestwie. - Wskazał głową budynek straży pożarnej.

Nawet przemoczony do suchej nitki był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała.

- Właśnie urządziliśmy sobie siłownię. Poza tym mamy kominek w kształcie miniaturowego zamku. Obiecuj, że jeszcze kiedyś mnie odwiedzisz...

Uśmiechnęła się. Dzięki Mattowi opuściło ją napięcie.

- Zadzwoń, jeśli będziesz miała wolną chwilę - dodał. Znów odbił piłeczkę, znów wrzucił ją na jej połowę boiska. Następny ruch należał do niej.

- Muszę jechać do szpitala... - Przygryzła wargę. Powtarzasz się, zganiła się w duchu.

Odprowadził ją do samochodu i nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia kolegów, przytrzymał jej drzwi. Potem zatrzasnął je cicho.

Odjeżdżając, czuła się znacznie mniej pewna siebie niż przed paroma minutami. Zastanawiała się, czy Matthew Creed naprawdę ucieszył się na jej widok, czy tylko tak powiedział, żeby nie sprawić jej przykrości. Bo nie ulegało wątpliwości, że był miłym i dobrze wychowanym człowiekiem. Może zbyt miłym, aby dać do zrozumienia upartej pani doktor, że przyjeżdżając do niego do pracy, posunęła się za daleko.

Westchnęła ciężko. Boże, żeby można było kupić jakiś podręcznik na temat randek! Podręcznik zawierający wszystkie pytania i odpowiedzi!

Zanim Danni zniknęła Mattowi z pola widzenia, rozległy się gwizdy, wesołe okrzyki, żarty, docinki. Zaczął jeden z młodszych kolegów Matta, który, unosząc brwi, spytał z niedowierzaniem w głosie:

- Ta cizia to lekarka? Natychmiast przyłączyli się pozostali.
- O psiakość! Coś mnie kłuje między zębami!
- Taka mogłaby mnie badać dzień i noc!
- Łeb mi pęka z bólu! Matt poczuł, że się czerwieni.
- Chłopaki, patrzcie! - krzyknął Tom. - Patrzcie na jego pysk! Cały płonie!

Pożar! Pożar!

Wszyscy naraz skierowali na Matta szlauchy. Później, podczas godzin popołudniowych, kiedy w budynku straży panowała cisza i spokój, Tom zajrzał do gabinetu Matta.

- Oj, stary, jeszcze nigdy cię nie widziałem z takim rumieńcem na gębie. Zupełnie jakbyś miał oparzenia drugiego stopnia. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że kręcisz z doktorką? - Usiadł na plastikowym krześle naprzeciw metalowego biurka.

Matt siedział z łokciami opartymi na blacie, bawiąc się srebrnym piórem. Rozmyślał o tym, jak szybko czas leci, o tym, co go czeka za dziesięć lat, o Danni Goodlove.

- Nie kręcę - mruknął. - Nic nas nie łączy.

- A to dlaczego? - spytał jego przyjaciel. - Jeśli chcesz znać moje zdanie, kobitka jest całkiem, całkiem...

- Raz się umówiliśmy. Właśnie wtedy zostawiłem u niej pióro. Zastanawiam się, czy to, że odwiozła mi je do pracy, przypadkiem czegoś nie znaczy. Na przykład: zwracam twoją zgubę, więc się nie zobaczymy, cześć.

Tom, który ze smakiem zjadał baton czekoladowy, nagle poderwał głowę.

- Oho, i kto to mówi? Mój stary kumpel, Matt Podrywacz? - Przełknął, po czym uniósł palec wskazujący. - Po pierwsze, babka przyjechała do ciebie. A po drugie... - uniósł palec środkowy - jest lekarką...

- No właśnie - skwitował krótko Matt.

Tom popatrzył na niego nie rozumiejącym wzrokiem.

- Zapomniałeś? Mam pewne doświadczenie z takimi kobietami jak ona.

- I co?

- Ano to, że one zawsze coś knują.

- Wszystkie kobitki knują! - Tom wepchnął do ust resztę batona. - Knują, jak zaciągnąć faceta przed ołtarz!

Matt rzucił pióro na biurko i rozłożył ręce w geście rezygnacji.

- Ja się do tego nie nadaję.

- W porządku. I dlatego doktorka jest dla ciebie idealną partnerką. Nie pojmujesz? Samodzielna, niezależna, z własnymi pieniędzmi. Czy była mężatką?

- Nie rozmawialiśmy o tym, ale chyba nie.

- Świetnie.

Teraz z kolei na twarzy Matta odmalował się wyraz zaskoczenia.

- Gdyby chciała wyjść za mąż - wyjaśnił Tom - już dawno by to zrobiła, nie sądzisz?

- Nie mam pojęcia. - Matt wzruszył ramionami.

- A ja ci mówię, że tak. Więc możesz spokojnie, bez obaw, się z nią widywać.

- To nie takie proste. Taka kobieta jak ona... Pamiętasz, jak Carla ciągle starała się mnie udoskonalić?

- Carla, Carla! Nie same Carle chodzą po świecie. Zresztą przetestuj doktorkę. Wystaw ją na kilka prób, pokaż jej, jaki z ciebie drań. Jeżeli się nie wystraszy, jeżeli

wciąż będzie ci z uśmiechem odnosić zguby... może zmienisz zdanie. W końcu nie masz nic do stracenia.

Matt nie był pewien, czy chce wystawiać na próbę kogoś takiego jak Danni Goodlove. Po zerwaniu z Carlą poprzysiął sobie, że nie będzie się więcej zadawał z kobietami z wyższych sfer. Carla od pierwszego dnia ich znajomości postanowiła, że go zmieni i ulepszy. Kilka razy nazwała go „nie oszlifowanym diamentem”.

A z drugiej strony może stary poczciwy Tom ma rację? Co mu szkodzi zadzwonić do doktor Goodlove i poddać ją paru próbom? Zawahał się. Czy warto? Zanim się pożegnali, poprosił Danni, żeby zadzwoniła do niego w wolnej chwili. Czy powiedziała: tak, dobrze? Nie. Powiedziała, że musi jechać do szpitala.

W następną sobotę Matt leżał na miękkiej, wygodnej kanapie. Odwijając z folii niemal półmetrowej długości kanapkę, którą kupił w drodze do domu, oglądał w telewizji mecz pomiędzy Kansas State a Kolorado. Nie potrafił się jednak skoncentrować ani na meczu, ani na kanapce. Cały czas myślał wyłącznie o Danni. Od tygodnia na niczym innym nie był w stanie się skupić.

Minął tydzień, odkąd zwróciła mu pióro, i więcej się nie odezwała. No cóż, zdaje się, że przecucie go nie myliło. Podejrzał, że po tamtej pierwszej randce miła pani doktor zakończyła z nim znajomość. Nie zamierzał sam do niej wydzwaniać, na pewno nie po tym, jak się zachowała: najpierw odepchnęła go, kiedy ją całował, a potem przyjechała oddać mu pióro, jakby chciała jak najszybciej pozbyć się go ze swojego życia.

Jeżeli nie życzyła sobie jego pieszczot czy pocałunków, to po jakie lichy do niego zadzwoniła? Po co zaproponowała spotkanie w knajpie? Kobiety to dziwne, podstępne istoty, zwłaszcza te z wyższych sfer.

Na przykład Carla, która miała specyficzny sposób mówienia, specyficzny sposób poruszania się i specyficzny sposób myślenia.

Oraz jego matka, której rodzina należała do wyższych sfer Tulsy, i która wyszła za mąż za Indianina z plemienia Czoktaw. Fakt, że obydwójce uczyli w miejscowej szkole średniej, nie zlikwidował istniejącej pomiędzy nimi przepaści kulturowej.

Sprawiali wrażenie szczęśliwych i Matt zawsze uważał, że trudno o lepszych rodziców. Jednak wychowując się w domu eleganckiej, kulturalnej nauczycielki



literatury oraz nie przebijającego w słowach trenera szkolnej drużyny futbolowej, czuł się trochę obco - nie pasował ani do świata matki, ani do świata ojca.

- Panno Werbeno - zwrócił się do odziedziczonego po ciotce pieska, częstując go frytką - dlaczego nie mogę poznać takiej sympatycznej, bezpretensjonalnej panny jak ty? Kogoś, kto stale czegoś ode mnie żąda, kto nieustannie piszczy, jęczy, narzeka? Co mówisz, piesku? Że już jedną taką znałem? Słusznie!

Drapiąc psa za uszami, wrócił myślami do Carli. Dlaczego nie udało im się uratować małżeństwa? Dlaczego się rozstali? Czasem potrafił ułożyć kilometrowej długości listę z odpowiedziami, kiedy indziej zaś dumał bezradny i nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Najbardziej dręczyło go pytanie, czy rozwód naprawdę nastąpił z jego winy.

Pamiętał, jak tego ostatniego dnia, kiedy definitywnie postanowiła wrócić do domu swojego bogatego tatusia, stała w drzwiach, tłumacząc mu, że wybuch w Oklahomie miał miejsce rok temu i, na miłość boską, niech on wreszcie o nim zapomni. Gdyby tylko mógł, na pewno by zapomniał. Ale tego się nie da zrobić ot tak, po prostu.

Może gdyby mieli dzieci, sprawy potoczyłyby się inaczej? Może syn czy córka nie pozwoliliby mu rozpamiętywać śmierci tylu niewinnych dzieci. Takich ludzi jak on, strażaków, policjantów, lekarzy biorących udział w akcji ratunkowej, psychologów często określają mianem „zapomnianych ofiar tragedii”.

Marszcząc z namysłem nos, odłożył nie zjedzoną kanapkę na stół. Może Carla miała rację? Może zbyt silnie wszystko przeżywał, może za bardzo się angażował? Inni członkowie ekip ratowniczych jakoś sobie poradzili; wrócili do domu, znaleźli ukojenie wśród rodziny.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer swoich rodziców. Może ojciec będzie miał ochotę wpaść i wspólnie obejrzeć mecz? Włączyła się sekretarka automatyczna. Nagrany na taśmę kulturalnie brzmiący głos matki oznajmił uprzejmie:

- Dzień dobry. Bardzo mi przykro, ale nie ma nas w domu. Po sygnale proszę zostawić wiadomość. Dziękuję.

- Mamo, tato, to ja. Właściwie dzwonię bez powodu. Spytać, jak się czujecie i co porabiacie. - Nagle przypomniał sobie, co porabiają. Wyjechali na urlop do

Nowego Meksyku. - Właśnie sobie przypomniałem! No cóż, mam nadzieję, że dobrze się bawicie. Odezwijcie się po powrocie. Kocham was!

Dochodzące z korytarza głosy sąsiadów prowadzących ożywioną rozmowę sprawiły, że Panna Werbena zeskokczyła Mattowi z kolan i z wściekłym jazgotem pognała do drzwi.

- Przestań! Cicho! - zawołał Matt.

Odłożywszy słuchawkę na widełki, nastawił głośniejszy dźwięk w telewizorze. Oczywiście Panna Werbena kompletnie zignorowała polecenie.

- Starczy, potworze! Dosyć tego! - krzyknął, usiłując przekrzyczeć psi jazgot, po czym wyłączył pilotem telewizor i zerwał się z kanapy.

Panna Werbena czmychnęła do sypialni.

Matt westchnął. Choć nastała już jesień, dzień był ciepły i słoneczny, zbyt piękny, aby go marnować, siedząc w dusznym mieszkaniu. Należy wyjść, czymś się zająć. O ile się orientował, Tom miał dziś wolne. Mogliby się wybrać do doktorki - jeśli, rzecz jasna, nie ma jej w domu - i naprawić jej podłogę.

Kilka dni temu doktor Danielle Goodlove zadzwoniła na numer biurowy Toma i zostawiła wiadomość, żeby w sprawie podłogi porozumieli się z jej służącą. Usłyszawszy o tym, Matt ponownie zaczął się zastanawiać, kiedy i gdzie popełnił błąd.

Ucieszył się, że w domu jest tylko służąca, bo idąc podjazdem w stronę drzwi, czuł się wyraźnie zdenerwowany.

- O rany! - mruknął za jego plecami Tom. - Ładnie to wygląda. Pierwsza klasa.

No właśnie, pomyślał Matt. Dom pierwsza klasa, jego właścicielka też.

Dlaczego musi się zadawać z kobietami, które mieszkają w willach wartych ponad ćwierć miliona dolarów?

Dlatego, że uwielbia komplikować sobie życie, ot co!

Nacisnął palcem dzwonek.

Drzwi otworzyła młoda Murzynka.

- O, znam cię! - zawołała, wskazując na Matta palcem zakończonym długim, czerwonym paznokciem. - Byłeś tu któregoś wieczoru! Pamiętam. A kim jest twój przyjaciel? - spytała, uśmiechając się kokieteryjnie do Toma.

Matt dźgnął kciukiem przyjaciela.

- To jest Tom, mój wspólnik od układania podłóg. - Skinął głową w stronę Jackie. - A ta młoda dama jest gospodynią doktor Goodlove.

Młoda dama podała Tomowi wypielegnowaną dłoń. Takich rąk nie miewają służące, pomyślał Matt. Trzymała ją wysoko uniesioną, niemal jakby oczekiwała, że Tom złoży na niej pocałunek.

- Bardzo mi miło - powiedziała. - Na imię mam Jackie.

- Jackie - powtórzył Tom, ściskając lekko jej dłoń. - Mnie też bardzo miło.

Dziewczyna zatrzepotała rzęsami.

- Proszę za mną - rzekła.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie holem, kołysząc zmysłowo biodrami.

- Chętnie, maleńka - szepnął Tom. Matt wznosił oczy do nieba.

- Gdzie poznałeś doktor Danni? - spytała Jackie, kiedy Matt z Tomem schylili się i zaczęli rolować zakrywający usterkę perski dywan.

- W szpitalu. Zakładała mi szwy.

- Szczęściarz z ciebie. Doktor Danni jest najlepsza. Hej! - Nagle pstryknęła palcami. - Już wszystko wiem! Ty jesteś tym strażakiem! Tym, który dał jej wizytówkę.

Matt przerwał pracę i obejrzał się przez ramię. Jackie zrobiła niewinną minę.

- Słyszałam, jak opowiadała o tobie znajomej. Nazajutrz po tym, jak ją odprowadziłeś do domu. Zdradzę ci, że wywarłeś na niej wrażenie.

Tom również przerwał pracę i obejrzał się przez ramię, po czym kąciki ust mu drgnęły i uśmiechnął się do Matta, jakby chciał powiedzieć: Proszę, proszę, kto by się spodziewał!

- Serio? - spytał Matt. Pragnął usłyszeć wszystko od początku do końca, każde słowo, jakie padło na jego temat z ust pięknej lekarki. Miał świadomość, że przesadza, że jego zainteresowanie Danni graniczy niemal z obsesją, ale nie był w stanie temu zaradzić. - A co mówiła?

- Że słyszała od pielęgniarek na oddziale poparzeń, że popłakałeś się, kiedy ci powiedziano o śmierci tych bliźniaków. Była tym autentycznie poruszona.

Matt poczuł, jak rumieniec barwi mu na czerwono kark i szyję. Zerknął na swojego przyjaciela, Tom jednak wrócił do przerwanej pracy i z zapalem rolował dywan. On też brał udział w akcji ratowniczej w Oklahoma City. I też długo nie mógł dojść do siebie.

- Słuchaj, Jackie... Czy mogłabyś otworzyć okno i włączyć wentylator pod sufitem? - poprosił Matt. - Będzie sporo oparów.

Kąćki ust Toma nadal drżały, ale teraz z całkiem innego powodu. Matt zamyślił się. Czy ten koszmar nigdy się nie skończy? Czy ta rozpacz i poczucie winy zostaną z nimi do końca życia?

Nagle melodyjny dźwięk dzwonka wdarł się w pełną napięcia ciszę. Dziewczyna poszła otworzyć drzwi, tymczasem Matt z Tomem przenieśli dywan pod ścianę, żeby nie zawadzał.

Zaczęli szlifować podłogę, gdy wtem z holu dobiegły ich głosy. Najpierw głos Jackie witającej gościa, potem głos mężczyzny, który szybkim krokiem zbliżał się w stronę sypialni.

- Danni nie ma w domu? Trudno, nie szkodzi. Wezmę tylko gazetę i pójdę sobie. Czyj to dżip stoi na podjeździe?

Ponownie rozległ się głos Jackie:

- Dwóch facetów, którzy poprawiają podłogę. Nie sądzę, żeby doktor Danni cokolwiek dla pana zostawiła, doktorze Bryant, ale jeśli to ważne, pójdę i sprawdzę w jej gabinecie. Jak wygląda ta pańska gazeta?

- Jest... Zresztą mniejsza z tym. I tak byś nie wiedziała, który numer potrzebuję. Sam się rozejrzę... - Głos gościa dochodził z pokoju obok; przypuszczalnie był to gabinet. - O, znalazłem!

Wtem mężczyzna pchnął na oścież drzwi dzielące gabinet od sypialni.

- Dzień dobry. Co, chłopcy, wykonujecie drobne poprawki? Wspaniały dom, prawda? - Minął próg. - Cóż, zwykle przy pracach remontowych zdarzają się małe niedoróbki, no nie?

Tom, marszcząc czoło, popatrzył pytająco na Matta, po czym skinieniem głowy przywitał intruza.

Jackie stanęła w drzwiach od strony holu i skrzyżowała ręce na piersi, jakby spodziewała się ujrzeć jakieś ciekawe przedstawienie.

Bryant wszedł do środka i zaczął rozglądać się po sypialni. Z jakiegoś dziwnego powodu, którego sam nie rozumiał, Matt czuł, jak ogarnia go coraz większa irytacja. Po chwili podniósł się z kolan.

- No niestety, ten kawałek trzeba będzie poprawić. - Ręką, w której trzymał papier ścierny, wskazał fragment podłogi. - Jestem Matt Creed - powiedział, wyciągając na powitanie drugą rękę.

Gość uścisnął ją.

- Doktor Roger Bryant - przedstawił się. - Bliski... hm, bliski przyjaciel doktor Goodlove.

Krzywiąc się, Matt potarł nos, po czym spojrzał na Toma, który z takim skupieniem poprawiał lakier, jakby Bryant niewart był jego uwagi.

Gość skierował się w stronę drzwi.

- No dobrze, chłopcy, bierzcie się dalej do pracy. - Wycelował w Matta palec niczym lufę rewolweru. - Miejmy nadzieję, że tym razem nie będzie żadnych reklamacji.

Wyraz twarzy Toma był aż nadto wymowny: Co za dureń! Matt lekkim skinieniem głowy przyznał przyjacielowi rację.

- Powiedz Danni, że zadzwonię do niej - rzekł Bryant, przeciskając się koło stojącej w drzwiach Jackie. - Żeby podziękować za artykuł.

Matt, który znów zabrał się do pracy, przekreślił głowę i odprowadził Bryanta wzrokiem. Ten, stukając energicznie obcasami o lśniącą dębową podłogę, ruszył do wyjścia. Na nogach miał eleganckie buty z plecionej skóry.

Co za obrzydliwy typ! Zdaniem Matta, doktor Roger Bryant nie wyglądał na „bliskiego przyjaciela” Danni Goodlove.

W następnym tygodniu Danni była tak zmęczona po kolejnym dyżurze, który znów wypadł podczas pełni księżyca, że sięgając po dzwoniący koło łóżka telefon, ledwo wiedziała, co robi. Umysł miała tak otępiały, że w pierwszej chwili nie poznała głosu Matta.

- Matt Creed? - powtórzyła, chociaż już raz się przedstawił, a potem nie doczekawszy się reakcji, przedstawił się ponownie.

- Tak. Chyba cię nie obudziłem, co?

Usiadła i mrużąc oczy, spojrzała na lśniące w półmroku zielone cyfry widoczne na budziku. Siódma trzydzieści dwie. Psiakość! Wyobraziła sobie, co Matt myśli: kto chodzi spać o siódmej trzydzieści w piątek wieczór? Tylko ktoś, kto nie ma za grosz powodzenia!

- Obudziłeś, ale to dlatego, że przez całą noc miałam dyżur - wyjaśniła szybko.

- A potem, kiedy już miałam wyjść, przywieziono dwa przypadki wymagające natychmiastowej pomocy. Padam z nóg.

- Szkoda, bo przyszedł mi do głowy zwariowany pomysł. Chciałem cię zaprosić... Ale pewnie jesteś zbyt skonana, żeby...

Zaprosić? Danni wyprostowała się i przeczesła ręką posklejaną grzywkę. Nagle uświadomiła sobie, kto do niej dzwoni i w jakiej sprawie. Może Carol ma rację, może po prostu należy czekać, aż ten właściwy mężczyzna sam się pojawi?

Natychmiast odeszła ją senność.

- Zbyt skonana, żeby co? - spytała.

- Pójść ze mną na ognisko - odparł niskim głosem. - Na prawdziwe wielkie ognisko pod gołym niebem.

Trochę to nietypowy pomysł na randkę, pomyślała bez zachwyty, przeciskając się przez tłum pełnych entuzjazmu, wrzeszczących uczniów miejscowej szkoły średniej, podążających w stronę gigantycznego stosu, na czubku którego wetknięto wielką kukłę w stroju futbolisty. Zdawała sobie sprawę, że jej irytacja wynika z przemęczenia, ale z drugiej strony pomysł tej randki był kretyński. Nie widziała Matta, odkąd dotarli na teren szkoły. Po jakie licha ją tu zaprosił?

Przyjechał po nią dżipem, ubrany w robocze spodnie na szelkach, strażacką koszulkę, buty ochronne. Przez całą drogę z głośnika w samochodzie dobiegała muzyka country-and-western. Matt prowadził uśmiechnięty, bez słowa wyjaśnienia, dokąd jadą i po co.

- Wkrótce zobaczysz mnie w akcji - obiecał, sięgając na tylne siedzenie po płaszcz i kask. - Zazwyczaj na takie imprezy jeżdżę razem z chłopakami - wskazał

głową zaparkowany za trybunami wóz strażacki - ale dziś, ponieważ chciałem przywieźć ciebie, umówiłem się z nimi na miejscu.

Przypomniała sobie spojrzenie, jakim ją obdarzył, wypowiadając te słowa. Płomienne, przenikające. Może Carol ma rację, może to tylko sprawa chemii, ale co w tym złego? Dreszczyk emocji, który ją przeszył, był całkiem miły. Tak, stojąc na parkingu, nieopodal boiska, i patrząc, jak Matt wciąga na siebie strażacki strój, czuła się lekko podniecona. Ale wszystko, co Matt robił, tak na nią działało.

Potem jednak zaprowadził ją na boisko, na którym tłoczyli się członkowie szkolnej orkiestry, rozgorączkowani uczniowie, przejęci rodzice i uśmiechający się pobłażliwie nauczyciele. Danni nie знаła nikogo, ani jednej osoby.

- Muszę cię zostawić - powiedział, po czym wskazując drewniane ławy dla widzów, dodał: - Tu się spotkamy, dobrze?

Po chwili znikł.

Wysłuchiwała kilku kawałków zagranych przez szkolną orkiestrę, przemówienia wygłoszonego przez kierownika szkoły oraz paru mów przedstawicieli różnych rad uczniowskich. Coraz bardziej poirytowana i wściekła, zastanawiała się, po jakie licho tkwi na środku boiska wśród zadowolonych z siebie małych i ich opiekunów, kiedy mogłaby być w domu i wreszcie się wyspać.

Nagle uwagę tłumu przyciągnął człowiek wspinający się na szczyt gigantycznego stosu.

Tym człowiekiem był Matthew Creed. W jednej ręce trzymał bosak, w drugiej puszkę z naftą. Dotarłszy na szczyt, uniósł bosak nad głowę - przez ułamek sekundy wyglądał jak dawny wojownik szykujący się do walki z wrogiem - po czym wbił go w kukłę. Dziewczęta na boisku piszczały i klaskały w dłonie, chłopcy grubymi głosami wołali: „Brawo!”. Matt przechylił puszkę i zaczął polewać naftą drewniany stos.

Był gwiazdą, główną atrakcją wieczoru, i swoją rolę miał opanowaną do perfekcji. Zszedł ze stosu, potrząsnął puszką, pozbywając się ostatnich kropli, następnie odrzuciwszy za siebie puszkę i bosak, chwycił długą pochodnię zrobioną z drewna i szmat.

Rysujący się na tle zachodzącego słońca tłum młodzieży wstrzymał oddech. Wszyscy bez słowa wpatrywali się w Matta, z napięciem oczekując kolejnych wydarzeń.

Kiedy zapalił pochodnię, powietrzem wstrząsnął ryk.

Podczas gdy dobosze coraz szybciej wybijali na bębnach rytm, Matt zataczał nad głową ogniste koła. Potem zaczął drażnić się z wrzeszczącą młodzieżą: wykonując niemal rytualny taniec, zbliżał pochodnię do stosu i cofał ją, nim ten zdążył zająć się ogniem.

Przyglądając się jego silnym rękom i nogom, szerokim plecóm, widząc, jak steruje emocjami tłumu, Danni pomyślała sobie: Gdyby był mój, nie stałabym beczynníe. Filmowałabym cały występ. Każdą sekundę.

Gdyby był mój? Potarłszy ramiona, rozejrzała się wkoło. Kilku chłopców w strojach futbolowych trzymało na ramionach ubrane w kuse spódniczki cheerleaderki, które klaskały w rytm bębnów. Nagle atmosfera na boisku wydała się jej... prawie hedonistyczna. Odgłos bębnów wypełniający chłodne jesienne powietrze; podskakujący rytmicznie, rozgorączkowany tłum; i Matt, wielki, odważny, dzierzący płonąca pochodnię.

Stojący koło Danni chłopak przyłożył ręce do ust i krzyknął:

- Podpal, człowieku!

Ale Matt dalej drażnił się z publicznością; wzruszywszy ramionami, cofnął się od stosu, po czym przytknął dłoń do ucha, jakby nie rozumiał, o co zgromadzonym na boisku dzieciakóm chodzi.

Wreszcie kierownik szkoły, obserwujący widowisko z pobliskiego podium, skinął do Matta głową, dając mu znak, że pora rozpałić ognisko. Matt opuścił na twarz specjalną osłonę i nim się ktokolwiek spostrzegł, jednym szybkim ruchem wepchnął pochodnię w polany naftą drewniany stos. Płomieniom, które z głośnym sykiem strzeliły w powietrze, towarzyszył ogłuszający ryk widzów. W niebo wzniosła się czarna smuga dymu.

Z potężnego ogniska bił tak intensywny żar, że ci, którzy stali najbliżej, zaczęli się cofać. Matt jednak tkwił na miejscu, jakby niewrażliwy na płomienie. W pewnym momencie zdjął z twarzy osłonę i popatrzył prosto na Danni.



- To pani mąż? - spytała chuda, wysoka dziewczyna z aparatem ortodontycznym na zębach.

- Nie - odparła Danni, ale faktem jest, że kiedy tak stała z wzrokiem wbitym w Matta, który krążył wokół ogniska, pilnując, aby płomień się nie rozprzestrzenił, zastanawiała się nad tym, jak by to było, gdyby nosili obrączki i mieszkali pod jednym dachem.

- Szkoda! Co za facet! - Dziewczyna zasłoniła usta i zaczęła chichotać. Po chwili odeszła, odciągnięta na bok przez koleżankę.

Kiedy emocje tłumu opadły, Matt pomachał do kolegów, żeby podprowadzili wóz, który stał zaparkowany na krańcu boiska, i we trzech przystąpili do polewania ognia.

Kiedy ugasili płomienie, do strażaków podszedł kierownik szkoły, aby uścisnąć im dłonie. Potem Matt poprosił kolegów, aby zwinęli szlauch, sam zaś podbiegł do Danni, która czekała na pustych trybunach.

- No i co? - spytał zdyszany, ściągając z głowy kask. - Podobało ci się?

Owszem. Podobało się. Bardzo się podobało: wielki stos, Matt, który go podpala, strzelające w niebo płomienie. Ale czy taka randka się jej podobała? No cóż...

- Muszę przyznać, że czegoś takiego jeszcze nie widziałam - rzekła. - Umiesz rozruszać dum.

- Co roku rozpalam w tej szkole wielkie ognisko. To taka tutejsza tradycja. Żeby młodzież z żarem w sercu przystępowała do nauki. Uwielbiam dzieciaki... - Zrzucił z ramion płaszcz, po czym usiadłszy na drewnianej ławie, zaczął zdejmować buty ochronne. - Pomyślałem sobie, że może zechcesz zobaczyć, co robię, kiedy nie wyciągam ludzi z płonących budynków.

Wstał, zsunął szelki, rozpiął pasek. Danni poczuła, jak twarz jej płonie rumieńcem. Chyba nie zamierza rozebrać się na środku boiska? Czy ma coś pod spodem? I nagle na jego nadgarstku zobaczyła tę samą chustkę co tamtego dnia, gdy karetka przywiozła go na ostry dyżur.

Ściągnął spodnie i... odetchnęła z ulgą, widząc ciasne dzinsy opinające mu biodra - po czym włożył z powrotem buty. Schylając się, podniósł z ziemi ubranie.

- Chodźmy. Schowam to do wozu strażackiego i wezmę z dzipa zapasowe buty.

Wsunęła palec pod bandanę, którą miał zawiązaną wokół nadgarstka.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła cicho. Zerknął w dół na rękę i spochmurniał.

- O tej chustce? - spytał. - Należała do mojego przyjaciela. - I obserwując uważnie jej reakcję, dodał: - Zawsze ją wkładam, kiedy jadę na akcję.

- Po co?

- Na szczęście. I żeby nie zapomnieć.

- O czym? - Tak bardzo ją fascynował, że nie była w stanie powstrzymać się od pytań.

- Raczej o kim. O Sparkym.

- Sparky to ten przyjaciel?

- Tak. To był specjalnie szkolony pies. Sam go wszystkiego nauczyłem.

Mieszkał u mnie, kiedy jeszcze miałem dom z ogrodem.

- Tak?

Czekała, aż coś jeszcze powie, lecz milczał. Z nieobecny wyrazem oczu, jakby wrócił myślami do odległych wspomnień, wpatrywał się przed siebie.

Przypomniała sobie to drapieżne spojrzenie, kiedy chwycił ją za rękę na ostrym dyżurze. Po chwili spytała cicho:

- Czy Sparky brał udział w akcji ratowniczej po wybuchu w Oklahomie?

- W Oklahomie? - Zmarszczył czoło. - Skąd wiesz, że tam byłem?

- Tamtej nocy, kiedy przywieziono cię do szpitala, twój przyjaciel... taki wysoki czarny...

- Tom?

- Chyba tak. Byłeś taki podekscytowany, że dałam ci środek usypiający.

Naprawdę nic nie pamiętasz?

Matt pokręcił przecząco głową.

- No więc twój przyjaciel Tom - kontynuowała - powiedział mi, że uczestniczyłeś w akcji ratowniczej po ataku terrorystów w Oklahomie.

Wzruszył ramionami.

- To prawda. I ja, i on. I wiele innych osób.

- Sparky też? Pomagał wam szukać ofiar w gruzach? - spytała Danni.

Matt spojrział na swoje dłonie.

- Tak. Włożyliśmy mu takie małe skórzane buty, ale to niewiele dało. Całe łapy miał poharatane. W rany wdało się zakażenie, które nie dawało się wyleczyć.

- I co się stało?

Podniósł wzrok. Na jej twarzy malowało się zaniepokojenie, na jego - smutek.

- Musieliśmy go uśpić.

Nagle poczuła, że przekroczyła pewną niedozwoloną granicę i że, być może, kiedyś przyjdzie jej za to zapłacić. Nie wiedziała tylko, jaką cenę. Odwróciła oczy.

- Przykro mi. Wybacz, że poruszyłam ten temat.

- Nie szkodzi. Z niektórymi rzeczami trzeba się pogodzić.

To prawda. Ale zdawała sobie też sprawę, że niektórych rzeczy po prostu nie sposób zaakceptować.

- Wiesz, co najlepiej zapamiętałem? Co mi się śni po nocach?

Nie patrzył na nią. Patrzył na puste boisko szkolne, a raczej na pryzmę popiołu, jedyną pozostałość po wspaniałych czerwonych płomieniach, które zaledwie godzinę temu strzelały w niebo.

- Co? - Wstrzymała oddech, czekając w napięciu na odpowiedź.

- Cisza. Koszmarna cisza.

Skinęła głową. Nie chciała nic mówić, przerywać jego transu.

- Kiedy śni mi się Oklahoma, śni mi się cisza. Gruzy. Krew. I cisza. Tamtego dnia wszyscy pracowaliśmy w milczeniu, jakbyśmy przeczuwali, że w tych gruzach odnajdziemy martwych. Zasypanych.

- Nigdy o tym nie myślałam. O tym, jak strasznie musi brzmieć cisza - szepnęła Danni.

Łzy napłynęły jej do oczu; odkąd poznała Matta, już kilka razy miała ochotę się rozpłakać. Dlaczego?

Po wybuchu w Oklahomie, ku swojemu bezbrzeżnemu zdumieniu i wstydowi, nie uroniła ani jednej łzy. Chciała, bardzo chciała; wszyscy wkoło szlochali, ale z jakiegoś powodu ona oczy miała suche. Chyba wtedy po raz pierwszy w życiu

przyszło jej na myśl, że coś z nią jest nie tak, z nią i z jej życiem, skoro na wieść o potwornej tragedii nie potrafi płakać wraz z innymi.

Ale teraz, siedząc na pustych trybunach ustawionych na pustym boisku szkolnym, poczuła, jak łzy wzbierają jej pod powiekami.

- Nie ma się czego wstydzić - powiedział Matt, jakby czytał w jej myślach. - Czasem na samo wspomnienie tamtego koszmaru wstrząsa mną dreszcz.

Danni przygryzła wargę i biorąc głęboki oddech, zamknęła oczy. Pierwsza łza popłynęła jej po policzku.

- Mógłbyś... mógłbyś mnie przytulić?

- Chętnie - odparł. - A ty mnie?

Wyciągnął do niej rękę, a kiedy podniosła się z drewnianej ławy, pomógł jej zeskoczyć na ziemię. Przez chwilę stali bez ruchu, zwróceniu do siebie twarzą, po czym Danni rozłożyła ramiona, a on postąpił krok naprzód i przygarnął ją do siebie.

To było niesamowite; jeszcze nigdy się tak nie czuła.

Oparł policzek na jej włosach, ona zaś położyła głowę na jego piersi. Ich ciała się stykały. Czuła jego miarowy oddech, słyszała bicie serca. Pachniał cedrem, dymem, skórą. Przytulił ją mocniej. Był spokojny, opanowany, a zarazem promieniował siłą.

Trwali tak przez kilka długich chwil. W pewnym momencie Danni uświadomiła sobie, że opuściło ją napięcie. Zamknęła oczy. Marzyła o tym, aby trwać tu wiecznie, w ramionach tego cudownego mężczyzny.

Pocałował ją w czubek głowy, tak jak ojciec całujący ukochane dziecko.

- Dziękuję, że spytałaś mnie o chustkę - szepnął, przywierając wargami do jej włosów.

- Wiesz co, Matt? - Odchyliła głowę i przyjrzała mu się uważnie. - Jesteś naprawdę niezwykłym człowiekiem.

Jego poważny nastrój przysł.

- Wiem - odparł ze śmiechem. - Nie tylko miłym, skromnym i dowcipnym, ale w dodatku fantastycznie zbudowanym.

Ponownie zacisnął wokół niej ramiona, ale tym razem jego ruchy nie miały tej delikatnej czułości, jak przed chwilą; teraz było w nich pożądanie.

Danni roześmiała się speszona i uwolniła z jego objęć. Nie próbował jej zatrzymać. Puścił do niej oko, po czym, gładząc się po brzuchu, dodał:

- Nie tylko skromnym i fantastycznie zbudowanym, ale również pioruńsko głodnym.

Tym razem to on wybrał lokal. Miejsce, do którego ją zabrał, było brudne i zadymione. Panował w nim potworny hałas, klientelę zaś stanowili krępi mężczyźni i otyłe kobiety w powyciąganych bluzach i znoszonych dzinsach. Danni wzdrygnęła się ze wstrętem.

- Uwielbiam tutejsze żarcie - oznajmił Matt, nawet nie zaglądając do karty dań.

Danni jednak długo studiowała menu, usiłując znaleźć coś, co mogłaby zjeść z czystym sumieniem, coś, co nie ociekałoby tłuszczem i nie zawierało setek kalorii.

Do stolika podeszła kelnerka.

- Cześć, przystojniaku - powiedziała do Matta poufałym tonem, jakby go świetnie знаła. - Co podać?

- To, co zwykle, Sally - odparł z uśmiechem.

- Czyli żeberka wieprzowe z frytkami. - Zapisała w notesie, po czym zwróciła się do jego towarzyszkii: - A pani co sobie życzy?

Danni zamknęła kartę.

- Jakąś sałatkę.

Matt z kelnerką wykrzywili się z obrzydzeniem, zupełnie jakby zamówiła półmisek surowych robaków.

- Jestem na diecie - wyjaśniła. Matt prychnął pogardliwie.

- E tam, wcale nie jesteś gruba. - Po czym kierując wzrok na kelnerkę, polecił: - Dla pani przynieś półmisek różności.

Uśmiechając się z zadowoleniem, Sally skinęła głową i poszła w stronę kuchni.

- Wiem, co mi wolno jeść, a czego powinnam unikać - oświadczyła obrażona.

- Nie musisz nic jeść. Możesz patrzeć. Po prostu nie chcę, żebyś siedziała nad jednym nędznym listkiem sałaty.

Nie skusiłaby się, gdyby nie unoszący się znad talerza wspaniały zapach; to on sprawił, że nie mogła się powstrzymać. Danie było wyśmienite; czegoś tak pysznego w życiu nie jadła. Wyrzuty sumienia czuła tylko przez ułamek sekundy, a potem z

zapalem pałaszowała soczyste pieczone żeberka, smakowite wędzone kurze piersi, surówkę i frytki.

Matt nie spuszczał z niej wzroku. W pewnej chwili własną serwetką delikatnie starł jej z brody kropelkę sosu.

- Jutro wrócisz na dietę - powiedział łagodnie. - Czasem, moja miła, warto zaszaleć.

Danni zastanawiała się, jakiemu szaleństwu uległa, kiedy nazajutrz pozwoliła swojej matce, żeby umówiła ją na randkę z Wesleyem Fuerborne'em.

Pani Goodlove zadzwoniła z samego rana.

- Kochanie! Pamiętasz, mam nadzieję, że za kilka dni odbędzie się gala na zakończenie festiwalu teatralnego?

- Tak. I co? - Danni była nieobecna myślami.

- Jestem jedną z organizatorek i wciąż mam przy swoim stoliku dwa wolne miejsca. Nie będzie to ładnie wyglądało. Pomyślałam sobie, że mogłabyś przyjść z Wesleyem i wybawić mnie z opresji. A przy okazji zaprezentować swoją nową, szczupłą figurę w jakiejś olśniewającej sukni wieczorowej... Zresztą, Wesley to sympatyczny młody człowiek. Nie chciałabyś spędzić z nim wieczoru?

Słyszając ciszę w słuchawce, Olivia Goodlove ciągnęła:

- Nie sądzisz, kochanie, że najwyższa pora, żebyś przestała myśleć wyłącznie o pracy i zaczęła prowadzić chociażby skromne życie towarzyskie? Przecież ty nie byłaś nawet na własnym balu maturalnym! No, kochanie, proszę cię. Zrób to dla mnie...

Pochlebstwem i groźbami wymusiła na córce zgodę.

Jackie zapiszczała z radości, kiedy usłyszała, że Danni idzie na organizowaną w muzeum Gilcrease'a uroczystą galę, z której dochód przeznaczony był na cele charytatywne.

- O rany! Wielka gala w Gilcrease! Kto wie, może twoje zdjęcie ukaże się w niedzielnej gazecie?

Obie z Carol uparły się, by pomóc przyjaciółce kupić odpowiedni strój; wybrały wyszywaną koralikami jedwabną suknię do ziemi w pięknym błękitnym odcieniu, wspaniale harmonizującym z kasztanowymi włosami Danni.

Kiedy Danni - uczesana, umalowana, pachnąca - ujrzała się w lustrze, pomyślała sobie, że może to, co matka mówiła, nie było takie głupie. Może istotnie odmawiała sobie zbyt wielu przyjemności, począwszy od balu maturalnego, a skończywszy na romantycznych kolacjach w wytwornych lokalach.

Obiektywnie rzecz biorąc, wieczór w Gilcrease należał do wyjątkowo udanych. Do Wesleya nie mogła mieć żadnych zastrzeżeń; był kulturalny, dobrze wychowany, obyty. Po południu przysłał jej do domu kwiaty, a wieczorem na przyjęciu przedstawiał ją wszystkim miejscowym luminarzom, jakby była królową balu. Potrafił świetnie tańczyć i z wdziękiem prowadził ją po parkiecie, a w drodze do domu zarzucił jej na ramiona marynarkę, żeby przypadkiem nie zmarzła.

Tak. Wesley Fuerborne był idealnym kompanem i wymarzonym partnerem na randkę. Niestety, biedak miał jedną zasadniczą wadę. Nie był Matthew Creedem.

Nie był tym Mattem, który wyciąga dzieci z płonących przyczep. Nie był tym Mattem, który wykonuje dziki rytualny taniec przy wielkim ognisku. Nie był tym, którego pocałunek wciąż śnił się jej po nocach.

## *Rozdział 10*

Matt Creed miał dziwne pomysły, jeśli chodzi o randki. Mniej więcej tydzień po tym, gdy się widzieli ostatnim razem, zostawił dla Danni wiadomość na pagerze, aby się z nim skontaktowała.

- Cześć - powiedział, kiedy zadzwoniła. - Nie przeszkadzam w niczym ważnym? Nikogo nie zszywasz? Nikomu nie ratujesz życia?

- Nie. Tych, co miałam uratować, już uratowałam - odparła, uśmiechając się do słuchawki.

- Świetnie, bo mniej więcej za godzinę muszę być w centrum, żeby przetestować zsuwnię. Może byś ze mną pojechała, co? Moglibyśmy się później wybrać do jednej z twoich eleganckich knajpek na kolację...

- Poczekaj, co musisz przetestować? Zsuwnię?

- Tak. Co pewien czas sprawdzamy w biurach zabezpieczenia przeciwpożarowe i drogi ewakuacyjne. Poproszono mnie, żebym w nowo wyremontowanym budynku obejrzał wyposażenie i wyjaśnił ludziom, jak się mają zachować w razie pożaru. A zsuwnia to coś w rodzaju wielkiej spiralnej zjeżdżalni. Co kilka lat trzeba odbyć nią drogę z góry na dół, żeby zobaczyć, czy jest „przejezdna”. Danni wzdygnęła się.

- Z góry na dół? To znaczy, ile pięter?

- Ten budynek ma akurat dwadzieścia trzy. To co? Wybierzesz się ze mną? A potem na kolację do jakiejś eleganckiej restauracji? Chętnie bym cię znów zobaczył w tej czarnej sukni.

Serce zabiło jej mocniej. Pomyśleć tylko! Zjazd z dwudziestego trzeciego piętra! Przeszedł ją dreszcz. Bardzo chciała to zobaczyć, ale wolała nie przerywać znów diety.

- Wiesz co? Mam inny pomysł - rzekła. - Zamierzałam dziś wieczorem odbyć przejażdżkę konno. Więc z przyjemnością obejrzę twój zjazd, ale może zamiast kolacji wybralibyśmy się do stajni, w której trzymam swoją Błyskawicę? Przygotuję kosz z jedzeniem i urządzimy sobie piknik...

Nie odezwał się.

- Halo? Halo? - Cisza trwała tak długo, że Danni była pewna, iż połączenie zostało przerwane. - Matt? Jesteś tam?

- Przejażdżka konno... To znaczy, na koniu? - spytał wreszcie.

- Nie, na żyrafie. - Danni zaczęła chichotać.

Na drugim końcu linii znów zapadła cisza, a potem rozległo się ciężkie westchnienie.

- Matt? Halo?

- No dobrze. Niech ci będzie. Wiśta wio.

Stał przed budynkiem ubrany w kowbojskie buty, dżinsy, białą bawełnianą koszulkę, a na to czarną skórzaną kurtkę. Kurtka była szeroka w ramionach, miała jasne wstawki w pasie i przy mankietach, zapinane na suwaki kieszenie, ale nie to czyniło ją wyjątkową - naprawdę wyjątkową czynił ją mały napis na prawej piersi -



„Straż pożarna miasta Tulsa" - oraz imię i nazwisko - „Matthew Creed" - wyhaftowane na lewej piersi.

- Coś takiego! - zawołała Danni z niekłamanym zachwytem. - Świetna jest ta kurtka.

- Tak, z najlepszej skóry. Szyta na zamówienie straży.

- Odwrócił się, żeby pokazać jej duże motto na plecach wyhaftowane w kształcie krzyża maltańskiego. - No dobra, chodźmy. Ci na dole akurat kończą pracę, a na górze czekają na nas pracownicy ostatnich kilku pięter.

Architekci, urzędnicy, sekretarki, pracownicy techniczni, trzymający w ręku torebki, teczki lub skoroszyty z dokumentami, powoli zbierali się wokół Matta.

Dzisiejszego wieczoru zachowywał się zupełnie inaczej niż wtedy, gdy występował na boisku przed tłumem młodzieży. Dziś był poważny, skupiony na pracy.

Danni towarzyszyła mu, kiedy robił obchód firmy. Zaglądał do wszystkich sal i gabinetów; w pewnej chwili przystanął i wyjaśnił jednemu z szefów, że pudła i tuby zagracające korytarz trzeba koniecznie usunąć.

Wrócił do drzwi, za którymi kryła się zsuwnia. W sposób logiczny i rzeczowy zaczął tłumaczyć zgromadzonym dookoła ludziom, jak urządzenie jest zbudowane - na zasadzie olbrzymiej zjeżdżalni, tyle że biegnącej spiralnie; wewnątrz jest ciemno, jedyne światelka palą się przy drzwiach, które otwierają się na każdym piętrze.

- Podczas pożaru należy działać szybko i zdecydowanie, ale nie wpadać w panikę. Trzeba pośpiesznie opuścić płonące miejsce, ale spokojnie, bez nerwów.

Potem spytał, czy ktoś ma ochotę na „jazdę próbną". Grupka stłoczonych wokół niego pracowników firmy architektonicznej roześmiała się nerwowo.

Odwrócił się twarzą do ściany i przekręciwszy tarczę, otworzył nieduże drzwi. Oczom Danni ukazał się mroczny podest, a niżej ciągnąca się spiralnie w dół metalowa tuba. Dwadzieścia trzy piętra w dół!

Matt wszedł na wąski podest.

- Proszę pamiętać. Siadamy, ręce trzymamy wysoko nad głową. Nie odpychamy się, wszystko za nas robi siła grawitacji. Jeżeli gdzieś utkniemy, wystarczy wyprostować nogi i położyć się na wznak. Nie szamoczemy się. Jeżeli ktoś z państwa chce spróbować, to śmiało; będę czekał na parterze.

Zdjął kurtkę. Na widok jego umięśnionego torsu rysującego się pod obcisłą koszulką polo jakaś młoda kobieta oblizała wargi i popatrzyła znacząco na stojącą obok koleżankę.

- Nie chcę, żeby się podarła - wyjaśnił cicho, zwracając się do Danni. - Czasem można zahaczyć o jakąś nierówność. To co, spotkamy się na dole?

Puściwszy do niej oko, wskoczył do otworu i zniknął.

Po zebranych w holu ludziach przeszedł szmer; niektórzy znów zaczęli nerwowo chichotać. Dwóch mężczyzn zbliżyło się ostrożnie do otworu i spojrzało w dół.

Danni wzięła z nich przykład, podeszła bliżej i aż zdrętwiała ze strachu. Cofnęła się czym prędzej i przyciskając do piersi kurtkę Matta, przesiąkniętą jego zapachem i wciąż ciepłą, wciągnęła głęboko powietrze. Następnie skierowała się do windy.

Godzinę później, patrząc na Matta, zastanawiała się, czy jest to ten sam człowiek, który ze śmiechem, bez najmniejszego lęku, wskoczył do spiralnej czarnej rury i zjechał dwadzieścia trzy piętra w dół.

Przy koniach bowiem wielki, nieustraszony Matthew Creed był niepewny i bojaźliwy jak drobna, krucha staruszka. Chociaż stary, łagodny gniadosz, którego mu wynajęła, jeszcze nikogo w życiu nie skrzywdził, Matt zachowywał się tak, jakby zwierzę miało go żywcem pożreć.

Litując się nad biedakiem, Danni skróciła przejażdżkę; nie miała serca dłużej patrzeć na jego cierpienniczą minę. Kiedy zsiadli z koni, podała mu zahaczone o siodła torby i poprosiła, by poszedł na polanę na szczycie wzgórza, sama zaś przywiązała Błyskawicę i gniadosza do rosnących nieopodal niskich cedrów.

- Nieczęsto odbywasz przejażdżki konne, prawda? - spytała parę minut później.

Rozłożywszy na trawie koc, uklękła na nim i zaczęła wyjmować z torby przygotowaną przez Jackie kolację - kawałek chudej piersi indyczej dla siebie, kurczaka z rusztu dla Matta.

- Nieczęsto - przyznał.

Kucnąwszy obok, pomagał jej odwinąć jedzenie.

- Trzeba było mi powiedzieć, że to nie sprawia ci przyjemności.

Przysiadł na piętach i przyjrzał się jej uważnie.

- Myślałem, że zdołam to ukryć, że niczego nie zauważysz. A prawda jest taka, że nienawidzę koni. Ostatni raz dosiadałem je w wieku dwunastu lat. Właśnie wtedy przytrafił mi się pewien przykry incydent. Potężny stary drań o imieniu Demon ugryzł mnie w tyłek.

Danni parsknęła śmiechem.

- To wcale nie jest śmieszne. Została mi blizna.

- Serio?

- Tak. Wierz mi, to było bardzo wstrząsające przeżycie - oznajmił smętnym tonem, przysuwając się bliżej. - Tylko miłość czulej, kochającej kobiety może mi pomóc zapomnieć o tej smutnej przygodzie.

Przywarł ustami do jej ust. Powietrze na otoczonej cedrami polanie było rześkie, chłodne, oddech Matta gorący. Badał językiem jej wargi, z początku całując ją delikatnie, potem coraz namiętniej. W pewnej chwili zaczął gładzić palcem jej dłoń. Efekt był piorunujący. Danni miała wrażenie, jakby uciskiem i głaskaniem pobudzał do życia jakieś tajemnicze obszary jej ciała i duszy.

Wreszcie cofnął głowę. Danni wypuściła z płuc powietrze i spoglądając Mattowi w oczy, przygryzła wargi. Nie chciała się całkiem odsłaniać, pokazywać, jakie uśpione emocje w niej ożywia. Czy domyśla się, co ona czuje? Czy widział żądzę, które zalała ją niczym ogromna fala przyływu? Czy też czuł ten niesamowity żar?

Przejechał lekko palcem po jej dolnej wardze.

- To co? Pokazać ci moją bliznę? - spytał cicho. Spłonawszy rumieńcem, ponownie zanurzyła rękę w torbie z jedzeniem.

- Zobacz! - zawołała, unikając odpowiedzi. - Jackie przygotowała nam również sałatkę z makaronu. Jestem głodna jak wilk! A ty?

Odwróciła się w jego stronę. Przyglądał się jej badawczo. Po chwili uśmiechnął się.

- Tak. Ja też.

Czuła, że rumieniec wciąż barwi jej twarz na czerwono. Zaczęła wyciągać z torby resztę pojemników, nie patrząc na Matta. Chociaż pragnęła go dotykać, gładzić,

całować, chociaż chciała wszystkiego się o nim dowiedzieć, poznać jego wady i zalety, zgłębić jego tajemnice, zdała sobie sprawę z własnej niemocy. Z paraliżującego strachu, który powstrzymywał ją przed zrobieniem następnego kroku.

## *Rozdział 11*

- Masz kostium kąpielowy? - spytał, kiedy zadzwonił kilka dni później.

- Kostium kąpielowy? - zdziwiła się. W listopadzie?

- Tak, kostium kąpielowy. Poczekaj. Może zacznę inaczej. Czy najbliższy weekend masz wolny?

Serce zabiło jej mocniej; ilekroć słyszała w słuchawce głos Matta, zawsze było przyspieszonym rytmem.

- Nie - odparła. - Pracuję. Ale mogłabym prosić kogoś o zastępstwo... - Starła się ukryć podniecenie, oddychać normalnie. - Dlaczego pytasz?

- Bo z dwoma kumplami wybieram się na spływ kajakowy po rzece Illinois. I przyszło mi do głowy, że może dałabyś się namówić?

Spływ kajakowy lub dwa kolejne wieczory spędzone na lekturze zaległych pism poświęconych nowinkom z dziedziny ginekologii i położnictwa? Hm, trudny wybór. Bardzo trudny.

- Kiedy... kiedy wyruszacie?

- Jutro o świcie. Musiałbym przyjechać po ciebie najpóźniej o siódmej. To co, skusisz się?

Przypomniała sobie jedną z „żelaznych” zasad swojej przyjaciółki Carol: nigdy nie przyjmuj zaproszenia na ostatnią chwilę. Jednakże w wypadku Matta nie zdawało to egzaminu. Kiedy dzwonił, żadne zasady nie obowiązywały; łamała wszystkie po kolei.

- Chętnie - odparła bez wahania. A Carol niech się wypcha!

Nazajutrz, punktualnie o siódmej rano, trzy wozy terenowe zajechały pod jej dom: Matta oraz jego dwóch kolegów, którym towarzyszyły ich przyjaciółki.

Promienie wschodzącego słońca odbijały się złocistym blaskiem o drzwi i maski pojazdów. Wszystko wskazywało na to, że mimo późnej jesieni będzie jeden z tych pięknych, słonecznych dni, kiedy słupek rtęci wzrasta do dwudziestu kilku stopni.

Mężczyźni wysiedli. Matt przedstawił Danni swoich kolegów. Toma pamiętała ze szpitalnej izby przyjęć; to on próbował uspokoić Matta, kiedy ten chciał się zerwać z łóżka. Nie wspomniała jednak o tym; wołała, aby nie kojarzył jej z panią doktor ze szpitala Świętego Krzyża, która zszywała Mattowi ramię.

- Podłoga wyszła znakomicie, Tom. Świetnie się z Mattem spisaliście - powiedziała z uśmiechem, podając mu dłoń.

- Dziękuję. - Tom odwzajemnił uśmiech. - A pani pięknie urządziła dom, pani doktor.

- Och nie, proszę mi mówić Danni.

Przyjaciółka Toma, delikatna z wyglądu młoda kobieta o imieniu Gloria, skinęła głową na powitanie, uśmiechając się nieśmiało przez szybę.

Drugi towarzysz Matta, niejaki Gil, był krępym rudzielcem. Jego przyjaciółka, Rena, miała na nadgarstku tatuaż przedstawiający kłębowisko węży.

Po chwili wszyscy wsiedli z powrotem do dżipów i ruszyli w drogę. Nim dojechali do rogu, Matt wskazał za siebie na tylne siedzenie; stał tam duży wiklinowy kosz.

- Tym razem ja przygotowałem posiłek - oznajmił z dumą, po czym uniósł wieko, demonstrując zawartość.

Zobaczyła nowiutki obrus z pasującymi serwetkami, zestaw plastikowych talerzy i sztućców w kolorze cyklamenowym oraz stopy smakowicie wyglądających sałatek, chrupiących bagietek, serów i owoców. Z boku, owinięta specjalnym tworzywem utrzymującym niską temperaturę, stała półlitrowa butelka wina - sądząc po etykiecie, wysokiej klasy cabernetu. Danni uśmiechnęła się wzruszona: zadał sobie tyle trudu!

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Miał na sobie luźne szorty w kolorze khaki, czerwony golf, sportową kurtkę. Jak zwykle, bardzo się jej podobał.

- Podoba ci się? - spytał, mając na myśli zawartość kosza.

- Och tak! Ogromnie! Szalenie! - Nie mogła powstrzymać wyrazów zachwyty.

Może, pomyślała, to zapach jego wody kolońskiej tak na mnie działa. Nagle kurtka Matta się wybrzuszyła. Danni podskoczyła przerażona.

- Co to? - spytała, wskazując na przemieszczającą się wypukłość.

Matt powoli rozpiął suwak. Po chwili oczom Danni ukazał się srebrzystoszary łebek pudła z wielkimi wilgotnymi ślepiami; ujrawszy obcą osobę, piesek szybko schował się z powrotem w fałdy kurtki.

- To Miss Werbena?

Matt skinął głową i przyłożył palec do ust.

- Jest nieśmiała - powiedział szeptem.

- Aha - szepnęła Danni, podejmując grę. - Rozumiem.

Wcale jednak nie rozumiała; prawdę mówiąc, była nawet dość zdziwiona, że zabrał małego delikatnego pieska, pudła miniaturkę, na spływ kajakowy.

Później pojęła jego strategię. Panna Werbena co pewien czas domagała się uwagi, a tym samym przerywała monotonię. Zwłaszcza na początku, kiedy Matt wiosłował w milczeniu, Danni była wdzięczna za towarzystwo psa. Dzięki temu w łódce panował pogodny nastrój.

Rzeka, po obu brzegach gęsto porośnięta starymi wierzbami i potężnymi topolami, była miejscami tak szeroka i tak gładka, że drzewa i niebo odbijające się na jej powierzchni wyglądały jak realistycznie - choć do góry nogami - namalowane pejzaże.

- To mi przypomina Ruisdaela - powiedziała cicho Danni.

- Co? - Matt wyjął na moment wiosło z wody.

- Ten pejzaż. Przypomina mi malarstwo siedemnastowiecznego pejzażysty holenderskiego, Salomona Ruisdaela.

- Tak? To miło. - Zanurzywszy z powrotem wiosło, zburzył gładką tafłę.

- Panno Werbeno... - powiedziała scenicznym szeptem

Danni do pieska. - Takiej kulturalnej młodej damie jak ty na pewno spodobałyby się rzeczne pejzaże Ruisdaela.

- E tam! - Matt potrząsnął głową. - Ona woli impresjonistów.

Danni uśmiechnęła się i pogłaskała psa. Tak, Matt zdecydowanie się jej podobał. I z wyglądu, i z usposobienia.

Wokół panował idealny spokój; ciszę zakłócał jedynie plusk wiosła.

- Miałaś może jakiś kontakt z Mary Taylor? - spytał ni stąd, ni zowąd.

- Z kim?

Zagubiona w myślach, napawająca się pięknem przyrody, nie skojarzyła, o kim mówi.

Odwrócił się tak, że widziała jego profil. Jakież ten facet jest przystojny, nawet z grymasem na twarzy!

- Z Mary Taylor. To twoja pacjentka. Matka bliźniaków, które zmarły na skutek poparzeń.

- Faktycznie... - Zawstydziała się. Powinna była zapamiętać nazwisko biednej kobiety. Matt najwyraźniej nie potrafił o niej zapomnieć. - Nie... Nic o niej nie wiem. Mimo wyznaczonej wizyty więcej się nie pojawiła.

Przestał wiosłować. Grymas na jego twarzy pogłębił się.

- Co? Nie przyszła na wizytę kontrolną? Po cesarskim cięciu?

Danni wzruszyła ramionami.

- To się zdarza częściej, niż myślisz. Że pacjent wypisany ze szpitala więcej się nam na oczy nie pokazuje.

- Nie dzwoniłaś do niej? Żeby sprawdzić, co się stało? Danni zarumieniła się lekko.

- Owszem, pielęgniarka dzwoniła. Zawsze dzwoniemy, przynajmniej raz. Ale co można zrobić, jeśli numer został zmieniony lub odłączony? Poza zgłoszeniem faktu narodzin dziecka w opiece społecznej?

Grymas na twarzy Matta ustąpił miejsca smutkowi i zadumie.

- Psiakość - westchnął, wpatrując się w drzewa porastające brzeg, po czym odwrócił się plecami do siedzącej z tyłu Danni i przebił wiosłem nieruchomą tafłę wody.

Wiosłowali w milczeniu. Słońce przygrzewało coraz mocniej; wreszcie Matt zdjął kurtkę.

- Nie jest ci za ciepło? - spytał.

- Nie - skłamała.

Nie chciała się rozbierać, gdyż pod spodniami i kurtką miała na sobie jedynie kostium kąpielowy, wprawdzie jednoczęściowy, dość mocno zabudowany, ale... Wiedziała, że zachowuje się jak dziecko, jednakże w obecności tego mężczyzny, który wprost emanował seksem, czuła się zbyt speszona, by eksponować swój obfity biust. Danni, nie bądź śmieszna, zganiła się w duchu i po chwili ściągnęła kurtkę. Siedziała bez ruchu, lekko przygarbiona.

- Tak ci będzie znacznie lepiej - powiedział z uśmiechem, nawet nie zerkając na jej dekolt. - Co mówisz? - Pochylił się do Panny Werbeny, która leżała przy nogach Danni, z pyszczkiem wspartym na łapkach. - Że jesteś głodna? I koniecznie musisz coś zjeść? Skoro nalegasz, zdaje się, że nie mamy wyboru. Zaraz znajdziemy jakieś wygodne miejsce na piknik.

Podniósł głowę i zaczął rozglądać się po okolicy.

- Zawsze tak z nią rozmawiasz? - spytała Danni, mrużąc z rozbawieniem oczy.

- To znaczy jak? Pełnymi zdaniami? Jak z człowiekiem?

- I nie czekając na odpowiedź, ciągnął: - Owszem. Bo Panna Werbena nie lubi komend, nie cierpi krótkich, urywanych zdań, nie znosi niechlujnych wypowiedzi. Bardzo ją to irytuje. Prawda, Panno W.?

Psina natychmiast poderwała się na nogi i zaczęła entuzjastycznie szczekać, jakby całym sercem chciała poprzeć swojego pana.

Danni uśmiechnęła się domyślnie.

- Przyznaj się, pewnie zawsze w porze karmienia mówisz do niej Panno W.?

- Spozrzegawcza z ciebie bestia!

Unosząc wiosło, wskazał gestami przyjaciółom, żeby skierowali się na brzeg.

Kiedy wszyscy dopłynęli na miejsce, Gil, który wyraźnie wypił trochę za dużo piwa, nie potrafił się oprzeć wdziękom Danni i raz po raz zerkał na jej biust.

Zachowanie narzeczonego nie przypadło Renie do gustu.

- Gil! - wybuchnęła. - Na co się gapisz, draniu jeden?! Lepiej pomóż mi wyjąć tę torbę. - Zmierzyła go gniewnie wzrokiem. - No!

- Reno, kochanie, ależ ty masz cięty języczek - powiedział żartobliwie Matt, ale widać było, że czuje się skrępowany zachowaniem przyjaciela.



Danni zgarnęła w ramiona Pannę Werbenę, zasłaniając nią biust. Minawszy Gila i Renę, ruszyli na ocienioną polanę, gdzie Tom ze swoją dziewczyną rozłożyli już koc.

Gil otworzył chłodzony pojemnik i zaczął wyciągać ze środka zimne puszki z piwem.

- Piwko? - zwrócił się do Danni, zrywając kapsel.

- Dzięki, ale nie jestem amatorką.

Przez moment panowała niezręczna cisza, potem rudzielec wzruszył ramionami i podał puszkę Renie. Dziewczyna Toma uśmiechnęła się przepaszająco do Danni, jakby chciała powiedzieć: Nie przejmuj się Gilem.

- I dlatego - oznajmił wesoło Matt - wziąłem z sobą to! Wyjął z kosza butelkę cabernetu, odkorkował ją, po czym napełnił winem dwa małe plastikowe kubeczki.

- W czyje łaski próbujesz się wkraść, co, stary? - zawołał Gil.

- Panny Werbeny - odparł ze śmiechem Matt i mrugnawszy do Danni, podał jej jeden z kubeczków.

Wykonała taki gest, jakby wznosiła toast, i w tym momencie zabrzączał jej pager. Zdjęła urządzenie z paska przy spodniach, odczytała wiadomość, po czym wydobyła z torby telefon komórkowy i wystukała jakiś numer. Z kartką papieru i długopisem w ręce czekała, aż na drugim końcu linii ktoś odbierze.

Matt przyglądał się jej w milczeniu. Jego przyjaciele również.

- Roger? To ty próbowałeś się ze mną skontaktować? Roger?

Matt zadumał się. Czy przypadkiem nie tak miał na imię ten dudek, który przyszedł do domu Danni, kiedy razem z Tomem naprawiali popękany lakier? W głosie Danni wyczuwało się napięcie.

- Tak, zgadza się... Jak wysoka? Rozumiem... Bóle w nadbrzuszu? Zaburzenia wzroku? Przeprowadziliście bada...? Co? W porządku, trzeba podać w kroplówce siarczan magnezowy... Tak. Możesz? Dobrze, dzięki. Porozmawiamy później.

Przez chwilę słuchała. Na jej twarzy pojawił się wyraz... niepewności? Zerknęła na Matta i odeszła kilka kroków na bok.

- Nie, przykro mi... Obawiam się, że nie... Nie, kolacja też nie wchodzi w rachubę. Jestem poza miastem... Tak, nad rzeką. Z przyjacielem... Nie, nie wiem, o której będę z powrotem.

Matt poczuł, jak zaczyna kielkować w nim zazdrość. Hola, stary, spokojnie! - przykazał sobie. Jest lekarką i rozmawia z kolegą, który pełni dyżur w szpitalu.

Gil mrugnął do niego porozumiewawczo, Matt jednak udał, że tego nie widzi.

- Wszystko w porządku? - spytał, kiedy Danni dołączyła z powrotem do grupy.

- Na razie tak. - Westchnęła. - Czasem mam ochotę cisnąć ten pager do rzeki.

Inni pokiwali współczująco głowami.

- No dobra. Może byśmy coś zjedli? - zaproponował Tom.

Potrawy, które Matt wybrał, były doskonałe, chociaż zapiekanka ze szpinakiem i ciasteczka serowe nie powinny się znaleźć na talerzu osoby, która dba o linię i przestrzega diety. Ale Danni znalazła na to sposób - postanowiła brać nieduże porcje i wolno gryźć każdy kęs.

Reszta towarzystwa, niczym stado wygłodniałych wilków, rzuciła się na pieczone kurczaki. Mężczyźni zaczęli opowiadać anegdoty o strażakach i zabawne historyjki o akcjach ratowniczych, w których brali udział. Danni śmiała się ze wszystkimi, lecz cały czas miała wrażenie, jakby poddawano ją próbie.

Kiedy Gil z Tomem i swoimi partnerkami poszli nad wodę, żeby zamoczyć nogi, Matt wyciągnął się na kocu.

- Dobrze się bawisz? - spytał.

- Tak. Jest tu przepięknie - odparła, patrząc na leniwie płynącą rzekę.

- Cieszę się, że widok ci się podoba. A towarzystwo?

- Panna Werbena nieustannie zaskakuje mnie swoim dowcipem i erudycją. - Zaczęła zbierać z koca porzucane naczynia. - A ty... ty też jesteś całkiem miły - dodała żartobliwym tonem.

Sądziła, że Matt się roześmieje, że jakoś zabawnie zareaguje, ale odpowiedziała jej cisza, przerywana jedynie głosami dochodzącymi z rzeki.

- Nie miałem na myśli siebie i Panny Werbeny - oznajmił po chwili. - Nie o to pytałem.

Przerwała składanie serwetek i zdziwiona podniosła wzrok.

- A o co? Wzruszył ramionami.
- Mam wrażenie, że moi przyjaciele nie bardzo ci przypadli do gustu.
- Dlaczego tak uważasz? - oburzyła się, choć prawdę mówiąc, rzeczywiście nie

najlepiej się czuła w ich towarzystwie. W pewnym momencie zaczęła się nawet zastanawiać, co doktor Stone powiedziałby, gdyby zobaczył ją w tym gronie.

Wydawało się jej jednak, że w miarę dobrze ukrywa swoje odczucia

Matt skinął głową w stronę baraszkującej w wodzie grupy.

- Gil jest dość nieokrzesany, ale zawdzięczam mu życie. Właściwie to nieraz wyciągał mnie z opałów. W sumie porządny z niego gość. A Tom... Tom to jeden z najbardziej uczciwych, szlachetnych ludzi, jakich znam.

Położywszy się na boku, głaskał Pannę Werbenę. Na jego twarzy malował się wyraz zadumy. Nagle zmrużył oczy, a w jego głosie zabrzmiała nuta prowokacji.

- Nie wiem, czy wiesz, z kim się zadajesz. Jestem typem faceta, który wieczorami lubi siedzieć przed telewizorem, z butelką piwa i hot dogiem, i oglądać zawody sportowe.

- Ależ ja nie mam nic przeciwko jedzeniu hot dogów, picciu piwa czy oglądaniu zawodów sportowych! - zawołała gniewnie.

- Rzecz w tym, czy ktoś taki jak ja nadaje się dla kogoś takiego jak ty?

Zaskoczył ją.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi... - rzekła, usiłując zyskać na czasie. Musiała się wziąć w garść!

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - powiedział, przedrzeźniając ją. - Kiedy trzeba zająć stanowisko, cizie takie jak ty zawsze odpowiadają w ten sposób.

Cizie takie jak ja? Czy on upadł na głowę? Postanowiła jednak przejść nad tym do porządku dziennego.

- Mam zająć... stanowisko?

- Może to niewłaściwe słowo. Raczej wyłożyć karty na stół. Nie owijać niczego w bawełnę. Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię.

- Na miłość boską, o czym mówisz?!

- Słuchaj, podobasz mi się. Ja tobie chyba też. Ale różnimy się. O tym właśnie mówię. Jestem taki, jaki jestem. I wiodę takie życie, jakie wiodę. - Zatoczył ręką

szeroki krąg. - Nieokrzesani kumple i picie piwa na kocu to jeden jego aspekt. A drugi? Że często wracam do domu brudny i okopcony. Może się też zdarzyć, że w ogóle nie wrócę, że zamiast mnie w drzwiach stanie kapitan albo ksiądz. Życie ze strażakiem u boku wcale nie jest takie łatwe, jak ci się wydaje.

- Skąd wiesz, co mi się wydaje? - oburzyła się, czując, jak narasta w niej złość.  
- Do diabła, przecież jestem lekarzem! To ja zszywałam twoje rozharatane ramię, nie pamiętasz?

Wciąż nie mogła pojąć, do czego Matt zmierza. Że będzie wracał brudny albo w ogóle nie wracał? Że do drzwi zastuka kapitan? Jaki kapitan? Albo ksiądz. Jaki ksiądz? Do których drzwi? Do którego domu?

- No właśnie. Jesteś lekarzem. Przywykłaś do luksusu, do towarzystwa kulturalnych, dobrze wychowanych ludzi. Czy umiałbym się wpasować w twój świat?  
- Zanim zdołała zareagować, poderwał się z koca. - Mniejsza z tym - powiedział, upychając wszystko z powrotem do kosza. - Niepotrzebnie zacząłem tę rozmowę. Może po prostu jestem przewrażliwiony.

Zaniemówiła. Przewrażliwiony? Czym go sprowokowała? Tym, że nie lubi piwa? Że woli wino? Zgarnął z ziemi Pannę Werbenę.

- Chyba chce jej się pić - rzekł i z psem na rękach ruszył nad wodę.

Przez resztę popołudnia zachowywali się jak para skłóconych małżonków, którzy przy dziecku udają, że nic złego się nie dzieje. W tym wypadku w roli dziecka wystąpiła Miss Werbena. I Matt, i Danni przemawiali czule do psa, ale prawie wcale nie odzywali się do siebie.

Kiedy w ciszy płynęli w dół rzeki, Danni zastanawiała się nad słowami Matta. Co rozumiał przez życie ze strażakiem u boku?

A on wiosłował, rozmyślając nad tym, co zrobił. Po raz kolejny zdołał zniechęcić do siebie piękną i mądrą kobietę.

## *Rozdział 12*

- Masz gościa - szepnęła jej Carol na ucho.

- Co? Kogo?

Danni podniosła z irytacją głowę znad dokumentów, które przeglądała, ale Carol zniknęła już za rogiem. Czemu ona się tak dziwnie zachowuje? - pomyślała Danni, odsuwając krzesło od biurka. Wyciągnęła głowę i patrząc w głąb holu, usiłowała dojrzeć dyżurkę pielęgniarek.

Matt. Stał wsparty o kontuar recepcji, wzbudzając powszechne zainteresowanie. Miał na sobie kowbojskie buty, kowbojski kapelusz, obcisłe dżinsy, świeżo wyprasowaną koszulę w kratę oraz tę swoją fantastyczną, niepowtarzalną skórzaną kurtkę.

- Cześć! - zawołał wesoło na widok Danni. - Oj, przepraszam, już zwalniam miejsce - powiedział do uśmiechającej się zalotnie pielęgniarce, która usiłowała się obok niego precyzyjnie.

- Matt? Co tu robisz? - zdziwiła się Danni.

Uniosła rękę, żeby ściągnąć z głowy plastikowy czepek, po czym zmieniła zdanie, uznając, że pewnie włosy ma przyplaszczone.

- Zajrzałem do twojego gabinetu, ale powiedziano mi, że odbierasz poród. Bardzo ci przeszkadzam?

- Nie, dziecko się już urodziło.

Rozejrzała się dookoła. Wszyscy sprawiali wrażenie szalenie zaaferowanych, pochłoniętych pracą: pielęgniarce, sanitariuszki, laborantki. Zazwyczaj nie sposób było ich uciszyć, a teraz panowała cisza jak makiem zasiał.

- Moglibyśmy chwilę pogadać?

- Tak. Chodźmy do bufetu. Carol - zwróciła się do przyjaciółki - gdybym była potrzebna, daj znać na pager.

Carol posłała szefowej uśmiech tak promienny, tak wiele mówiący, że Danni miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu.

Czy człowiek nie może tu mieć odrobiny spokoju i prywatności? - pomyślała. Najwyraźniej nie. Kiedy w drodze do windy obejrzała się za siebie, zobaczyła, że wszystkie pracownice szpitala wpatrują się w Matta jak wielbicielki w ukochanego idola muzycznego.

W bufecie Danni kupiła kawę dla Matta i niskokaloryczny napój czekoladowy dla siebie, po czym wyszli na dziedziniec, z dala od zaciekawionych spojrzeń, i usiedli na kamiennej ławce pod dużym rozłożystym dębem, który trochę osłaniał ich przed listopadowym wiatrem.

- Przykro mi, że przeszkadzam ci w pracy - powiedział, wskazując kubkiem na jej plastikowy czepek - ale dziś zaczynam trzydniowy dyżur i nie chciałem odkładać przeprosin na później.

- Przeprosin? - Danni owineła się mocniej fartuchem i pociągnęła łyk gorącej czekolady.

- Trochę tu zimno, prawda? - Przysunął się bliżej, tak by osłonić ją własnym ciałem. - Lepiej?

Skinęła głową. Jasne, że lepiej! Nie potrafiła jednak zrozumieć, jak można czuć podniecenie od samego patrzenia na kogoś, siedzenia koło tej osoby i wdychania zapachu jej wody kolońskiej.

- Tak, przeprosin - kontynuował Matt. - Za moje zachowanie w sobotę nad rzeką. Myślałem o tym cały następny dzień i...

- Nie gniewaj się, że nie zadzwoniłam - przerwała mu Danni. - Wiem, że próbowałeś się ze mną skontaktować, ale potem miałam urwanie głowy. Trzy porody, w tym jeden z komplikacjami. - Pociągnęła kolejny łyk czekolady.

- Rozumiem. Zdaję sobie sprawę, że w szpitalu nie zawsze masz czas podejść do telefonu. Dlatego tu dziś przyszedłem. - Wziął głęboki oddech. - Chcę być z tobą szczerzy, Danni. Bardzo mi się podobasz, ale... hm, widzisz, tkwią we mnie dawne zadry. Obiecałem sobie, że nigdy więcej nie zwiążę się z kobietą, która nie potrafi mnie zaakceptować takim, jakim jestem. Która będzie usiłowała...

- Danni! Tu jesteś! - Roger Bryant wyszedł zza drzewa i stanął naprzeciw ławki, szeroko rozkładając ramiona. Poły fartucha trzepotały mu na wietrze. - Wszędzie cię szukałem!

- Ojej! - Danni zerwała się na nogi, sięgając po pager.

- Nic nie słyszałam! Chodzi o panią Reese, tak? Co się stało?

Bryant wykonał ręką uspokajający gest.

- Nie denerwuj się, wszystko w porządku... Dzień dobry - zwrócił się do Matta, który też podniósł się z ławki.

- Roger Bryant - przedstawił się, po czym wyciągnął dłoń.

Matt uściskał ją.

- Matthew Creed - powiedział. - Myśmy się już poznali. W domu Danni.

- Ach tak, rzeczywiście. Pan jest tym majstrem od podłóg - rzekł Roger, po czym przeniósł wzrok na Danni. - Stone cię szukał... Wiesz co? Zgodził się tak ustalić grafik, żebyśmy oboje mogli lecieć na Karaiby. Co ty na to? Tydzień w raju!

Przez ułamek sekundy Matt czuł się tak, jakby otrzymał potężny cios, potem jednak opanował się, uśmiechnął i cofnął o krok.

- To ja już pójdę. Zająłem ci wystarczająco dużo czasu... - Dotknąwszy runda kapelusza, ruszył do wyjścia.

- Matt, poczekaj!

Chciała za nim pobiec, ale Roger chwycił ją za łokieć.

- Musimy zarezerwować miejsca na samolot, zanim stary zmieni zdanie.

Wyszarpnęła rękę.

- Matt! - zawołała, kiedy doszedł do drzwi prowadzących z dziedzińca do budynku. - Zadzwoń do mnie!

Odwrócił się.

- Trudno cię złapać - powiedział. - W razie czego znasz mój numer... - dodał i po chwili znikł jej z pola widzenia.

- A nie mówiłam, że tak będzie? Nie mówiłam? - zawołała triumfalnie Carol, kiedy zastała przyjaciółkę samą w gabinecie.

- Że co będzie? - spytała z roztargnieniem Danni, ponieważ myślała o czymś zupełnie innym, mianowicie o leżących na biurku wynikach przysłanych z laboratorium.

- Że faceci będą się za tobą uganiać! I widzisz? Strażak przychodzi do ciebie do szpitala! Tak trzymać, kochana! Twoja strategia sprawdza się w stu procentach. Tak trzymać!

- Na miłość boską, Carol! - Danni odsunęła na bok papiery i wbiła wzrok w pielęgniarkę. - Patrzysz na świat przez różowe okulary i to ci trochę mąci obraz rzeczywistości. Strażak wcale się za mną nie ugania. Przeciwnie, wciąż nalega, żebym to ja do niego dzwoniła.

- Serio? - spytała Carol, nie kryjąc rozczarowania. Danni wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem. To było bardzo dziwne.

- Co było dziwne?

- Ten incydent na zewnątrz, kiedy Bryant...

- Bryant? Myślałam, że mówimy o strażaku!

- Wyszliśmy z Mattem na dziedziniec, siedzieliśmy na ławce, kiedy nagle

Bryant wyrósł jak spod ziemi i...

- Bryant? A po co...?

- Przyszedł mi powiedzieć, że ustalił wszystko ze Stone'em i wybiera się ze mną na zjazd położników na Saint Martin.

- Leci z tobą na Saint Martin?

- Tak - odparła Danni.

- Powiedział to w obecności strażaka?

- Tak.

- Psiakrew! - zakląła Carol.

- O co ci chodzi?

- Jak strażak zareagował na wiadomość, że spędzisz z Rogerem tydzień na Karaibach?

- Hm. - Danni zmarszczyła czoło. - Przez chwilę miał taką... taką dziwną minę, a potem szybko się pożegnał i odszedł.

- To źle. Kiedy dochodzi do konfrontacji i mężczyźni zaczynają walczyć o kobietę, zwykle jeden z nich ustępuje, zanim drugiemu stanie się krzywda. Niestety, zwykle ustępuje ten szlachetniejszy.



- Och, Carol! Co ty wygadujesz! Jaka konfrontacja? Jaka walka? Roger Bryant nie widzi we mnie kobiety, tylko koleżankę po fachu i współpracownika.

- Moja droga, jesteś ślepa, a w dodatku naiwna! Jak myślisz, dlaczego Rogerowi tak bardzo zależy na wyjeździe? Bo chce się doszkolić? Akurat! Sama mówiłaś, że skomentował twój nowy wygląd. Że chciał cię zaprosić na lunch...

Danni wzniosła oczy do nieba.

- Ale to o niczym nie świadczy!

- Uważaj, kochana. - Carol pogroziła jej palcem. - Dobrze ci radzę, miej się na baczności. Zanim zaczęłaś tu pracować, Bryant romansował z jedną z pielęgniarek. Dziewczyna była zakochana w nim po uszy, a on... no cóż, złamał jej serce. Teraz najwyraźniej ma zakusy na ciebie. Próbując cię uwieść, siłą rzeczy będzie zniechęcał twoich innych potencjalnych adoratorów.

- Adoratorów? Matt nie jest żadnym moim adoratorem! Przecież ledwo się znamy. Zresztą wcale nie jestem pewna, czy chciałabym się z nim wiązać. Był żonaty, ma za sobą nieprzyjemny rozwód...

- A słyszałaś kiedyś o przyjemnym rozwodzie? Przynajmniej facet uczciwie rozstał się z żoną, bo Bryant jest ze swoją w separacji. Po raz setny, jeśli nie tysięczny.

- Wiem. Wspomniał mi o tym. Ale z tego, co ludzie mówią, należy sądzić, że wina leży po jej stronie.

- Wina nigdy nie leży po jednej stronie - oznajmiła stanowczo Carol.

- Tak sądzisz? Moja mama twierdzi, że do stworzenia szczęśliwego małżeństwa potrzebny jest wysiłek dwóch osób, ale do zburzenia wszystkiego wystarczy działanie jednej. A w ogóle co ma wspólnego zjazd naukowy na Saint Martin ze stanem cywilnym Bryanta? - Danni uśmiechnęła się do przyjaciółki i przysunęła z powrotem leżące na biurku wyniki badań. - Słuchaj, nie mam czasu dłużej rozmawiać. Muszę skontaktować się z kilkoma pacjentkami. Ale nie przejmuj się. Roger Bryant naprawdę traktuje mnie jak koleżankę...

- Roger Bryant coś knuje. Wierz mi. - Carol ruszyła do wyjścia, po czym nagle stanęła w drzwiach i odwróciła się. - A ty, moja panno, zachowuj się na tych Karaibach.

Coś - diabeł, próżność lub masochizm - podkusiło Danni, by dzień przed wylotem na Saint Martin wybrać się do tego samego salonu kosmetyczno-fryzjerskiego, do którego kilka tygodni temu zaprowadziła ją Jackie. Zamówiła nie tylko manikiur i pedikiur, ale również depilację nóg oraz pach i peeling całego ciała. Nie zamierzała szczegółowo analizować powodów, które skłoniły ją do wizyty w salonie; po prostu chciała ładnie wyglądać na Karaibach, a osoba Rogera nie miała tu nic do rzeczy.

Tym razem wybrała fryzjerkę trochę bardziej konserwatywną, o imieniu Patty, która rzuciła okiem na głowę klientki i natychmiast przystąpiła do pracy. Lekko skróciła fryzurę, zrobiła jaśniejsze pasemka, następnie zgarnęła jej włosy znad czoła oraz ze skroni i upięła w zabawny koczek; kosmykom z tyłu pozwoliła opadać swobodnie na kark i ramiona.

Danni spojrzała zachwycona do lustra; wyglądała poważnie, a zarazem niezwykle świeżo i kobieco.

- Cudownie! - zawołała. - O to mi chodziło! Żeby było dystygowanie, a jednocześnie...

- Zmysłowo? Ponętnie?

- No właśnie.

Po prostu seksownie, dodała w myślach.

Od razu po przylocie na wyspę udała się na plażę, wspaniałą, złocistą plażę, i po raz pierwszy w życiu nie czuła się skrępowana, mając na sobie kostium kąpielowy.

Następnego dnia, po części oficjalnej, przebrała się i pobiegła na plażę. Wysmarowała się porządnie kremem z filtrem przeciwsłonecznym, włożyła wielki słomkowy kapelusz i ciemne okulary chroniące oczy przed słońcem, po czym wyciągnęła się na ręczniku i otworzyła grube romansidło, które trzymała specjalnie na taką okazję.

Och, co za rozkosz! Żadnej poczekalni wypełnionej po brzegi ciężarnymi kobietami. Żadnego doktora Stone'a, który wciąż ma pretensje do całego świata. Żadnego zgietku i zamieszania podczas najbliższej pełni księżyca. Zamierzała wysłuchać paru referatów, a poza tym leżeć w słońcu, odpoczywając od trudów dnia codziennego.

Poprawiła styropianową podpórkę pod głową i ułożyła się wygodniej. Pomimo ręcznika czuła pod plecami rozgrzany piasek. Miała wrażenie, że upłynęło najwyżej kilka sekund, kiedy nagle, tuż nad nią, rozległ się znajomy męski głos:

- Czy piękna pani chce obejrzeć moją bliznę?

Opuściła książkę, uniosła rondo kapelusza i aż przycisnęła rękę do klatki piersiowej niczym bohaterka wiktoriańskiego melodramatu.

- Matt? - wyjąkała, mrużąc powieki. - Co ty tu robisz?

Miał na sobie luźne kolorowe spodenki kąpielowe, a na nosie okulary słoneczne, tak zwane lustrzanki, uwielbiane przez strażaków i policjantów. Próbując spojrzeć mu w oczy, widziała własne odbicie.

Kucnął na piasku i zdjął okulary. Mimo że promienie słońca padały jej prosto w twarz, spostrzegła, że Matt czuje się lekko speszony, minę miał niepewną, uśmiech zakłopotany.

- Cześć - powiedział. - Właśnie przyjechałem tu na... Nagle spoważniał, westchnął głęboko, po czym wbił wzrok w gładkie, ciągnące się w nieskończoność morze.

- Bez sensu - mruknął. - Jeśli ucieszę się z przypadkowego spotkania na drugim krańcu świata, to przecież i tak mi nie uwierzysz. - Wzruszając ramionami, przeniósł spojrzenie na jej twarz. - Prawdę mówiąc, sam nie wiem, co tu robię... - przyznał cicho.

Danni odłożyła książkę na bok.

- Chcesz powiedzieć, że przyleciałeś taki kawał drogi z mojego powodu? - spytała zdumiona.

Skinął głową.

- Naprawdę? Dlatego, że ja tu jestem? - Wprost nie mogła w to uwierzyć.

Matt ponownie skinął głową.

- Ale... ale skąd wiedziałeś, kiedy przylatuję?

Mimo że słońce świeciło jej prosto w oczy, widziała, że twarz Matta przybiera odcień czerwieni.

- Od Jackie. Tylko proszę, nie gniewaj się na nią. Wspomniała, że na pewno będziesz miała trochę wolnego czasu. I chyba się nie myliła, co? Z początku myślałem, że ty i ten Bryant... że, no wiesz, ale Jackie wyprowadziła mnie z błędu.

- Ależ z niej papla!

- Tak jakoś wyszło. Tom zaprosił ją na hamburgera, a ona napomknęła o twoim wyjeździe, że będzie miała cały tydzień wolny, bo lecisz na Karaiby. Tamtego dnia w szpitalu zbyt pochopnie wyciągnąłem wnioski. Ale Jackie wyjaśniła mi, że nic cię nie łączy z Bryantem, więc...

- Od kiedy to jesteś tak zaprzyjaźniony z moją gospodynią?

- Odkąd umówiłem ją z moim kumplem, Tomem.

- A niech to...!

Ogarnęła ją wściekłość - na nich wszystkich. Wyobraziła sobie, co się stało: zapewne Carol poszła do Jackie i opowiedziała jej o incydencie z Bryantem, jak to przyszedł na dziedziniec i oznajmił, że Stone wyraził zgodę na ich - jego i Danni - wspólny wyjazd, a potem obie poleciały do Matta, żeby wyjaśnić mu całe nieporozumienie i namówić go, by też się wybrał na Saint Martin. Może powinna się cieszyć, że przyjaciółki tak się o nią troszczą i że Mattowi najwyraźniej na niej zależy, ale przede wszystkim czuła się zażenowana.

- Nie gniewaj się na Jackie. - Pochylił się nad jej rącznikiem. - To był mój pomysł, żeby tu przylecieć. Pomyślałem sobie, że możemy miło spędzić razem kilka dni, korzystając z wody i pięknej pogody.

- Przyjechałam na zjazd lekarzy! - Przyjrzała mu się uważnie. - Czy ty tego nie rozumiesz? Mam zamiar uczyć na wykłady...

Powiódł wzrokiem po jej ciele odzianym w skąpy kostium kąpielowy.

- Ale chyba będziesz miała trochę wolnego czasu, co? Choćby wieczorem?

Wczoraj, na przykład, widziałem cię w barze z Bryantem.

Zaczerwieniła się. Owszem, przyjęła wczoraj zaproszenie Rogera na drinka, ale Roger był jej kolegą po fachu; pracowali w jednym szpitalu. Zresztą nie o to chodzi. Chodzi o Matta - o to, że podążył jej śladem na drugi koniec świata.

Oparła się na łokciu.

- Śledziłeś mnie?

- Mówisz to takim tonem, jakbym był zboczeńcem - oburzył się. - Po prostu czekałem na okazję, żeby pomówić z tobą sam na sam. Bez doktora Bryanta.

- Przyleciałeś za mną na Karaiby i szpiegujesz mnie, kiedy rozmawiam w barze ze znajomym? Niemal mam ochotę zgłosić to na policję!

- Co byś powiedziała? Przecież każdy ma prawo spędzać tu urlop. A że wyspa jest nieduża, nic dziwnego, że ludzie na siebie wpadają... Swoją drogą, czy on nie jest żonaty? - spytał zniecierpliwiona.

- Kto? - Policzki zaczerwieniły się jej jeszcze bardziej.

- Bryant. Jackie wspomniała, że ma żonę. Słuchaj, to naprawdę nieodpowiedni dla ciebie facet. Może jest wybitnym lekarzem, ale na pewno nie jest porządnym, odpowiedzialnym człowiekiem. Najpierw powinien uzyskać rozwód, a dopiero potem zacząć się do ciebie przystawiać. - Ukląkł na piasku i lekko się zachwiał, po czym przyłożywszy rękę do piersi, perorował dalej: - Zaslugujesz na kogoś lepszego. Dobrego, uczciwego. Na kogoś takiego jak ja.

Danni usiadła i zaczęła wrzucać do torby krem do opalania, książkę, okulary.

- Poczekaj, proszę cię... - Wyciągnął rękę, usiłując ją powstrzymać. - Ja tylko... to tylko żarty... Psiakość, wszystko sknociłem. Przyjechałem, żeby być z tobą, a jedynie cię rozzłościłem.

Danni rozejrzała się dookoła. Opalający się w pobliżu turyści przyglądali im się z zaciekawieniem.

- Słuchaj - ciągnął Matt, nie zwracając na nich uwagi. - Mnie to zaczyna męczyć. Ta gra pozorów, to udawanie... Dłużej nie wytrzymam! Szaleję za tobą!

Mówił tak głośno, że siedzący obok ludzie nawet nie musieli wyęźać słuchu. Gdzie się podział spokojny, opanowany strażak, którego wcześniej znałam? - pomyślała Danni. Ten miły człowiek o niskim, cichym głosie?

- Wykorzystałem cały swój urlop i wszystkie swoje oszczędności, żeby przylecieć na Saint Martin i spędzić z tobą tydzień! Rozumiesz? Tylko na tym mi zależy! Żebyśmy byli razem!

Oparł dłonie na piasku i zbliżył twarz do jej twarzy. Dzieliło ich dosłownie kilka centymetrów.

I nagle poczuła od niego zapach piwa. Aha! Jest wstawiony! Poderwała się na nogi i chwyciła ręcznik, niechcący strząsając piasek na Matta.

- Nie przyjechałam tu dla przyjemności, tylko w celach naukowych. Nie mam czasu na rozrywki, więc trzymaj się ode mnie z daleka... - Ruszyła przed siebie, po czym zwolniła kroku i rzuciła przez ramię: - Życzę ci udanego wypoczynku.

Patrzył za jej oddalającą się sylwetką. Maszerowała plażą tak szybko, jak pozwalały jej na to grzęznące w piasku klapki.

Ledwo zdążyła wziąć prysznic, kiedy dostarczono jej do pokoju dwa bukiety kwiatów - jeden od Rogera, drugi od Matthew.

Na dołączonej do bukietu kartce Roger napisał: „Dla mojej pięknej współpracownicy. Czy zjesz ze mną kolację?”

Matt zaś: „Przepraszam, zachowałem się jak wariat. Pozwól sobie to wynagrodzić dziś wieczorem”.

Danni usiadła na łóżku; w prawej ręce trzymała karteczkę od Rogera, w lewej od Matta, i nie mogła się nadziwić, jak bardzo zmieniło się jej życie. To jest naprawdę niesamowite. Trzy miesiące temu żaden mężczyzna nawet nie raczył na nią spojrzeć, a teraz dwóch, w dodatku bardzo przystojnych, przysyła jej kwiaty.

Dostać dwa bukiety jednego dnia, i to na Karaibach. Naprawdę nie do wiary!

Kłopot w tym, że przy Rogerze czuła się spięta i skrepowana, a na Matta była wściekła.

Nie wiedziała, co z tym fantem zrobić. Z jednej strony uważała, że Matt zachował się trochę niepoważnie i wykazał brak taktu, ciągnąc za język Jackie. A z drugiej strony przypomniła sobie to, co powiedział, nieważne, czy był trzeźwy, czy troszkę wstawiony: Szaleję za tobą! Takich słów Danni nie słyszała z ust żadnego mężczyzny.

Długo wahała się, nie wiedząc, jak postąpić, ale w końcu uznała, że zje kolację sama, a potem przejdzie się - też sama - po plaży i zastanowi nad swoim życiem. Powinna podjąć jakieś decyzje, a przynajmniej z grubsza mieć pojęcie, na czym tak naprawdę jej zależy.

I wtem zobaczyła mrugające światełko w telefonie komórkowym, które oznaczało, że ktoś do niej dzwonił. Zadzwoiła na pocztę głosową i odsłuchiwała dwie wiadomości.

Pierwsza, od Bryanta, brzmiała: „Odkryłem cudowny lokal. Bądź gotowa o siódmej”.

Cóż, jasno sformułowane polecenie. Bądź gotowa o siódmej. Nie ma się nad czym zastanawiać. Pan doktor każe, pacjent musi. Może niektórym kobietom odpowiadałby taki układ, lecz ona do nich nie należy.

Drugą wiadomość nagrał Matt; głos miał zupełnie trzeźwy: „Danni... Jeśli się zgodzisz, chciałbym ci pokazać coś bardzo pięknego. Wcześniej zdążylibyśmy zjeść kolację. Co ty na to? Mieszkam w pokoju 334. Zadzwoń. Proszę cię”.

Zadzwoń. Ciągłe to powtarzał. Nawet po tym, kiedy zrobił na plaży widowisko, ośmieszając zarówno siebie, jak i ją.

Postanowiła trzymać się swoich wcześniejszych planów, czyli w samotności zjeść kolację i wybrać się na spacer. Włożyła bawełnianą sukienkę w żółte kwiatki, na nogi wsunęła sandały, zczesła włosy w luźny kok, tak jak jej to zademonstrowała przed wyjazdem fryzjerka, a z tyłu zostawiła opadające na ramiona kosmyki. Oczu nie pomalowała, tylko usta pociągnęła jasną szminką, po czym skropiwszy się perfumami, chwyciła torebkę i zadowolona z siebie wyszła z pokoju kilka minut przed godziną siódmą.

Na końcu holu rozległ się dźwięk oznajmujący przyjazd windy; kiedy drzwi się rozsunęły, oczom Danni ukazał się Matt - w strażackiej koszulce, w luźnych pomarańczowych spodenkach kąpielowych, w klapkach na nogach, w słomkowym kapeluszu i w okularach, w których odbijał się cały świat. Jakby tego było mało, na szyi wisiało mu kilka girland kwiatów, a w każdej ręce trzymał szklanekę z żółtym płynem, przystrojoną barwną papierową parasolką.

- Kogo to ja widzę! - zawołał, wysiadając z windy i mierząc Danni wzrokiem od stóp do głów. - Wyglądasz bajecznie!

- Czy to coś bardzo pięknego, co chciałeś mi pokazać, to, na co teraz patrzę? - spytała kąśliwie, spoglądając na jego kiczowaty strój.

Matt odrzucił w tył głowę i wybuchnął śmiechem.

- Mam nadzieję, że to oznacza, że już się na mnie nie gniewasz?

- To zależy - odparła, nie mogąc jednak powstrzymać uśmiechu.

Podał jej jedną z dwóch szklanek.

- Na zgodę - powiedział. - Ale pij powoli. Te darmowe drinki, które tu podają, mogą zwalić człowieka z nóg. Wiem, co mówię. Dziś po południu na własnej skórze doświadczyłem ich działania. - Minę miał skruszoną. - To co, dasz mi się porwać?

- Czym ryzykuję?

- Niczym. Przysięgam. - Wcisnął przycisk windy. - Pod warunkiem, że potrafisz pływać szybciej od rekina. - Puścił do niej oko. - I że nie będziesz się zbliżać do ognia. - Nagle na widok jej sandałów zafrasował się. - Och, te buty... Nie przejdiesz w nich po rozgrzanych węglach... Hm. Nie szkodzi. - Rozpogodził się. - Przeniosę cię... A na razie do taksówki! Czeka na dole.

Pociągnęła ze szklanki łyk żółtego płynu. Był tak mocny, że aż zakręciło się jej w nosie.

- Dokąd mnie zabierasz, tubylcze?

- Jak to dokąd? Na jedną ze złocistych plaż, z których słynie Saint Martin.

Wybrał pustą, odludną plażę na północno-zachodnim skrawku wyspy. Piasek był tam troszkę grubszy i bardziej szorstki, roślinność nieco bujniejsza, odległości między hotelami większe. Do bagażnika taksówki Matt zapakował mnóstwo jedzenia, ogromny ręcznik plażowy oraz karafkę z tym samym żółtym koktajlem, który pili przed windą, a potem w taksówce.

- Tylko spójrz na zachód słońca - powiedział, biorąc Danni za rękę.

Drugą ręką zatoczył łuk obejmujący całe morze, po czym ponownie wbił wzrok w jej twarz. Patrzył na jej profil, a ona kątem oka widziała promienny uśmiech, którego nawet nie usiłował ukryć.

- Skłamałem - dodał cicho. - Poza mną nie ma tu żadnych rekinów.

Zdjął girlandę i zawiesił ją Danni na szyi, delikatnie muskając palcami jej obojczyk.

Może była to zasługa kolorowego koktajlu, który piła łyżek po łyżku w taksówce, może zapierającego dech w piersi, pomarańczowego nieba, a może po prostu tego przystojnego mężczyzny u jej boku, w każdym razie ogarnęło ją dziwne



uczucie; miała wrażenie, jakby ona i Matt byli jedynymi ludźmi na planecie, jakby poza nimi dwojgiem nic więcej się nie liczyło. Słońce, które powoli zbliżało się do linii wody, sprawiło, że świat pogrążył się w tajemniczym złocistym świetle.

Wszystko dookoła wyglądało nierealnie.

Nie patrzyli jednak na opadające na horyzoncie słońce, patrzyli na siebie. Danni była pewna, że za chwilę Matt zbliży usta i...

- Pójdę zapłacić taksówkarzowi - powiedział, nie odrywając oczu od jej warg.
- Dobrze - szepnęła.

Spoglądając na czerwoną kulę słońca, usłyszała, jak Matt uzgadnia z kierowcą, aby wrócił po nich za dwie godziny, a potem słyszała wylewne podziękowania - przypuszczalnie za hojny napiwek.

Matt rozłożył na ziemi ręcznik, rozstawił kolację; siedzieli, jedząc i rozmawiając, śmiejąc się i pijąc, aż opróżnili karafkę do samego dna. Czas płynął wolno, leniwie, jakby w harmonii z łagodnie zanurzającym się w morzu słońcem.

Kiedy słońce już całkiem się skryło, na niebo wytoczył się księżyc, wielki, okrągły, srebrzysty. Zamilkli, jakby urzekło ich jego piękno i hipnotyczna siła. Panującą wokół ciszę przerywał jedynie miarowy chłopot fal bijących o brzeg.

Siedzieli, każde pogrążone we własnych myślach. W pewnej chwili Matt odwrócił się do Danni, niechętnie ocierając się kolanem o jej gładkie udo.

- W blasku księżycy... jakoś intensywniej się wszystko odczuwa - powiedział cicho.

Przysunął się, a ona poczuła, jak robi się jej gorąco. Zmieniła pozycję; zgięła nogi w kolanach, podciągnęła je do brody, potem zakryła sukienką i oplotła wokół nich rękę.

- Właściwie to ja mam ambiwalentny stosunek do księżycy - wyznała.
- Tak? - Przysunął się jeszcze bliżej, tak blisko, że czuła jego ciepły oddech na swoim gołym ramieniu.
- Tak. Niektórzy twierdzą, że pełnia pobudza ciężarne do porodu. I chyba jest w tym sporo prawdy. - Odważyła się spojrzeć Mattowi w oczy. - Więc sam rozumiesz, widok srebrzystej tarczy przyprawia mnie o dreszcze.

Opuszkami palców pogładził Danni po policzku.

- O dreszcze? Hm. Różne są dreszcze. Dreszcz niepokoju, podniecenia, rozkoszy... Powiedz, czy patrząc na tę świetlistą kulę na czarnym niebie, nigdy nie masz ochoty kogoś pocałować... albo żeby ktoś cię pocałował?

Czekając na odpowiedź, przesunął palce w dół, ku jej szyi. Ale Danni nie potrafiła wydobyć z siebie słowa; ledwo była w stanie oddychać.

Pochylił się lekko, ujął ją pod brodę, przez moment patrzył jej głęboko w oczy, po czym przywarł ustami do jej warg.

I nagle wydarzyło się coś niezwykłego, zupełnie jakby przez plażę przetoczyła się gwałtowna burza. Tak jak i poprzednim razem, świat zawirował Danni przed oczami. To było coś więcej niż chemia, coś więcej niż pociąg fizyczny czy hormony. To była magia potężna siła, z jaką dotychczas się jeszcze nie zetknęła, siła wszechmocna, elektryzująca, budząca strach.

Matt jednak wiedział, co się dzieje. Z chwilą, gdy ich wargi się spotkały, nie miał już żadnych wątpliwości: oto moja połowa, oto kobieta, na którą czekałem całe życie. Całował ją coraz bardziej namiętnie, jakby bał się, że coś może ich rozdzielić.

Opuściwszy kolana, Danni zarzuciła mu ramiona na szyję, a on przytulił ją mocno, niemal miażdżąc w uścisku. Miała wrażenie, że coś ich ku sobie popycha, coś znacznie głębszego i silniejszego od pożądania. Nie przerywając pocałunku, położył Danni na ręczniku. Tyle rzeczy pragnął wspólnie z nią robić.

W jego twardych, umięśnionych ramionach wydawała się krucha niczym baletnica. Ale nie była krucha - była po prostu w sam raz: szczupła, wiotka, a jednocześnie ponętnie zaokrąglona. Położył się na niej, przylegając mocno swoim ciałem do jej ciała, i zdumiał się, że tak idealnie do siebie pasują. Zaczęła się poruszać; była w niej miękkość i uległość, a zarazem nieokiełznanie i siła.

- Danni - szepnął, błędząc rękami po jej ciele. - Jeszcze z żadną kobietą się tak nie czułem.

Zamknęła oczy. Zdawało się jej, że ogląda siebie i Matta z góry; jakby była zawieszonym na niebie księżycem, który przypatruje się złączonej w uścisku parze na piasku. Widziała dwie ciemne głowy, mężczyznę spalonego słońcem, kobietę o sporo jaśniejszej karnacji. Romantyczni kochankowie na pustej, oświetlonej srebrzystym

blaskiem księżycy plaży. Wymarzona sceneria, idealne warunki, czego można więcej chcieć? A jednak...

Nagle przekręciła głowę, przerywając gorący pocałunek.

- Nie chcę! Nie mogę! - zawołała, odpychając od siebie rękę Matta.

- Dlaczego? - spytał zdziwiony.

Odwróciła wzrok. Dziesiątki myśli kłębiły się jej w głowie. No pięknie, Danni, zganiała się w duchu. Masz wspaniałe wycucie czasu. Czekasz, aż będziecie się pieścić i całować na pustej plaży, zalani blaskiem księżycy. I wtedy, gdy jest ci dobrze i błogo, nagle wszystko przerywasz i postanawiasz wyłożyć kochankowi swoje zasady moralno-etyczne.

- Bo... bo dawno temu przyrzekłam sobie, że... nie będę się kochać z żadnym mężczyzną, dopóki... dopóki go nie poślubię.

Matt zsunął się na ręcznik i usiadł po turecku, ze skrzyżowanymi nogami, z łokciami wspartymi na kolanach. Przeczesał ręką włosy. W świetle księżycy Danni wyraźnie widziała jego kolorowe spodenki kąpielowe oraz ukrytą pod nimi nabrzmiałość. Na ten widok ogarnął ją strach i wyrzuty sumienia. Cóż ona najlepszego zrobiła?

- Przepraszam, nie gniewaj się... - Położyła rękę na jego ramieniu.

- Chyba żartujesz! - Wpatrywał się w załamujące się fale. - Wcale się nie gniewam. Ale widzisz, jest pewien problem, jeśli chodzi o małżeństwo... - Na moment urwał. - Otóż po rozstaniu z Carlą ja też sobie coś obiecałem. Że więcej się nie ożenię.

- Kim jest Carla?

- Moja była żona. - Przyjrzał się Danni uważnie. - Wydaje mi się, że naprawdę nigdy jej nie kochałem. - Nie odrywał od niej oczu. - Chyba przedtem nie wiedziałem, co to jest prawdziwa miłość.

Danni spuściła wzrok.

- A teraz już wiesz? - spytała cicho.

- Tak, teraz już wiem - odparł bez wahania.

Przyłożyła drżącą rękę do ust. Czowała się zagubiona i bezradna. Z całego serca pragnęła ulec Mattowi, całować go, wypowiedzieć te magiczne słowa: Kocham cię.

Ale czy rzeczywiście go kochała? Tak małe miała doświadczenie, tak niewiele w sumie wiedziała o mężczyznach i miłości.

Wyrzucił ramiona w bok i wzdychając teatralnie, opuściła je z powrotem na ręcznik.

- No cóż, nie powinno się czynić kretyńskich obietnic. Chodźmy. - Wstał i podciągnął Danni do góry.

- Dokąd?

- Z powrotem do miasteczka. - Chwycił ręcznik, wytrzepał go, po czym zwinął w kulę. - Nie, poczekaj... - Pochylił głowę i w blasku księżycowych promieni sprawdził na zegarku godzinę. - Taksówkarz przyjedzie najwcześniej za pół godziny... Doskonale... - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Mamy czas na krótki narzeczeński flircik. - Ujmując ręcznik za dwa rogi, potrząsnął nim i cofnął ręce, pozwalając, by opadł na ziemię niczym spadochron.

- Narzeczeński flircik? Nie rozumiem...

- Zazwyczaj ślub poprzedza okres narzeczeństwa. Kucnąwszy na jednym kolanie, wyciągnął do niej rękę.

Danni zignorowała ją.

- Ślub? - zdziwiła się.

- Tak. - Zachwiał się lekko i przysiadł na piętach. - Jeżeli zależy ci na ślubie, nie widzę przeszkód. Chcesz wyjść za mąż, prawda?

- Nie mam zielonego pojęcia, co chcę, a czego nie chcę. - Potrząsnęła głową, usiłując uporządkować myśli, wyzwolić się spod działania zdradliwego złotego koktajlu.

Matt zacisnął dłonie na jej talii i pociągnął ją na ręcznik, a potem tuląc ją mocno do piersi, przywarł ustami do jej ust.

- Jedno ci powiem, moja miła - rzekł, przerywając wreszcie pocałunek. - Może ty nie wiesz, czego chcesz, ale twoje ciało nie ma żadnych wątpliwości.

## Rozdział 13

Krótki narzeczeński flircik polegał na czułościach i pocałunkach przeplatanych wyznaniem: „Kocham cię. Teraz, kiedy mamy zamiar się pobrać, mogę ci to powtarzać do znudzenia, prawda?” oraz „Ile chcesz mieć dzieci? Sześcioro czy ośmioro?”

Danni, zamroczona koktajlem, oszołomiona nadmiarem wrażeń, uznała, że jest to świetna zabawa, szalona karaibska przygoda, której nie trzeba traktować serio, dopóki nie usłyszała, jak Matt pyta taksówkarza, czy jest tu na wyspie ktoś, kto mógłby im szybko udzielić ślubu. Przebiegł ją wtedy po krzyżu dreszczyk podniecenia, strachu, radości.

- Aha, szukają państwo Pana Szybki Ślub! - zawołał wesoło taksówkarz. - Zaraz go zbudzimy. On ciągle udziela ślubów zakochanym. Cały czas.

Taksówka zatrzymała się na pełnej dziur, zakurzonej drodze przy rozpadającej się, glinianej chacie. W rosnący przed drzwiami krzak hibiskusa stała wetknięta tablica z nabazgranym węglem napisem informującym, że tu udziela się ślubów.

- A obrączki? Nie mamy obrączek! - zaniepokoił się Matt, wysiadając chwiejnie z taksówki.

- On na pewno ma. Pan Szybki Ślub zawsze ma wszystko, co trzeba - pocieszył go taksówkarz. Uśmiechając się szeroko, wskazał parze cudzoziemców drzwi chaty.

Kiedy Matt podał mu kilka monet i poprosił, by na nich zaczekał, Danni domyśliła się, że ceremonia nie będzie zbyt długa ani wyrafinowana.

Taksówkarz wiedział, co mówi; Pan Szybki Ślub miał całą kolekcję pierścionków i obrączek - do wyboru, do koloru. Nie była to biżuteria od Tiffany'ego, ale Danni, której obraz przed oczami się ciągle rozjeżdżał, wszystkie te świecidełka wydawały się rozkoszne. Szalenie się jej też podobały plastikowe kwiaty i płynąca z magnetofonu cikliwa muzyka.

Matt wybrał pierścionek z oczkiem w kształcie serca.

Zaczęła się ceremonia ślubna. Mimo że Pan Szybki Ślub mówił szybko, monotonie, a minę miał znudzoną, w pokoju panował nastrój powagi.

W pewnym momencie Danni przemknęło przez myśl, że człowiek nie powinien składać żadnych obietnic ani cokolwiek przysięgać, kiedy znajduje się pod wpływem alkoholu. Nie miała jednak czasu się nad tym zastanowić, bo już po chwili usłyszała Matta, który głosem zupełnie trzeźwym wygłosił tradycyjną formułkę:

- Ja, Matt - zaczął, patrząc jej głęboko w oczy - biorę sobie ciebie, Danni, za żonę. Ślubuję ci wierność i uczciwość małżeńską, a także to, że będę cię kochał w biedzie i dostatku, w zdrowiu i w chorobie, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Kiedy wsuwał jej na palec pierścioneł, zauważyła, że ręce mu drżą.

Po skończonej uroczystości, kiedy wsiedli z powrotem do czekającej na zewnątrz taksówki, Matt poprosił kierowcę, aby zatrzymał się po drodze przed jakimś sklepem, w którym mogliby kupić jeszcze jedną butelkę z żółtym koktajlem, a potem tak gorliwie i ochoczo zajmował się swoją nowo poślubioną żoną, że Danni nawet nie zorientowała się, dokąd jadą, dopóki - po wyjściu z taksówki - nie poczuła pod nogami sypkiego piasku. Znow byli na tej samej pustej plaży co przedtem.

Słyszała, jak Matt tłumaczy taksówkarzowi, że kiedy będą chcieli wrócić, zadzwonią do niego z telefonu komórkowego. Z jakiego telefonu komórkowego? - pomyślała; przecież tu nie ma żadnych telefonów! Ale po chwili, chichocząc w duchu, uznała, że nie ma powodu się niepokoić czy denerwować, bo Matt jest jej mężem, a mąż zawsze troszczy się o żonę. Wpatrując się w jego plecy, na moment otrzeźwiała.

Mąż? Żona? A więc są małżeństwem?

Księżyc wytoczył się wyżej na niebo; wielka, srebrzyście lśniąca kula wyglądała solidnie na tle czarnych jak sadza przestworzy.

Matt ujął Danni za rękę i zaprowadził w to samo miejsce, które przed godziną opuścili. Teraz jednak, gdy księżyc świecił bezpośrednio nad ich głowami, drzewa wydawały się wyższe, bardziej rozłożyste, zapewniające lepszą osłonę przed srebrzystym blaskiem.

Usiedli na ręczniku. Kiedy Matt zaczął ją całować po szyi, po uszach, potem delikatnie zsuwać jej z ramion sukienkę, Danni zdała sobie sprawę, że tym razem nic go nie powstrzyma. Radość wypełniała jej serce. Zamierzała oddać mu się na plaży w tę piękną księżycową noc. Tu i teraz.

- Będzie cudownie, pani Creed - szepnął jej do ucha. Tak do niej mówił, pani Creed, odkąd wyszli z chaty.

Dziwnie to brzmiało, obco, trochę egzotycznie, ale zarazem czule i jakoś bardzo swojsko.

Na zmianę to ustami, to opuszkami palców gładził ją lekko po ramionach i dekolcie, aż zaczęła drzeć na całym ciele.

- Och, Matt, jeszcze nigdy się tak nie czułam... - Przywarta mocno do jego piersi. - Czy to tak zawsze jest? Czy każdy przeżywa taką rozkosz?

- Tylko szczęśliwcy - odparł głosem przepojonym namiętnością, nie przerywając pieszczot.

Kiedy zacisnął usta na jej piersi, naprężyła się, po czym wygięła plecy w łuk, jakby pragnęła ofiarować mu wszystko, całą siebie. Nie czekał. Ściągnął z niej ubranie, potem odsunął się nieco w bok, pozwalając, by oświetlił ją blask księżyca. Przez chwilę błędził wzrokiem po jej twarzy, piersiach, biodrach, jednocześnie delikatnym ruchem odgarniał jej z czoła włosy.

- Jesteś taka piękna, Danni - szepnął. - Zachwycająca...

Wspanialszych pieszczot niż te, jakimi obdzielał ją swoimi ustami, dłońmi i wzrokiem, nie potrafiłaby sobie wymarzyć. A więc na tym polega miłość, na tym polega kochanie się, pomyślała. Człowiek zatracca się w rozkoszy, zapomina o bożym świecie.

Miała wrażenie, jakby całe życie czekała na kogoś takiego jak Matt, czulego, namiętnego, męskiego. Wreszcie oderwał od niej usta i spojrzał jej w oczy, przenikliwie, jakby o coś pytał i natychmiast domagał się odpowiedzi. Odważnie wytrzymała jego spojrzenie.

- Tak, Matt - szepnęła. - Weź mnie. Kochaj się ze mną. Zgarnął ją w ramiona; drżał z podniecenia.

- Proszę... teraz...

Jeszcze nigdy w życiu nikogo ani niczego tak bardzo nie pragnęła. Położył się na niej, ale już po chwili zreflektował się, że coś jest nie tak.

- Danni... - Delikatnie położył rękę na jej wzgórku łonowym. - Chyba nie jesteś... To chyba nie jest twój pierwszy raz? Co?

Zamknęła powieki. Zalała ją tak silna fala wstydu, a zarazem żądy, że nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Starala się odepchnąć Matta, ale on trzymał ją mocno za ramiona.

- Spójrz na mnie - rzekł.

Dlaczego ukrywała to przed nim? Dlaczego wcześniej - normalnie, spokojnie, na trzeźwo - nie wspomniała o swym braku doświadczenia? Przecież mogła powiedzieć: Słuchaj, Matt, kiedy wreszcie do czegoś między nami dojdzie, nie zdziw się, że nie bardzo się będę orientowała, co trzeba robić. Byłam dotąd tylko z jednym mężczyzną i nie był to zbyt udany związek. Jak to możliwe, aby trzydziesto-czteroletnia kobieta była tak niedoświadczona? Nie potrafię ci na to odpowiedzieć. Po prostu tak wyszło.

Zamknawszy z powrotem oczy, wydusiła z siebie:

- Jestem trochę spięta. Nie mam dużego doświadczenia i stąd... - zawiesiła głos.

Po chwili otworzyła oczy; w świetle księżyca ujrzała malujący się na twarzy Matta wyraz zaskoczenia i niedowierzania. Przekręciła w bok głowę.

- Nie jestem dziewicą, jeśli o to ci chodzi - oznajmiła, wpatrując się ponad jego ramieniem w srebrzystą kulę na niebie. - Na studiach miałam chłopaka, ale...

Ujął ją palcami za brodę, odwrócił twarzą do siebie i pocałował w usta. Po jego niepewnych ruchach Danni uświadomiła sobie, jak bardzo ta cała sytuacja zbiła go z tropu.

- Może wszystkiemu winien był facet? - podsunął Matt. - Może nie wiedział, jak i co należy robić?

To byłoby takie proste. Zwalić winę na biednego Wesleya.

- Chyba jednak nie - szepnęła. Nie chciała uciekać się do kłamstwa.

Wsparł się na jednym łokciu, drugą ręką obejmował ją w pasie.

- Jak się teraz czujesz? - spytał łagodnie. - Powiedz.

Czekając na odpowiedź, delikatnie głaskał jej pępek. Bała się wyznać mu prawdę: że całymi latami żyła w lęku przed miłością i że teraz też odczuwa niemal paraliżujący strach.



Sięgnął po jej sukienkę rzuconą obok na ręcznik, okrył nią jej piersi i biodra, po czym uspokajającym ruchem położył rękę na jej brzuchu.

- Czasem rozmowa pomaga - rzekł, próbując dodać jej otuchy. - Nie musisz się mnie bać. Nie zrobię ci żadnej krzywdy. Po prostu chciałbym wiedzieć, dlaczego jesteś taka spięta. Czy ktoś, jakiś mężczyzna...

- Nie - przerwała mu. - Nie o to chodzi. Chodzi o to, że... Po prostu po tamtym pierwszym nieudanym związku obiecałam sobie, że będę wystrzegać się seksu, dopóki nie poślubię odpowiedniego mężczyzny.

- Rozumiem.

Potał ręką twarz, zastanawiając się nad tym, co powiedziała. Pragnęła poślubić „odpowiedniego” mężczyznę. Przypomniawszy sobie, jak zareagowała, kiedy pocałował ją u niej w sypialni. Teraz zaś leży na plaży z podchmielonym strażakiem. Czy nadaje się dla niej na męża? Czy jest odpowiednim mężczyzną?

- Poczekaj... - Westchnął. - Chciałaś wyjść za mąż, żeby...

- Po prostu chciałam i już. - Zasłoniła ręką oczy.

Ścisnąwszy jej dłoń, przysunął ją sobie do ust i zaczął całować jej palce. Czy ona naprawdę nie zdaje sobie sprawy, jaka jest piękna?

- No dobrze - powiedział cicho. - Wydaje mi się jednak, że w tej sytuacji powinniśmy nieco zwolnić tempo. - Gładził ją lekko po policzku, po szyi, po zakrytych sukienką piersiach, brzuchu. - Intymność wymaga czasu. Nie można niczego przyspieszać. Zwłaszcza gdy jedna osoba nie ma zbyt dużego doświadczenia. I kiedy odczuwa lęk.

Słuchała z zamkniętymi oczami. Łzy, które wypływały jej spod powiek, najlepiej świadczyły o tym, jak bardzo się boi.

Patrzył na nią zmartwiony, zakłopotany i już całkiem trzeźwy. Zdał sobie sprawę, jak słabo zna tę kobietę, którą dziś w nocy pojął za żonę.

- Wiesz co? - Położył rękę na jej talii, tak by nie czuła się w żaden sposób zagrożona. - Możemy zwolnić tempo, ale równie dobrze możemy nic nie robić. - Uśmiechnął się, pragnąc jedynie ulżyć jej zmieszaniu. - W końcu mamy przed sobą całe życie.

- O Boże. Przestań...

- Co? Co przestać? - spytał zdziwiony.
- Pocieszać mnie. Pewnie sobie myślisz: co za wariatka.
- Wcale nie. Myślę, że jesteś dobra, ciepła, wspaniała. Niczego bym w tobie

nie zmieniał. Zobaczysz, wszystko się ułoży.

Przyjrzała mu się uważnie, ale ponieważ miał za sobą księżyc, niezbyt wyraźnie widziała jego oczy.

- Zawsze jesteś taki miły i wyrozumiały? - spytała.
- Sporo w życiu przeszedłem, z wieloma rzeczami musiałem się pogodzić.

Tłamszenie w sobie bólu nie ma sensu. Wierz mi.

Te proste słowa oraz ton, jakim je wypowiedział, sprawiły, że tama pękła. Łzy trysnęły jej z oczu silnym strumieniem i, podobnie jak spływającej po stoku lawy, nic nie mogło ich powstrzymać. Danni zakryła rękami twarz i zanosła się gwałtownym szlochem. Wprost nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Leżała naga na plaży ze wspaniałym mężczyzną u boku, mieli się kochać, w górze świecił księżyc, a ona płakała rzewnymi łzami, tak jak tamtego dnia, kiedy zmarła Liza. Płakała żałośnie, spazmatyczne.

On naprawdę gotów uwierzyć, że jestem wariatką, pomyślała.

Odciągnął jej rękę od twarzy.

- Opowiedz mi o wszystkim - poprosił cicho i ręką kwiecistej sukienki zaczął wycierać jej policzki.

- Czy wiesz, jak to jest, kiedy traci się kogoś bardzo bliskiego i ma się takie uczucie, że do końca życia nie pogodzi się ze stratą? - spytała.

Skinął głową.

- O to chodzi? Straciłaś bliską ci osobę?

Chciała mu się zwierzyć, bardzo chciała, ale coś się w niej zablokowało i nie była w stanie nic więcej powiedzieć. A potem nagle ogarnęło ją jedno silne pragnienie. Gdyby Matt je spełnił, może zdołałby ją uleczyć, uwolnić od ponurych wspomnień.

- Matt - szepnęła, ocierając ręką łzy - kochaj się ze mną. Proszę cię.
- Naprawdę tego chcesz? Skinęła głową.
- Dobrze. Zrobimy to delikatnie, powoli...

Znów ją całował i pieścił, a ona starała się zagłuszyć w sobie wewnętrzny głos, który radził jej, by wstała, odeszła, nie ulegała żądzy. Ale jej ciało wyraźnie nie miało ochoty słuchać żadnych dobrych rad. Zresztą czy nie zasłużyła na jedną taką noc w swoim cnotliwym, spokojnym życiu? W końcu miała trzydzieści cztery lata.

Najwyższa pora na zmianę.

Tej nocy Danni Goodlove postanowiła zapomnieć o bólu i samotności, pozwolić Mattowi zawładnąć swym ciałem, dać się porwać fali namiętności. Matt poczuł, jak jej usta się rozchylają, a ciało odpręża. Tak, teraz już wiedział ponad wszelką wątpliwość, że kocha tę kobietę do szaleństwa. Pragnął jej i nie był w stanie dłużej nad sobą panować. Równie dobrze można by kazać morzu, aby nie falowało, nie reagowało pływami na przyciąganie księżyca.

## *Rozdział 14*

Nazajutrz Danni zrozumiała, że popełniła koszmarny błąd. Niemal krzyknęła z przerażenia, kiedy rano obudziła się w swoim pokoju hotelowym, przygwożdżona do łóżka przez potężne męskie ramię. Matt spał w najlepsze, chrapiąc jej prosto do ucha.

Połaskotała go w nos, a kiedy mruknął coś przez sen i podniósł rękę, żeby się podrapać, oswobodzona szybko wyskoczyła z łóżka. Matt przekręcił się na wznak i ponownie zachrapał.

Pobiegła do łazienki i odkręciła prysznic - najgorętszy strumień, jaki była w stanie wytrzymać. Na miłość boską, co ty zrobiłaś? - pytała samą siebie.

Wszystkie mięśnie miała obolałe, mięśnie, których najwyraźniej wczoraj używała, choć tego nie pamiętała. Prawie nic nie pamiętała. Czowała, że głowę ma wielką, spuchniętą, a w gardle potwornie sucho. Podstawiła twarz pod strumień gorącej wody, otworzyła usta i przepłukała gardło. Boże, co ona najlepszego zrobiła?!

Kiedy zakręciła wodę, wydało jej się, że ktoś dobija się do drzwi pokoju. Szybko owinęła się ręcznikiem i wyrzała z łazienki. Zobaczyła Matta, który z ręcznikiem wokół bioder kieruje się do drzwi. Zanim zdołała go powstrzymać, otworzył je na oścież.

W progu stał Roger Bryant w białych spodniach i granatowej marynarce, a na jego twarzy malował się wyraz nie skrywanej odrazy.

- Ty?! Co ty tu robisz?

- Właśnie chciałem cię spytać o to samo - oznajmił spokojnie Matt.

- Zamierzam towarzyszyć doktor Goodlove na śniadanie, a potem na poranny wykład. - Bryant posłał Mattowi lodowate spojrzenie.

- Doktor Goodlove jest teraz zajęta - rzekł Matt, zamykając drzwi.

Danni cofnęła się do łazienki; wsparta o ścianę, zacisnęła zęby na kostkach palców. Psiakrew! Teraz wszyscy w szpitalu, łącznie ze Stone'em, dowiedzą się, jak umiała sobie czas podczas ważnej konferencji naukowej. Niech to diabli!

Nagle ponownie usłyszała głos Bryanta:

- Chciałbym zamienić słowo z doktor Goodlove. Wychyliwszy głowę, zauważyła, że Bryant trzyma rękę na framudze, uniemożliwiając Mattowi zamknięcie drzwi.

- Obawiam się, że Danni nie może teraz podejść. Ale nie omieszkam wspomnieć jej o twojej wizycie.

Matt pchnął drzwi. Bryant również.

- Słuchaj, widziałem cię wczoraj w girlandach na szyi i z alkoholem w łapie...

Zmierzył Matta pogardliwym spojrzeniem. Matt zrewanżował się identycznym: Miał taką minę, jakby Roger Bryant wystroił się w różową koronkową halkę.

- Nie odejdę, dopóki nie porozmawiam z doktor Goodlove - oświadczył lekarz.

Kiedy ponownie usiłował wdrzeć się do środka, Matt wypchnął go na korytarz.

- Słuchaj... - rzekł, patrząc, jak Roger przeczesuje palcami swoje cienkie włosy.

- Tak się składa, że wczoraj wieczorem doktor Goodlove i ja...

- Matt! - krzyknęła Danni i owinięta ręcznikiem wybiegła z łazienki. - Ja... my... Nie muszę się przed nikim tłumaczyć. - Z dumnie podniesionym czołem przeszła przez pokój i stanęła za drzwiami, wysuwając jedynie głowę. - Przykro mi, Roger. Musisz iść sam na wykład. A teraz przepraszam. - Nic sobie nie robiąc z jego zdumionej miny, zatrzasnęła drzwi, po czym odwróciła się z furią do Matta. - Nie waż się nikomu opowiadać, że wczoraj wzięliśmy ślub!

- Dlaczego? Przecież wzięliśmy.

Bliska łąz wyrzuciła ręce do góry. Nie tak sobie wyobrażała pierwszy dzień małżeńskiego życia.

- Dlatego że... że pracuję z Bryantem. Dlatego że personel szpitala musi we mnie widzieć lekarza, który trzeźwo stąpa po ziemi, a nie zwariowaną cizię, która jedzie na Karaiby i pod wpływem alkoholowego zamroczenia bierze ślub z niemal obcym facetem!

Zakrywszy dłońmi twarz, wybuchnęła płaczem, co ją jeszcze bardziej zezłościło. Dlaczego w obecności tego mężczyzny ciągle się mazgai?

Matt podszedł do niej i delikatnie objął ją w pól.

- Danni, kochanie. - Zacisnął ręce na jej trzęsących się ramionach. - Nie jesteś żadną zwariowaną cizią. A poza tym - odwrócił ją twarzą do siebie - nie pobraliśmy się pod wpływem zamroczenia alkoholowego.

- Co ty pleciesz! - załkała, drżącymi palcami starając się otrzeć łzy.

- No dobrze, może troszkę wypiliśmy, ale ja, na przykład, zamierzam dotrzymać przysięgi małżeńskiej.

- Byłam pijana! Kompletnie pijana!

- W porządku. Może byłaś, ale teraz nie jesteś. Więc powiedz mi, ale szczerze, co czujesz? Czy naprawdę żałujesz wczorajszej nocy? Danni?

Pochyliwszy głowę, usiłował spojrzeć jej w oczy. Pociągnęła nosem. Przytulił ją mocno do siebie.

- No powiedz, żałujesz? I nie chcesz, żeby się powtórzyła? - Poczuł, jak opuszcza ją napięcie, jak jej ciało staje się uległe. - Tak myślałem. Hej, malutka. Nie płacz.

Skrawkiem ręcznika chciał osuszyć jej policzki, ale gdy go lekko, szarpnął, ręcznik został mu w ręku. Rzuciwszy ręcznik na podłogę, uśmiechnął się. Wziął Danni w ramiona, a potem opuścił dłonie na jej biodra.

- Posłuchaj - rzekł, poważniejąc. - Alkohol nie ma tu nic do rzeczy, nie pobraliśmy się dla kaprysu. Pragnąłem cię, odkąd się pierwszy raz pocałowaliśmy. - Z niewinną miną zsunął własny ręcznik i ciągnął, nie zważając na to, że oboje stoją nadzy: - Pamiętasz ten nasz pierwszy malutki całus? U ciebie w sypialni?

Pociągając nosem, Danni skinęła głową, a potem zaczęła chichotać, bo żadnych „malutkich całusów” nie pamiętała; wszystkie były gorące i namiętne.

- Jeden malutki całus - szepnął, demonstrując jej, na czym to polega. - To wystarczyło. - Skubnął wargami jej ucho. - Jeden całus i wiedziałem, że cię pragnę. - Schyliwszy się, zaczął pieścić ustami jej szyję. - Nie chcesz być moją żoną? Żebyśmy się mogli kochać codziennie?

Chciała - może nie tyle być żoną Matta, co czuć dotyk jego warg, ruchy bioder. Łzy przestały jej płynąć; policzki miała już suche, ciało rozgrzane, oddech przyśpieszony.

- No widzisz? Widzisz? Ja też, moja piękna, od pierwszej chwili chciałem się z tobą kochać. - Zniżył wzrok, obrzucając nim jej piersi. - Zanim jeszcze poznałem twoje ukryte wdzięki.

- Och, przestań! - zawołała, uderzając go lekko w ramię. - Przestań!

- Au! Au! - jęknął i chwytając się za ramię, teatralnie zgiął się wpół. - To boli! Jeszcze niedawno miałem tu szwy! - Potykając się, doszedł do łóżka. - Ratunku! Lekarza! - Opadł na materac i znieruchomiał.

- Wariat.

Stała nad nim, przyglądając mu się z uśmiechem. Cudowny wariat, taki męski i przystojny, dodała w myślach.

Poderwał się, chwycił ją za nadgarstki i przyciągnął bliżej do siebie.

- Naprawdę potrzebuję lekarza - powiedział; jego niebieskie oczy lśniły z pożądania.

Nie opierała się. Opadła bezwolnie na łóżko.

Dwie godziny później, jedząc na balkonie zamówione śniadanie, Matt zdobył się na odwagę i spytał:

- Słuchaj, czy stosujesz jakieś zabezpieczenie?

Danni niemal zakrztusiła się bułką. Boże, nie pomyślała o możliwości zajścia w ciążę! Co z niej za lekarz?

- No cóż - kontynuował Matt. - Powinienem był o to spytać wczoraj wieczorem. Ale teraz, skoro jesteśmy małżeństwem, musimy się wspólnie

zastanowić... - Podniósł do ust jej drżącą rękę. - No... - Nagle spostrzegł lęk czający się w oczach swojej nowo poślubionej żony. - Co ci jest? Cała drżysz.

Odwróciła wzrok. Dlaczego tak trudno jest cokolwiek przed nim ukryć? Czy po upojnie spędzonej nocy wszyscy kochankowie są tak wyczuleni na najdrobniejsze zmiany w nastroju partnera? Czy przed laty z Wesleyem tak samo się czuła? Nie, na pewno nie. Wtedy, po przespaniu się z Wesleyem, jedyne, o czym myślała przez kilka kolejnych dni i nocy, to: co będzie, jeśli zaszłam w ciążę? Po przespaniu się z Mattem taka myśl nawet nie powstała jej w głowie, dopóki on pierwszy nie wspomniał o antykoncepcji.

- Nic mi nie jest - skłamała.

Czuła, jak oblewa się rumieńcem. Wczoraj wieczorem popełniła straszliwy błąd. Teraz jest już za późno. Nie mogła nic zrobić, aby go naprawić, nie mogła też cofnąć czasu, choć wiele by za to dała. Pacjentki, które zachodziły w niechcianą ciążę, zawsze delikatnie łąjała; mówiła im, że trzeba było wcześniej pomyśleć, a sama... Sama też uległa namiętności, nie myśląc o konsekwencjach.

Zerknęła na Matta. Z jego spojrzenia jasno wynikało, że domyślił się prawdy, tego, że kochali się bez zabezpieczenia.

Po chwili ponownie podniósł do ust jej rękę i zaczął całować jej palce.

- Danni - szepnął. - Pewnie uznasz mnie za świra, ale wiesz co? Moim największym marzeniem jest mieć z tobą dziecko.

Odsunęła gwałtownie stół, przy którym jedli śniadanie, poderwała się na nogi, po czym wbiegła do pokoju i rzuciwszy się na łóżko, wtuliła twarz w poduszkę.

Matt wszedł za nią do środka, chwycił ją za biodra i przekreślił na wznak.

- Boże, co ja najlepszego zrobiłam? - spytała, kiedy się nad nią pochylił.

- Raczej: co myśmy najlepszego zrobili? Tak powinnaś spytać. - Odgarnął jej z twarzy włosy. - Przepraszam, moja droga. To moja wina. Powinienem był pamiętać o prezerwatywie... Ale nie martw się, wszystko będzie dobrze. - Pocałował ją w czubek nosa. - Poślubiłaś mężczyznę, który kocha cię do szaleństwa... - od nosa przeszedł do policzka i w końcu do ust - i którego ty będziesz kochać do grobowej deski.

Zamilkł. Zamiast przekonywać Danni o swojej miłości słowami, przekonał ją językiem ciała, dotykiem, pieszczotą. Przekonał, posługując się cudowną mieszaniną czułości i żaru, delikatności i zapału.

Czas płynął niczym w cudownym śnie. Danni czuła się tak, jakby ona i Matt byli jedną z tych pięknych, beztroskich par przedstawianych na prospektach biur podróży, par, które trzymając się za ręce, spacerują w skąpych kostiumach kąpielowych po złocistej plaży.

Przez Matta opuściła wykłady doktora Donnara, a przez Rogera Bryanta miała z tego powodu straszne wyrzuty sumienia.

Roger dwukrotnie zostawiał jej wiadomość w poczcie głosowej i próbował wciągnąć ją z powrotem do nudnego, przykładowego życia, jakie wiodła, zanim poznała Matthew Creeda.

Wieczorami Matthew na nowo ją zdobywał. Przynosił karafkę z żółtym koktajlem, zostawał na noc, roztaczał przed nią wciąż nowe uroki życia i prowadził ją w coraz dalsze zakamarki rozkoszy.

Chociaż zapraszał ją na wyśmienite kolacje i karmił egzotycznymi przysmakami, a ona przestała liczyć kalorie, lecz czuła, że nadal chudnie. Zapewne kochając się, człowiek spala mnóstwo energii. Uśmiechnęła się pod nosem, poprawiła ramiączka bikini, które dostała w prezencie od Matta, po czym włożyła na wierzch sukienkę w żółte kwiatki.

Gdziekolwiek byli, bez przerwy jej dotykał - obejmował w pasie, kładł rękę na jej biodrze, gładził po udzie, ona zaś cały czas drżała z podniecenia i coraz bardziej łaknęła jego pieszczot.

Jak się przekonała, uwielbiał też całować; w miejscach publicznych, na przykład na plaży, całował ją to w ramię, to w rękę, to w kolano. I mówił do niej tak, jak dotychczas nie mówił żaden mężczyzna. Nazywał ją „panią Creed” i „malutką”, a kiedy się kochali - „skarbem” i „kochaniem”.

Wieczorem postanowił ją zabrać na „ich” plażę, żeby mogli w samotności świętować trzeci dzień od swego ślubu.



Kiedy dotarli na miejsce, słońce znikło już za widnokreśm. Zanurzwszy się w ciepłym morzu, przez moment patrzyli na migoczące w oddali światełka wioski leżącej u podnóża gór.

- Spójrz, kochanie. Właśnie tam wzięliśmy ślub - powiedział Matt, wskazując ręką przed siebie.

Zamiast w wioskę, wpatrywała się w jego profil, ale w blasku księżyca nie potrafiła nic z niego wyczytać. Zastanawiała się, co Matt tak naprawdę sądzi o ich małżeństwie.

- Dlaczego twoje pierwsze małżeństwo się rozpadło? - spytała niespodziewanie.

Odwrócił się do niej. Wzrok miał czujny, przeszywający.

- Z powodu egoizmu. I niedojrzałości psychicznej.

- Czyjej? Twojej czy żony?

- A jak myślisz? - skrzywił się.

Wyszła z wody na piasek i energicznie wyciągnęła do Matta rękę.

- Chodź. Musimy porozmawiać.

Stał bez ruchu, omywany falami, ale po chwili ruszył za nią na brzeg.

Trzymając się za ręce, podeszli do ręcznika. Danni usiadła i pociągnęła Matta w dół.

- Zbyt mało o tobie wiem - rzekła. - To, co widzę, bardzo mi się podoba, ale potrzebuję więcej informacji.

- Możesz śmiało pytać. Niczego nie będę ukrywał.

- Świetnie. Więc powiedz, dlaczego rozpadło się twoje pierwsze małżeństwo?

Westchnął głęboko i długo patrzył na ciemną wodę i góry wznoszące się po drugiej stronie zatoki.

- Dobrze, skoro to dla ciebie takie ważne... Powód jest dość banalny. Jak wiesz, po ataku terrorystycznym w Oklahomie brałem udział w akcji ratowniczej. Kiedy wróciłem do domu, Carla i ja zaczęliśmy się od siebie oddalać.

Umilkł. Danni czekała na dalszy ciąg - bezskutecznie.

- Dlaczego?

Czuła, że jest tak samo spięty jak tamtego dnia, kiedy spytała go o chustkę, którą miał zawiązaną wokół nadgarstka, ale o ile wtedy odniosła wrażenie, że wścibia

nos w nie swoje sprawy, o tyle teraz uważała, iż ma prawo wiedzieć. Może mogłaby mu jakoś pomóc? Bądź co bądź sypiają z sobą. Ba, nawet wzięli ślub! Wprawdzie składając przysięgę, nie byli całkiem trzeźwi, ale...

- Dlaczego? - powtórzyła. - Dlaczego zaczęliście się od siebie oddalać?

- Proza życia. Nie mogłem dojść do siebie po tym, co widziałem w Oklahomie. Carla tego nie rozumiała i nawet nie próbowała zrozumieć. Uważała, że życie powinno się składać z samych przyjemności, takich jak wyprawa do centrum handlowego, wycieczka w góry, przyjęcie u znajomych.

Zanurzył rękę w piasku, potem podniósł ją, pozwalając, aby piasek przesypał mu się pomiędzy palcami.

- Zawsze chciała coś robić, coś kupować, gdzieś jechać. Lubiła się też roztkliwiać nad sobą; w tym była bardzo dobra. Inni jej nie interesowali. Zamiast wczuć się w położenie tych biedaków, którzy stracili w Oklahomie bliskich, zamiast im współczuć, a przynajmniej pozwolić, abym ja otrząsnął się po tej strasznej tragedii, której skutki widziałem na własne oczy, ona chciała przejść nad wszystkim do porządku dziennego, udawać, że nic się nie stało. Nie przyjmowała do wiadomości, że życie ma zarówno blaski, jak i cienie.

Sfrustrowany, ogarnięty poczuciem bezsilności, cisnął garść piachu przed siebie.

- Zdaję sobie sprawę, że po powrocie z Oklahomy nie byłem w dobrej formie. Ale Carla nawet nie próbowała mnie zrozumieć. Chciała się bawić, a taki ponurak jak ja tylko działał jej na nerwy. Któregoś dnia oświadczyła, że zamierza wystąpić o rozwód. W pierwszej chwili byłem załamany, ale potem uświadomiłem sobie, że nie chcę mieć tak samolubnej żony. Bo przecież małżeństwo polega na tym, że wszystko się przeżywa wspólnie, i radości, i smutki.

Otrzeptał piasek z dłoni, po czym odwrócił się i popatrzył Danni prosto w oczy.

- To mi się najbardziej w tobie spodobało - dodał. - Wtedy kiedy cię pierwszy raz ujrzałem w szpitalu. Nie uciekałaś od życia; ani od jego blasków, ani od jego cieni. Przyjmowałaś porody, opatrywałaś rannych. Byłaś... bo ja wiem? Taka prawdziwa, skupiona na innych...

Owszem, w szpitalu myślała wyłącznie o pacjentach, co nie znaczyło, że była całkiem wyzbyta z egoizmu. Miała własne demony, z którymi walczyła, też się nad sobą roztkliwiała, a że częściej niż Carla stykała się z ludzkim nieszczęściem? Na razie nie chciała o tym mówić; próbowała wczuć się w sytuację Matta, zrozumieć jego ból.

- Powiedz, jaki wpływ miała na ciebie Oklahoma? - Delikatnie pogładziła jego umięśnione ramię. - Co czułeś?

Nabrał powietrza, potem wolno je wypuścił.

- To samo co inni - rzekł. - Przerazenie. Smutek. Bezradność.

Danni zamknęła oczy. Te proste słowa, wypowiedziane niskim, chropawym głosem, przejęły ją do głębi.

- Wiele się wtedy nauczyłem. Że chociaż serce pęka z bólu i człowiek siania się na nogach ze zmęczenia, to trzeba być silnym. Dla innych. Że trzeba dać z siebie wszystko, walczyć do ostatka. Że nie wolno się oszczędzać. Że trzeba mówić prawdę i żyć z godnością. Nauczyłem się tego, obserwując rodziny rannych i ofiar.

- Och, Matt - szepnęła Danni, czując, że łzy napływają jej do oczu.

Otoczył ją ramieniem i przez chwilę siedzieli tak, mocno objęci, a ona miała wrażenie, jakby ich serca były jednym rytmem. Była wdzięczna losowi za to, że ten wspaniały, wrażliwy mężczyzna jest jej kochankiem, że dane jej było poznać Matta i przeżyć z nim kilka cudownych chwil.

- Cieszę się, że spędziliśmy razem te dni - powiedziała. Wpatrywał się w nią uważnie, jakby usiłował odgadnąć sens jej słów, po czym spytał cicho:

- Czy mógłbym się teraz z tobą kochać?

I na tej pustej, zapomnianej przez świat i ludzi plaży, z dala od strachów, smutków i bezradności, kochali się czule i namiętnie. Podobnie jak poprzednimi razy, Danni wprost nie mogła uwierzyć, że ta dzika, zmysłowa kobieta, która z takim żarem reaguje na dotyk kochanka, to ona, Danielle Goodlove.

I podobnie jak poprzednimi razy, kiedy było już po wszystkim, Matt szepnął jej do ucha, jaka jest cudowna, wspaniała, kobieca. Czuła się tak, jakby w ciągu tych paru dni zawładnął nią, a jednocześnie ją wyzwolił - wyzwolił od lęków, zahamowań, niepewności.

Hedonizm - to jedno słowo przychodziło jej na myśl, kiedy się kochali. Straciłam zahamowania i zostałam hedonistką. A raczej cała się zatraciłam w hedonizmie. Tak sobie rozmyślała, kiedy budziła się w objęciach Matta. I chociaż zamierzała zerwać ten dziwny związek z mężczyzną, którego prawie nie знаła, jakoś nie potrafiła zdobyć się na ten krok. Ciągle odkładała to na później.

A tymczasem brnęła coraz dalej. I głębiej. Matt pokazał jej podwodny świat - pływała z maską i fajką, oglądając florę i faunę morską. Potem wynajął kuter i zabrał ją na ryby. Jeszcze później na przejażdżkę katamaranem. Podziwiała jego pięknie umięśnione ramiona, kiedy podnosił żagle.

Matthew, śmiały i odważny, który nie boi się wyzwania.

Ale to nie była prawda. Danni nie widziała tego, że w głębi duszy Matthew odczuwa lęk. Strach przed tym, aby kobieta, z którą zasypiał nocą, nagle nie oprzytomniała i nie oznajmiła, że przeprasza bardzo, ale pomyliła się i dalej zamierza iść przez życie sama. Strach przed tym, aby nie posłuchała uporczywych rad swego kolegi lekarza, który przypominał jej o obowiązkach. A także strach przed powrotem z tej baśniowej karaibskiej krainy do rzeczywistości Tulsy, do tego, co będzie, gdy on wróci do pracy w straży pożarnej, a Danni do szpitala, do swojej eleganckiej rezydencji i swojej sfery.

Budził się w środku nocy, pragnąc tej kobiety. Wsparty na łokciu, przyglądał się jej w świetle księżyca, które wpadało przez cienkie zasłony w oknach. Przysięgał sobie, że tym razem będzie ją pieścił wolno, delikatnie, lecz już po chwili ogarniała go dzika namiętność.

Ilekoć na nią patrzył - nie tylko podczas seksu, ale także kiedy przeskakiwała fale albo stała na balkonie w porannym blasku słońca - zastanawiał się nad przyszłością. Snuł marzenia, jak to kiedyś, gdy już będą starzy, wrócą na wyspę, na której się pobrali. Albo że któregoś dnia przylecą tu wraz ze swoimi dziećmi.

Dzieci.

Będąc z Carłą, jakoś nie wyobrażał sobie powiększenia rodziny. Wprawdzie kilka razy poruszał ten temat, ale Carla zawsze zbywała go wzruszeniem ramion.

Z Danni natomiast było zupełnie inaczej. Chociaż byli razem zaledwie od kilku dni, pragnął ją zapłodnić za każdym razem, gdy się kochali. Istne szaleństwo!

Tak czy inaczej sprawę antykoncepcji wziął w swoje ręce. Mimo że stosowali zabezpieczenia, co jakiś czas wybiegał myślą naprzód i całując żonę w policzek, oznajmiał: „Kiedyś będziemy mieli dziesięcioro dzieci, a wszystkie będą piękne jak ich matka”.

I święcie wierzył w te słowa.

Nie wiedział jednak, że Danni - obdarzona wiedzą medyczną, kobiecą intuicją oraz dogłębną znajomością własnego ciała i jego rytmów - potrafi wyczuwać rzeczy, o których on nie ma pojęcia. Nie wiedział, że gdy on mówił o dzieciach, ona narzucała sobie milczenie. Oby to twoje „kiedyś” nastąpiło później niż prędej, myślała.

Jednakże nie mówiła tego na głos. Po co psuć miłe wakacje, spekulując o czymś, co może wcale się nie wydarzyć? Statystycznie rzecz biorąc, szansa, że po pierwszej beztroskiej zabawie na plaży zaszła w ciążę, była raczej minimalna.

W dniu, w którym mieli opuścić Saint Martin i wrócić do Tulsy (ona porannym lotem, on popołudniowym), Matt zerwał się o świcie, zamówił na górę śniadanie i dopiero kiedy ustawił je na balkonie, obudził żonę.

- Nie chcę, żeby to się skończyło - powiedziała Danni, spoglądając na spokojne morze połyskujące w promieniach wynurzającego się z wody słońca, które barwiło na złocisto-różowy kolor zawieszony na niebie zwały chmur.

Napełniwszy filiżanki kawą, Matt pocałował żonę w czubek głowy, po czym obszedł stół i usiadł naprzeciwko. Jedząc jajka na bekonie, również wpatrywał się w zaróżowione niebo i gładką taflę wody.

Pijąc kawę i obserwując Matta, Danni nagle poczuła, jak ogarnia ją niepokój. Co będzie, jeśli po powrocie do domu okaże się, że dla Matta ten wspólny pobyt na Karaibach był tylko miłą, romantyczną przygodą? Dotychczas bała się, że Matt zbyt poważnie podchodzi do tego wszystkiego, co ich łączy, a teraz po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, jak to będzie, jeżeli akurat jest odwrotnie, jeżeli się pomyliła i Matt potraktuje ich związek jak zabawę, przelotną znajomość. Jak się wtedy będzie czuła?

Dziwny strach chwycił ją za serce.

Przed hotelem wsiadli do taksówki i trwającą piętnaście minut drogę na lotnisko odbyli wspólnie. Matt zauważył, że Danni staje się coraz bardziej milcząca i zamknięta w sobie.

- Szkoda, że nie lecimy razem - rzekł po chwili, przerywając ciszę.

Uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała.

Czuł z wolna narastające napięcie. Czy dopiero teraz to do niej dotarło? To szaleństwo, jakiego się dopuścili? Nie była osobą impulsywną. Ciekawe, co postanowi? Jaką podejmie decyzję, kiedy wróci do Tulsy?

Stewardesa sprawdzająca bilety zaczęła ich ponaglać; samolot stał na płycie lotniska, a pasażerowie już dawno zajęli miejsca. Matt zarzucił na ramię torbę Danni - wzięła z sobą tylko bagaż podręczny - i ruszyli biegiem w stronę schodów.

Gdyby przyjechali specjalnym autobusem, który o określonej porze wyruszał sprzed hotelu, byłiby na lotnisku dużo wcześniej, ale Danni chciała cieszyć się każdą minutą, jaka jej została z Mattem.

Teraz, gdy nadszedł czas pożegnania, nie wiedziała, co powiedzieć. Miała wrażenie, że on też pragnie być z nią jak najdłużej, odsunąć przykry dla obojga moment rozstania.

Kiedy dotarli do schodków, odwróciła się twarzą do Matta. Chciała wyczytać coś z jego spojrzenia, przekonać się, co czuje, lecz nie zdołała, bo słońce odbijało się w jego okularach.

Stewardesa stojąca w drzwiach samolotu pomachała do Danni, dając jej znać, żeby się pospieszyła. Jakby nie dostrzegając jej, Danni zwróciła się do Matta:

- Słuchaj... nie chcę, żebyś czuł się do czegoś zobowiązany. Tylko dlatego, że... no wiesz, że przez tydzień ty i ja...

Ponieważ milczał, z ciężkim sercem pomyślała, że jednak miała rację, że dla niego ten tydzień na Karaibach to była zabawa w małżeństwo.

- Może popełniliśmy straszny błąd - ciągnęła - ale nie obawiaj się. Po powrocie do Tulsy możemy wystąpić o unieważnienie małżeństwa.

- Co? O anulowanie? - spytał, nie całkiem pewny, czy ją dobrze usłyszał, bo ryk silników zagłuszał prawie każde słowo.

Nagle nogi się pod nim ugięły - przypomniał sobie rozstanie z Carlą. Odbyło się w ten sam sposób: nieoczekiwanie, bez powodu. Po prostu któregoś dnia oświadczyła, że chce się rozwieść. Tak jak teraz Danni. Miał tego dosyć. Nigdy więcej! Nie zamierzał padać na kolana przed żadną kobietą, która będzie nim pomiatała i

próbowała go zmienić, która będzie zadzierała nosa i zachowywała się tak, jakby wyświadczała mu ogromny zaszczyt, dopuszczając go do swojego łóża.

- Proszę pani! - zawołała stewardesa, wskazując ręką otwarte drzwi samolotu.

Danni zerknęła nerwowo przez ramię, po czym znów wbiła wzrok w Matta.

- Rób, co chcesz - oznajmił cicho.

Przyłożyła rękę do ucha, jakby w tym strasznym hałasie nic nie słyszała.

- Jeśli chcesz unieważnić - powiedział, podnosząc głos - nie mam nic przeciwko temu. Możemy unieważnić!

Skinąwszy głową, ściągnęła mu z ramienia torbę, wbiegła po schodkach i zniknęła w czeluściach samolotu, zanim nawet miała czas się zastanowić, co znaczą słowa Matta. Zresztą nie chciała się zastanawiać.

Ale podczas długiego lotu do Fort Worth zaczęła rozmyślać o tym, co razem przeżyli, wspominać wspaniałe ciało Matta, jego ręce, ciepłe, silne i czułe, a także oczy, niebieskie, o przenikliwym spojrzeniu.

Po pewnym czasie, kiedy zamknąwszy powieki oparła głowę o fotel, przypomniała sobie, co powiedział na pożegnanie. Że nie ma nic przeciwko unieważnieniu małżeństwa. Zamyśliła się. Czy zatem traktował ich wspólny pobyt na wyspie jako miły, nic nie znaczący romans? I czy po powrocie do domu powinna liczyć się z tym, że znów będzie prowadzić samotny tryb życia?

Matt również wiele rozmyślał podczas lotu do Tulsy.

Pamiętał zapach perfum, jakich Danni używała, pamiętał jej śmiech i jej przyspieszony oddech, kiedy się kochali.

Rozmyślał o tym, jak się poznali. O tym, jaki był ostrożny po rozstaniu z Carlą i jak bardzo bał się kolejnego rozczarowania. O tym, jak poleciał za Danni na koniec świata. O tym, jak wzięli ślub. Psiakość! Po co? Po co? Żeby mogła go odtrącić, jak Carlą?

Różne myśli chodziły mu po głowie, ale na jedno nie wpadł - że Danni może być w ciąży.

## *Rozdział 15*

Skrećając z bulwaru Terwillegera w krętą, stromą drogę prowadzącą do domu matki, Danni czuła dziwny niepokój, który nasilał się z każdą sekundą. Nie była pewna, czego się boi. Może tego, by nie sprawić matce bólu, nie przysparzać jej kolejnych cierpień. Miała bowiem świadomość, że matka już dość się w życiu nacierpiała.

Ponieważ ogrodnik nie zgarnął śniegu, który napadał wczoraj w nocy, zwolniła przy żelaznej bramie oddzielającej posiadłość matki od świata zewnętrznego i resztę drogi pokonała w żółtym tempie.

Od kilku lat, a dokładniej od śmierci ojca, miała w stosunku do matki mieszane uczucia. Z jednej strony ogromnie ją kochała, a z drugiej coraz częściej traciła do niej cierpliwość. Bo matka, choć była szalenie dumna z jej osiągnięć na polu medycyny i nieustannie powtarzała, jaką to córka ma wyczerpującą pracę, jednocześnie oczekiwała, że Danni będzie przyjeżdżać do niej na każde skinienie i uświetniać swoją obecnością wszystkie - ważne i nieważne, duże i skromne - spotkania towarzyskie.

Zaparkowała samochód nie przy głównym wejściu, lecz dalej, przy drzwiach kuchennych, tupnęła kilka razy, żeby strząsnąć śnieg z butów, po czym weszła do środka i wąskim korytarzem ruszyła do kuchni. Skoro nie mogła uniknąć nieprzyjemnej rozmowy, jaka czekała ją z matką, to przynajmniej wolała ją odbyć gdzieś indziej niż w wytwornym salonie.

W kuchni zastała kucharkę Monikę, która mieszała w ogromnym garnku coś, co pachniało niezwykle aromatycznie.

- Cześć, Moniko - rzekła Danni, podchodząc do kuchenki, żeby uściskać starszą kobietę.

- Danni! - Monika uśmiechnęła się, po czym przyglądając się jej uważnie, dodała: - Jesteś trochę blada. - Mówiła z lekkim niemieckim akcentem. - Nie przesadzasz z tą swoją dietą? Może byś coś zjadła? Mogę cię poczęstować pyszną zupą z siedmiu rodzajów fasoli... - Odwróciwszy się do kuchenki, podniosła z garnka



przykrywę i do miseczki ze świeżo ugotowanym ryżem zaczęła nakładać warzącą gęstą zupę.

- Dzięki, Moniko, ale nie teraz. - Danni położyła rękę na ramieniu kucharki, aby ją powstrzymać. Podejrzewała, że ostre fasolowe danie nie jest czymś najbardziej wskazanym w jej obecnym stanie, zwłaszcza że czekała ją trudna przeprawa z matką. - Muszę pogadać z mamą. Nie wiesz, gdzie ją znajdę?

- Oliwię? Kiedy ją ostatni raz widziałam, siedziała u siebie w gabinecie, ze słuchawką przy uchu, robiąc wstępne przygotowania do „Uroków Tulsy”.

- Do „Uroków Tulsy”... - powtórzyła cicho Danni. - Zapomniałam, że te przygotowania matka zaczyna już w styczniu.

- Tak. - Monika skinęła z uśmiechem głową. Olivia z wielkim zaangażowaniem udzielała się społecznie. - To niesamowite, jak dużo jedna osoba potrafi zdziałać.

Nie siedzieć z założonymi rękami - działać! Tak mogłoby brzmieć credo rodziny Goodlove'ów, pomyślała Danni, idąc przez ogromny dom w stronę gabinetu matki, który znajdował się w odległym, północno-wschodnim skrzydle.

Po drodze przystanęła w salonie, aby spojrzeć na portret przedstawiający ją i Lizę, kiedy były jeszcze dziewczynkami; obie miały na sobie białe jak śnieg sukienki z falbankami i obie uśmiechały się promiennie. Patrząc na obraz, po chwili sposepniała. Jaka szkoda, że ten wiek niewinności nie mógł trwać wiecznie! I co za ironia losu, że ona, Danni, popełniła ten sam błąd co Liza! Tyle że ona jest teraz starsza od Lizy, a zatem powinna być mądrzejsza. Czyżby obie były genetycznie obciążone?

- Przepraszam, siostrzyczko - szepnęła, nie odrywając oczu od dziewczynki na portrecie. - Nie sprawdziłam się...

Odwróciła się i pomaszerowała do gabinetu.

- Kto tam? - spytał dźwięczny kobiecy głos, kiedy zapukała do solidnych dębowych drzwi.

- To ja, mamó.

- Danni? Wejdz, kochanie!

Usłyszała najpierw przytłumiony odgłos kroków na dywanie, potem stukot obcasów na parkiecie. Po chwili drzwi się otworzyły i matka chwyciła ją w objęcia.

- Jak to miło, że znalazłaś czas w ciągu dnia, żeby mnie odwiedzić! - zawołała. Uścisnęła córkę tak mocno, że przez moment Danni nie mogła oddychać.

Pani Goodlove była elegancko ubrana, starannie uczesana i umalowana, mimo że przez cały dzień przypuszczalnie nie zamierzała wychylać nosa z domu. Ba, z gabinetu! Zapewne uzgodniła już z Moniką, że lunch zje przy biurku.

Jak zawsze pachniała Aromatics firmy Clinique - były to jedyne perfumy, jakich używała. Wciągając w nozdrza znajomy zapach, Danni poczuła się tak, jakby po długiej nieobecności wróciła na zawsze do domu rodzinnego. Tu była bezpieczna, tu jej nic nie groziło. Matka kochała ją. Z pewnością nie odtrąci córki za to, że zbłądziła i uległa szaleństwu.

- Chodź - powiedziała starsza pani. - Poproszę Monikę, żeby przyniosła nam kawę i ciastka do salonu.

Danni rozejrzała się po gabinecie matki, po ścianach pełnych książek i ogromnym biurku, na którym wszystko leżało równo, w idealnym porządku. Za biurkiem znajdowały się dwa duże okna z widokiem na zaśnieżony ogród. Po obu stronach kominka, w którym płonął ogień, stały dwa wygodne fotele.

- Nie, mam. Wolałabym tu zostać, w twoim gabinecie. Nie mam ochoty na kawę, zresztą czasu też mam niewiele, a chciałabym powiedzieć ci coś ważnego. - Po chwili wskazała na potężny stos zaproszeń, przypuszczalnie na jakąś kolejną imprezę charytatywną. - Przepraszam, że ci przeszkadzam w pracy.

Olivia Goodlove zmarszczyła czoło; obdarzona niezwykłą intuicją czuła, że córka ma jakiś problem.

- Praca może spokojnie poczekać - rzekła, przyglądając się Danni z uwagą. - Zdejmij płaszcz i usiądźmy.

Pomogła córce się rozebrać, powiesiła jej płaszcz na oparciu krzesła, po czym usiadły - twarzą do siebie, profilem do kominka. Na fotelu matki leżał jedwabny szal. Owinęła go sobie wokół ramion.

- No dobrze. Mów.

Na twarzy Danni pojawił się smutny uśmiech. Świat Olivii był taki spokojny, taki uładzony i uporządkowany; nie chciała go burzyć. Popatrzyła na szczupłe nogi matki, na jej wygodne, eleganckie pantofle, na to, jak wdzięcznie się prezentowała,

gdy owinięta szalem siedziała lekko pochylona w bok. Nie, nie chciała burzyć matce ładu, ale wiedziała, że nie ma sensu zwlekać, bo to nic nie da, a może jedynie pogorszyć sytuację.

- Mamo... - Skierowała wzrok na ogień buzujący w kominku; nie miała odwagi patrzeć matce w oczy. - Jestem w ciąży.

Olivia Goodlove wciągnęła gwałtownie powietrze, szybko jednak wzięła się w garść i głosem całkiem opanowanym spytała:

- Czy to pewne? Może się mylisz?

Danni ponownie się uśmiechnęła, tym razem z lekkim pobłażaniem.

- Nie mylę się, mamo. Bądź co bądź jestem lekarzem. W dodatku położnikiem.

- Ale... ale jak to się mogło stać?

- Zwyczajnie, mamo - odparła sarkastycznie Danni, ale zaraz pożałowała swojego tonu.

W końcu to ona ponosi odpowiedzialność za swoje życie. To ona przez własną niefrasobliwość narobiła sobie kłopotów. Matka nie jest niczemu winna.

- Danielle! - Pani Goodlove nie kryła zdumienia. - Jestem zaskoczona! Nawet nie wiedziałam, że się z kimś spotykasz.

- Bo... bo właściwie się nie spotykam.

Nie chciała prowadzić długiej rozmowy ani wdawać się w szczegóły; chciała jedynie poinformować matkę o ciąży i stłumić w zarodku jej chroniczną potrzebę naprawiania wszystkiego, co odbiega od ideału.

Bowiem tego, co się stało, nie można było w żaden sposób zmienić czy naprawić. Można było tylko zaakceptować. Danni pogodziła się już z myślą, że będzie miała dziecko i będzie je samotnie wychowywać. Pierwszą próbę ciążową zrobiła kilka dni po powrocie z Saint Martin - w tym czasie Matthew ani razu się do niej nie odezwał, ani razu u niej nie pojawił. Kiedy okazało się, że wynik jest pozytywny, przez godzinę krążyła po gabinecie, nie zwracała uwagi na zapadający mrok, nie zapalała światła, myślała jedynie o tym, czy podnieść słuchawkę i do niego zadzwonić, czy tego nie robić.

Postanowiła uzbroić się w cierpliwość i zaczekać. Toteż czekała. Przez cały okres świąteczny siedziała samotnie w swoim pustym, pięknie udekorowanym domu i czekała.

Jeżeli Mattowi naprawdę na niej zależy, powinien wykonać pierwszy krok. Nie zamierzała mu się narzucać ani na siłę próbować go przy sobie zatrzymać tylko dlatego, że nie miała dość rozumu, by zabezpieczyć się przed niepożądaną ciążą. Zarabiała wystarczająco dobrze, aby polegać wyłącznie na sobie; nie potrzebowała niczyjej pomocy.

Miała jednak świadomość, że nie będzie jej łatwo.

Po kilku ciągnących się w nieskończoność sekundach podniosła wreszcie wzrok i popatrzyła matce w oczy. Ujrzała w nich konsternację i ból, a także niedowierzanie. Bo to, że Danni - nie mając męża ani nawet narzeczonego - zajdzie w ciążę, było ostatnią rzeczą, jakiej Olivia Goodlove spodziewała się po córce.

- Ta ciąża to wynik romansu, mamó. Trwającego tydzień romansu na Karaibach.

Olivia jakby zapadła się głębiej w fotelu. Jej idealnie umalowana twarz pozostała piękna mimo półotwartych ust i szeroko otwartych oczu.

- Wtedy w listopadzie? Podczas tej konferencji medycznej? Wdałaś się w romans?

Danni skinęła głową.

- A ten mężczyzna - kontynuowała matka - co to za jeden? Chyba nie... Wesley?

Tym razem Danni potrząsnęła głową.

- Nie, mamó. Nie Wesley.

- Więc kto? Jakiś lekarz?

- Nieważne kto, mamó. Rzecz w tym, że nie nadaje się na męża, a poza tym dość jasno dał mi do zrozumienia, że małżeństwo go nie interesuje. Ostatni raz widzieliśmy się na lotnisku, kiedy wylatywałam z Saint Martin.

- Ale czy... czy go kochasz?

- Słucham? - spytała Danni.

Nie chciała, aby rozmowa przybrała taki obrót. Chciała poinformować matkę o ciąży, przygotować ją psychicznie do tego, że za kilka miesięcy zostanie babcią.

- Pytam, czy go kochasz?
- Ledwo go znam - odparła wymijająco.
- Aha. Więc to było zauroczenie erotyczne?

Sposób, w jaki Olivia sformułowała pytanie, sprawił, że Danni uśmiechnęła się w duchu.

- Chyba można to tak nazwać - rzekła, zamykając oczy.

Przypomniała sobie, jak leżeli na plaży pod osłoną nocy, pieszcząc się i kochając. Właśnie wtedy poczęli dziecko, które teraz nosi w swym łonie.

Jednakże to, co ich łączyło tamtego wieczoru, nie było żadnym zauroczeniem. Raczej przebudzeniem. Zmartwychwstaniem. Te określenia jednak brzmią nazbyt pompatycznie. Zresztą nie jest pierwszą trzydziestokilkuletnią kobietą, która pod wpływem impulsu idzie z mężczyzną do łóżka, potem zaś wmawia sobie, że była w nim zakochana, a on świata poza nią nie widział. Tak czy inaczej swoich uczuć nie zamierzała nikomu zdradzać.

- Na pewno nie była to prawdziwa miłość, jeśli taka w ogóle istnieje.
- Jak to „jeśli istnieje”? - oburzyła się Olivia. - Dobrze wiesz, że istnieje. Całe życie byłaś nią otoczona. Dorastałaś w kochającej się rodzinie.
- Mamo... Tatuś ciągle gdzieś wyjeżdżał w interesach, a ty byłaś stale pochłonięta swoimi sprawami.

Popatrzyła na leżący na biurku stos zaproszeń. Zdawała sobie jednak sprawę, że jest niesprawiedliwa. Matka zawsze ją kochała, bez względu na to, jak bardzo wciągały ją różne akcje charytatywne czy organizowanie spotkań towarzyskich. Danni westchnęła ciężko.

- Czasem mam wrażenie, że tylko jedna osoba w naszej rodzinie naprawdę umiała kochać. Ale to nieważne...
- Ważne, ważne - sprzeciwiła się matka. - Miłość to najważniejsza rzecz w życiu człowieka.
- Mamo, błagam cię. Czy mogłybyśmy nie mówić teraz o miłości? - poprosiła Danni.

Co za ironia losu, pomyślała, zakochać się i z powodu miłości popaść w tarapaty!

Przez długą chwilę matka przyglądała się córce z z troskaniem w oczach.

- Nie cieszysz się, kwiatuszku? Ani trochę? - spytała wreszcie. - Bo przecież to wspaniała nowina! Będziemy mieli w rodzinie dziecko! - Olivia mówiła z coraz większym ożywieniem. - Och, Danni. Tylko pomyśl! Urodzisz słodkie maleństwo!

Pochyliwszy się do przodu, chwyciła córkę za ramiona i potrząsnęła nią delikatnie, jakby chciała ją wyrwać z transu lub zbudzić ze snu.

- Kochanie, sprawiłaś swojej matce wielką radość. Zobaczysz, wszystko się dobrze ułoży! Pomogę ci opiekować się dzieckiem; nie będziesz musiała zawieszać praktyki. Ciocia Hetra i Dottie też chętnie pomogą. No, uśmiechnij się. - Jeszcze raz potrząsnęła córką.

Oczy Danni zaszyły łzami. Matka jest niesamowita. Zawsze wie, co zrobić, żeby było dobrze - nie tylko jak wypada postąpić, ale jak należy się zachować. Dogłębnie wzruszona, Danni nie była w stanie wydobyć głosu. Opuściła głowę i wpatrując się we własne kolana, usiłowała przełknąć łzy.

- Jesteś niezwykła, mamó - szepnęła.

- Skąd! - Olivia Goodlove wyciągnęła rękę i pogładziła córkę po włosach. - Po prostu cię kocham, kwiatuszku. I możesz mi wierzyć, dziecko to żadna tragedia, bez względu na okoliczności...

Ręka na włosach nagle znieruchomiała. Po chwili Olivia ujęła Danni za brodę i uniosła jej twarz.

- Wiem, że myślisz o Lizie i że te wspomnienia są dla ciebie bolesne. Dla mnie również. Ale nadal uważam, że podjęła słuszną decyzję, kiedy postanowiła urodzić dziecko. Jej śmierć nie była przez nikogo zawiniona. Mówiłam ci to tyle razy...

Kiedy matka wymówiła imię Lizy, łzy trysnęły Danni z oczu. Teraz z trudem powstrzymywała szloch. Olivia zacisnęła ręce na ramionach córki.

- Danni! Chyba nie masz zamiaru... postąpić nierozważnie, co? Błagam cię, kochanie, nie rób czegoś, czego będziesz żałować do końca życia!

Nadmiar emocji spowodował, że przez moment Danni siedziała w milczeniu. Przychodząc do domu matki, nie wiedziała, czego się spodziewać; raczej sądziła, że

usłyszy pretensje, wyrzuty, ale na pewno nie oczekiwała zrozumienia. Najwyraźniej nie znała Olivii.

- Och, mammo! - załkała. - Przecież wiesz, że nigdy bym nie pozbyła się ciąży. Oczywiście, że zamierzam urodzić dziecko. Tylko... głupio mi, że sprawiam ci tyle kłopotu. I przepraszam za to, co wcześniej powiedziałam. Byliście, ty i tatuś, dobrymi, kochającymi rodzicami. Słowo daję. Tak mi przykro, że narażam cię na... na...

- Na nic mnie nie narażasz, kochanie. Po prostu dajesz mi wnuka - oznajmiła stanowczym tonem Olivia, po czym objęła córkę.

Danni pochyliła się do przodu i oparła policzek na jej jedwabnym szalu; wciągała w nozdrza zapach perfum, jakby to był balsam o kojącym działaniu.

Przez chwilę Olivia tuliła córkę, wreszcie jednak przerwała ciszę:

- Zapamiętaj to sobie, moja śliczna. Nie narażasz mnie na żadne kłopoty czy przykrości. Dajesz mi tylko jeszcze jeden powód, żebym była z ciebie dumna. Jeszcze jeden powód do radości.

Właśnie takie słowa towarzyszyły Danni przez całe życie, pokrzepiając ją na duchu i dodając jej sił.

## *Rozdział 16*

Matt kręcił się nerwowo. Krzesło było wąskie, niewygodne. Psiakość. Skoro przychodzi tu tyle ciężarnych kobiet, to powinni się postarać i zamówić dla nich krzesła w większym rozmiarze. Rozejrzył się po poczekalni; dzielił ją z sześcioma czy siedmioma paniami o mocno zaokrąglonych kształtach.

Piegowata nastolatka popatrzyła na niego znad pisma, które czytała, i posłała mu promienny uśmiech.

Z czego smarkuła się tak cieszy? - pomyślał z irytacją. Przecież jest za młoda, dużo za młoda, żeby mieć dziecko. Nagle spostrzegł lakier na jej paznokciach. Rany boskie, turkusowy! Po chwili jednak powiódł wzrokiem po jej zniszczonych adidasach oraz spłowiałej dżinsowej koszuli i zrobiło mu się żal dziewczyny. Odwzajemnił jej uśmiech.

Uspokój się, powiedział sam do siebie. Te kobiety pewnie myślą, że czekasz na żonę. Nie masz się co denerwować. Siedź spokojnie i czekaj. Przyszedłeś zobaczyć się z Danni. I tylko to się liczy.

Usiadł wygodniej i usiłował skupić się na stojącym w rogu dużym telewizorze, ale akurat nadawany był program o karmieniu piersią. Czując, jak na twarz występują mu wypieki, przeniósł spojrzenie w bok na bukiet sztucznych kwiatów. Wreszcie wziął ze stolika pismo poświęcone wychowaniu dzieci i udał, że je czyta.

Po powrocie z Karaibów długo zastanawiał się, co robić, i w końcu podjął decyzję: skoro Danni nie chce go w swoim życiu, nie będzie się jej naprzykrzał.

Ale to było trudne.

Co jakiś czas, w najbardziej nieoczekiwanych chwilach - kiedy tankował na stacji benzyny, kiedy się golił przed lustrem, kiedy jadł w samotności lunch - wpatrywał się tępo przed siebie, a przed oczami przewijały mu się niczym na filmie różne scenki z Danni w roli głównej. Najgorsze było to, że czasem słyszał jej śmiech, a także głos, wyraźny, jakby stała tuż obok: „Może popełniliśmy straszny błąd”.

Straszny błąd? W porządku, jeśli to, co ich łączyło, ona chce uznać za błąd... Może ma rację.



Ale kiedy przez kilka tygodni nie widział Danni, nie rozmawiał z nią, nie dotykał jej, a mimo to wciąż nie potrafił o niej zapomnieć, zrozumiał, że to wcale nie był żaden błąd. To Danni się myli, nie on. On już wtedy na Karaibach podejrzewał, że łączy ich miłość, prawdziwa miłość - teraz zaś był o tym święcie przekonany. Jeżeli zaś ona jest tak ślepa, że tego nie widzi...

Powoli zaczęła go ogarniać złość. Dlatego, że Danni go odtrąciła, ale głównie dlatego, że nie powinna była tego robić. Nie powinno się zaprzeczania tego, co dobre i wartościowe. Życie jest zbyt cenne, aby marnować choć jedną chwilę. Zdawał sobie sprawę, że brzmi to jak banał, ale o słuszności tego banału przekonał się na własnej skórze. I zrozumiał, że musi przekonać o tym Danni. Nie wiedział jednak, jak to zrobić.

Któregoś dnia Jackie i Tom, którzy usilnie starali się go rozweselić czy choćby zająć czymś innym, zaprosili go na piwo i wspólne oglądanie filmów. W trakcie wieczoru Jackie niechcący zdradziła mu pewną tajemnicę, która sprawiła, że dosłownie oniemiał ze zdumienia.

Z zadumy wyrwała Matta pielęgniarka w średnim wieku, która zajrzała do poczekalni. Miał wrażenie, że już ją kiedyś widział.

- Matthew Creed? - spytała.

Wstał i bez słowa ruszył za nią.

Szedł korytarzem, mijając kolejne drzwi. Danni nigdzie nie było widać. Wnętrze lśniło czystością, ściany były pomalowane na jasne, pastelowe kolory, z głośników sączyła się spokojna, klasyczna muzyka. Podejrzewał, że błogi nastrój, jaki tu panuje, w sam raz odpowiada potrzebom kobiet w ciąży.

Pielęgniarka wprowadziła Matta do gabinetu lekarskiego i wskazała kozetkę, następnie zamknęła drzwi i zmarszczyła czoło, patrząc na wypełniony formularz, który jej wręczył. Podrapała się długopisem po szpakowatej głowie, po czym wetknęła długopis za ucho.

Matt spojrzał na plakietkę, którą miała przypiętą do fartucha. Carol Hollis. Na pewno już ją kiedyś widział, ale nie pamiętał, kiedy ani gdzie.

- Słucham pana? Czym możemy panu służyć?

- Hm... Tak jak tu napisałem, kilka miesięcy temu doktor Goodlove założyła mi szwy. Miałem poharatane ramię. Jestem strażakiem i brałem udział w akcji ratunkowej... Chodzi o to, że nagle zaczęło mnie pobołować. - Podniósł rękę i pomasaował „obolałe” miejsce. - Pewnie pani doktor zostawiła w środku jakiś okruch szkła albo inny śmieć. Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie, jeśli sama obejrzy...

Siostra Hollis zasepiła się.

- To bardzo dziwne - powiedziała. - Raczej się nie zdarza, żeby doktor Goodlove cokolwiek przeoczyła. Ale ma pan rację, na pewno będzie chciała pana obejrzeć. Proszę zdjąć koszulę.

- Słucham?

- Trzeba obejrzeć ramię.

- No tak.

Kiedy odpinał flanelową koszulę, siostra Hollis podała mu termometr, który po chwili wydał ciche pyknięcie, następnie zmierzyła mu tętno i ciśnienie.

- Temperatury nie ma - oznajmiła rześko. - Puls i ciśnienie w normie.

Zaczęła uciskać ramię, które parę miesięcy temu doznało obrażeń i wymagało założenia dwudziestu kilku szwów, a na którym teraz trudno było doszukać się śladów blizny. Nic dziwnego; jak powiedziała pielęgniarka na ostrym dyżurze: „Zszywa pana prawdziwa mistrzyni”. Nagle coś Matta tknęło... O psiakrew! Skojarzył sobie, kiedy i gdzie widział siostrę Hollis! To ona jest tamtą pielęgniarką!

W pierwszej chwili zląkł się, ale potem uznał, że przecież nic mu nie może zrobić. Miałyby go wyrzucić za to, że flirtował z Danni na ostrym dyżurze?

Przygląda mu się jakoś podejrzliwie. Czy wie, że on i Danni spotkali się kilka razy poza szpitalem? Że byli razem na Karaibach? Czy... czy jest we wszystko wtajemniczona?

- Doktor Goodlove zaraz do pana przyjdzie - powiedziała, po czym zniknęła, zamykając za sobą drzwi.

Czekał, drżąc z niecierpliwości. Nie mógł wytrzymać na kozetce, więc podszedł do okna. Stał rozebrany, z rękami skrzyżowanymi na piersi, spoglądając w dół na ulicę, kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju weszła szybko Danni. Tuż za nią wpadła drobna rudowłosa pielęgniarka.

- Panie Creed... - rzekła Danni, zerkając na wypełniony formularz. Nie uśmiechała się, nie patrzyła mu w oczy, nie zwracała się do niego po imieniu.

Zauważył, że od wyjazdu z Karaibów włosy odrosły jej na tyle, że mogła je zapleść w króciutki warkocz i że troszeczkę przytyła - ale to było do przewidzenia, jeżeli Jackie mówiła prawdę. Pod rozpiętym fartuchem miała na sobie długą, luźną sukienkę w kwiecisty deseń. Wyglądała równie pięknie jak w jego wspomnieniach. A nawet jeszcze piękniej.

- O co chodzi? - Zmarszczywszy czoło, przerzucała spięte razem strony formularza, jakby czegoś szukała, lecz nie mogła znaleźć. - „Czy coś panu dolega?

Westchnął głęboko. No dobra. Okazuje mu wrogość. Nie miał najmniejszego pojęcia dlaczego, ale nie zamierzał się poddać.

- Tak - odparł. - Odczuwam ból...

Specjalnie zniżył głos, chcąc ją zmusić do tego, aby uniosła wzrok znad kartek. Kiedy to uczyniła, popatrzył na nią wymownie.

- Czy moglibyśmy zostać sami? - rzekł cicho.

Danni zacisnęła usta i lekko zmrużyła oczy, po chwili jednak skinęła głową.

- Becky - zwróciła się do pielęgniarki - bądź tak miła i przygotuj Lindsey Webber do usg.

Siostrze Becky nie trzeba było dwa razy powtarzać; wybiegła szybko z gabinetu.

- Co za numery mi tu odstawiasz? - spytała gniewnie Danni, kiedy tylko drzwi się za Becky zamknęły.

Matt wzruszył ramionami.

- Próbowałem wszystkich sposobów, żeby się z tobą zobaczyć. Nie odpowiadałaś na moje telefony. Musimy porozmawiać, Danni.

- Nie mamy o czym. Przeżyliśmy razem kilka miłych chwil. Sympatyczny romans i nic więcej. Potem się rozstaliśmy. To wszystko.

- To wszystko? A dziecko? Co z naszym dzieckiem? Danni otworzyła szeroko oczy i zbladła. Przytrzymując się ręką szafki, usiadła na stołeczku.

Przez ułamek sekundy gniew Matta złagodziała troska, ale potem, widząc, że nic złego się Danni nie dzieje, dał wyraz swemu oburzeniu:

- Nawet jeśli dla ciebie to był tylko sympatyczny romans i nic więcej, nawet jeśli uważasz, że nie dorastam ci do pięt, to jednak, skoro nosisz moje dziecko, bądź łaskawa zejść ze swojego piedestału. Musimy wszystko przedyskutować.

- Skąd... od kogo się dowiedziałeś? - wyszeptała, wpatrując się w kozetkę.

- Czy to znaczy, że nie zamierzałaś mnie powiadomić? Podniosła głowę.

- Nie ma takiego prawa, które by mi nakazywało...

- Ale powinno być! Niech to szlag trafi, Danni! - krzyknął rozgniewany. -

Chciałbym ci przypomnieć, że jesteśmy małżeństwem!

- Nie żartuj. Sam dobrze wiesz, że takie z nas małżeństwo jak...

- A uczucie? A miłość? A to, co nas łączyło? Nie wierzę, że mogłabyś tak bez powodu się ode mnie odwrócić. Powiedz, co ci zrobiłem? Dlaczego odeszłaś? Jesteś mi winna słowo wyjaśnienia.

Obronnym gestem skrzyżowała ręce na piersi.

- Nic ci nie jestem winna, Matt. Nic a nic. Wystarczy, że zaszłam w ciążę z mężczyzną, którego prawie nie znam...

- No właśnie - przerwał jej. - Jesteś w ciąży. Ze mną. To moje dziecko nosisz w sobie. Psiakość, mam ochotę podać cię do sądu, oskarżyć o...

Danni poderwała się na nogi.

- A ja mam ochotę wyrzucić cię stąd natychmiast! Jak śmiesz przeszkadzać mi w pracy? Jak śmiesz przychodzić do mojego gabinetu, denerwować mnie, domagać się wyjaśnień, wysuwać jakieś żądania, kiedy tam siedzą ciężarne kobiety - wskazała ręką w kierunku poczekalni - które potrzebują mojego serca i uwagi!

Matt dźgnął palcem w swój nagi tors.

- Kobieto, zrozum! Ja też potrzebuję twojego serca i uwagi! A nasze dziecko potrzebuje obu naszych serc! Potrzebuje ojca i matki!

Wyrzucił ręce w powietrze. Gdzie się podziała ta cudowna, wrażliwa, kochająca kobieta, z którą spędził tydzień na Saint Martin?

Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wpadła zdyszana rudowłosa pielęgniarka.

- Pani doktor! - wysapała. - Lindsey ma napad rzucawki!

Danni wybiegła na korytarz; poły jej fartucha trzepotały niczym skrzydła, gdy tak pędziła przed siebie. Matt, zapominając o koszuli, biegł za nią.

Piegowata nastolatka, która kilka minut temu uśmiechnęła się do niego przyjaźnie, skręcała się teraz z bólu na dywanie. Twarz miała spuchniętą, czerwoną jak burak, szczęki zaciśnięte, oczy wywrócone białkami do góry. Otaczała ją grupka wystraszonych kobiet. Dwie pielęgniarki zaczęły odsuwać je na bok, żeby Danni miała swobodny dostęp do młodej pacjentki. Carol Hollis klęczała na podłodze, pilnując, by miotająca się dziewczyna przypadkiem nie uderzyła się ręką czy nogą w brzuch.

Kucnąwszy naprzeciwko Carol Danni uniosła głowę Lindsey, obejrzała jej źrenice, po czym poprosiła o strzykawkę, valium i krępilec. Najwyraźniej spodziewano się takiej prośby, bo wymienione rzeczy natychmiast się pojawiły. Podczas gdy Carol przytrzymywała rękę pacjentki, Danni wbiła igłę w żyłę i spytała cicho, czy wezwano karetkę.

- Tak - padła odpowiedź.

- Shannon... - Danni zwróciła się do jednej ze swoich pracownic - uprzedź strażnika na parking. Niech otworzy bramę i pilnuje, żeby nikt nie blokował wyjazdu.

Matt, który z racji zawodu i odbytych kursów pierwszej pomocy doskonale potrafił sobie radzić w sytuacjach kryzysowych, obserwował z boku poczynania Carol i Danni, starając się im nie wchodzić w drogę.

- Trzeba podłączyć ją do kroplówki - powiedziała Danni, kiedy skończyła robić dziewczynie zastrzyk uspokajający. - Becky - zwróciła się cicho do pielęgniarki - zgaś światła, zaciągnij zasłony i wyłącz telefon. Lepiej, żeby nic nie spowodowało kolejnego napadu.

Carol ujęła drugie ramię dziewczyny i szybko podłączyła kroplówkę. Danni tymczasem włożyła do uszu stetoskop, drugi koniec przytknęła do klatki piersiowej Lindsey. Przez chwilę słuchała pracy serca, następnie podciągnęła jej koszulę i opuściła spodnie. Delikatnie obmacała brzuch dziewczyny, potem podniosła lewą rękę; nie musiała nic mówić - natychmiast podano jej sondę. W tym czasie jedna z pielęgniarek posmarowała odsłonięty brzuch niebieskawym żelem.

- Ciii, nie przeszkadzajmy pani doktor - rzekł Matt do grupki podenerwowanych kobiet, które nerwowym szeptem wymieniały między sobą uwagi.

W poczekalni zaległa cisza, którą po chwili przerwał szybki, miarowy dźwięk - bicie serca małej istotki zwiniętej w brzuchu matki.

- Wydaje się, że dziecku nic nie dolega - oznajmiła Danni. Z gardła stojącej obok ciężarnej pacjentki wyrwał się stłumiony szloch; Matt pomógł jej przejść kilka kroków i usiąść na krześle. Recepcjonistka poprosiła pozostałe pacjentki, aby również przeszły na drugą stronę poczekalni.

- Kelly, odwołaj moje wizyty - poleciła jej Danni. - Wszelkie pilne sprawy kieruj do gabinetu doktora Stone'a.

- Dobrze, pani doktor. - Recepcjonistka natychmiast wzięła się do pracy.

Wkrótce zjawilo się pogotowie. Danni błyskawicznie wydała sanitariuszom polecenia, po czym, nie patrząc na Matta, zupełnie jakby zapomniała o jego obecności, wsiadła do karetki i odjechała z pacjentką.

Kiedy w poczekalni ponownie zapadła cisza, Matt - zamiast wrócić do gabinetu lekarskiego i włożyć z powrotem koszulę - usiadł pod ścianą; z jakiegoś powodu czuł się tak przybity, tak poruszony tym, co widział, że prawie miał ochotę się rozplakać.

Dlaczego? Może dlatego, że jego Danni - właśnie tak o niej myślał, jego Danni - również jest w ciąży? Może dlatego, że żadna z obecnych w poczekalni osób o tym nie wie? Że nikt nie martwi się o jej stan zdrowia, nie zastanawia się nad tym, jak stres związany z ratowaniem komuś życia może wpływać na jej samopoczucie, a zatem i na rozwój dziecka?

Przez trzy następne dni, od wstania rano z łóżka do pójścia wieczorem spać, Danni myślała wyłącznie o Lindsey Webber. Na niczym innym nie mogła się skupić. Wszystko robiła automatycznie - połykała jedzenie, brała prysznic; wprawdzie przyjmowała pacjentki, badała je i nawet odebrała dwa porody, lecz myślami nieustannie była przy Lindsey. Strach, rozpacz, przygnębienie nie opuszczały jej ani na chwilę. Stan Lindsey pogarszał się z godziny na godzinę, a dziewczyna miała dopiero osiemnaście lat.

Danni wezwała neurologa i neurofarmakologa. Lekarze na oddziale intensywnej opieki robili wszystko, żeby uratować dziewczynę, ale ich wysiłki okazały się daremne. Lindsey zmarła, jej dziecko również.

Do Danni należał przykry obowiązek powiadomienia o tragedii rodziców dziewczyny i jej męża, chłopaka z młodzieńczym trądzikiem na twarzy.

Uczyniwszy to, wróciła do domu, a potem przez całą noc przewracała się z boku na bok. Nie mogła zasnąć, gorzki smak porażki raz po raz podchodził jej do gardła.

Olivia Goodlove zjawiła się w domu córki nazajutrz rano, akurat kiedy Jackie parzyła kawę.

- Chciałam, żeby Danni wyspała się, zanim z nią porozmawiam - wyjaśniła, zdejmując najpierw rękawiczki, potem płaszcz i podając je Jackie. - Powinna niedługo wstać, prawda? Bo dziś normalnie pracuje...

- Tak, proszę pani - odparła Jackie, ostrożnie wieszając na wieszaku płaszcz pani Goodlove.

Matka Danni zawsze wzbudzała w niej trwogę. Rzadko odwiedzała córkę, ale kiedy już to robiła, wpadała znienacka, bez uprzedzenia. W odczuciu Jackie jej nieoczekiwane najście bardziej przypominało wizytację niż wizytę, zwłaszcza gdy odbywało się o szóstej rano. I zwłaszcza gdy Olivia Goodlove była elegancko ubrana i starannie umalowana, a ona, Jackie, miała na sobie powyciągany dres z rysunkiem Myszki Miki i wielkie włochate kapcie na nogach.

- Pani doktor bierze prysznic. O siódmej chce być w szpitalu. Wspomniała coś o tym, że dwóm pacjentkom trzeba wywołać akcję porodową. Czy życzy sobie pani, żebym powiesiła jej szal?

Czy życzy sobie pani... Tylko w obecności Olivii Goodlove Jackie używała takich zwrotów.

Olivia potrząsnęła głową i owinęła się ciasniej.

- Nie, nie trzeba - powiedziała. - Zrobiło się strasznie zimno. W dodatku przed chwilą zaczął padać deszcz ze śniegiem. Biedna Danni. Miałam nadzieję, że zdoła trochę odpocząć po tym, co... co się stało.

- Niestety.

- Muszę z nią porozmawiać. Przygotuj jej śniadanie, coś ciepłego i pożywne, i przynieś do sypialni. Dla mnie samą kawę z mlekiem.

- Dobrze, proszę pani.

Słyszając szum leżącej z prysznicza wody, Olivia Goodlove zastukała do drzwi łazienki.

- Danni, to ja. Mama. Przyszłam zjeść z tobą śniadanie. Kilka minut później Danni wyłoniła się z łazienki, w starym różowym szlafroku i z ręcznikiem na głowie.

- Mamo, co ty tu robisz? - spytała zdziwiona. - Czy coś się stało?

Olivia, która stała pochylona nad przyniesioną przez Jackie tacę, wyprostowała się i aż pokręciła głową na widok córki.

- Och, kochanie, źle wyglądasz - powiedziała cicho. - Jesteś niewyspana, przemęczona...

- Tylko nie zacznij się nade mną użalać. Kobiety w ciąży bywają zmęczone i już. Taki ich los. - Przeszła przez sypialnię i ucałowała matkę na powitanie, starając się ją przekonać, że naprawdę nic jej nie dolega. - Co tu robisz? - powtórzyła, patrząc na śniadanie z taką odrazą, jakby na sam widok jedzenia ogarniały ją mdłości.

- Wczoraj późnym wieczorem zadzwoniła do mnie Carol Hollis. Pewnie uznała, że po tym, co się wczoraj wydarzyło, mogę ci być potrzebna. - Olivia w jednej ręce trzymała bułkę, w drugiej nóż, który wcześniej zanurzyła w pojemniczku z topionym serem. Teraz odłożyła wszystko na tacę i rozpostarła ramiona. - Chciałabym ci jakoś pomóc. Danni rzuciła się w objęcia matki.

- Och, mamo! - załkała i zanurzyła twarz w znajomym jedwabnym szalu okrywającym matczyne ramiona.

Przez chwilę stały tak bez ruchu - córka, która nie była w stanie wydobyć z siebie słowa, i matka, która cierpliwie czekała.

Wreszcie Danni uniosła głowę i popatrzyła matce w oczy.

- Carol nawet nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo śmierć tej dziewczyny mną wstrząsnęła. - Odwróciła twarz. - Nie wie o Lizie. Nigdy nikomu o niej nie mówiłam.

Olivia pogładziła córkę po włosach.

- To musiał być dla ciebie prawdziwy koszmar - powiedziała kojąco. - Całą noc potwornie się o ciebie martwiłam. Wyobrażam sobie, co czułaś przez te ostatnie trzy dni...

Danni odetchnęła głęboko; drżała na całym ciele.



- Ona była taka młoda, mamó. I taka miła. Lindsey. Lindsey Webber. Nawet jej imię brzmi podobnie do Lizy.

Olivia zacisnęła dłonie na ramionach córki.

- Właśnie czegoś takiego się bałam. Że którąś z twoich pacjentek spotka teraz to co Lizę. I że odżyją w tobie tamte wspomnienia. Słuchaj, kochanie, nic nam Lizy nie przywróci, ale nie wolno nam się zadrećzać jej śmiercią. Podobnie jak w wypadku Lindsey, nic nie mogło Lizy uratować. Musisz w to uwierzyć.

Danni pokręciła głową.

- Mylisz się, mamó. Wiedziałam, że Liza spotyka się z Jakiem. Wiedziałam, gdzie chodzą i co robią. Mogłam wam o tym powiedzieć, tobie i tacie. Ale nie chciałam być donosicielką.

- Naprawdę uważasz, że ty, czternastoletnie dziecko, mogłabyś cokolwiek zmienić? Na cokolwiek wpłynąć?

- Sama nie wiem. Ale dlatego zostałam lekarzem. Żeby innym pomagać. Żeby... - Danni westchnęła. - Przynajmniej tak mi się dotąd wydawało. Teraz sama już nie jestem pewna.

Olivia zacisnęła ręce jeszcze mocniej na ramionach córki.

- Przestań, Danni. Przestań. Wszystkim lekarzom, nie tylko kardiologom i onkologom, ale również położnikom, zdarza się czasem stracić pacjenta. Pomyśl jednak, ilu ludzi zawdzięcza ci życie! Pomyśl, ile dobrych uczynków masz na swoim koncie, ilu osobom zdołałaś pomóc!

Danni potrząsnęła bezradnie głową.

- Ciągle się zastanawiam: a może coś przeoczyłam? Może Lindsey by żyła, gdybym zrobiła coś inaczej? - Uwolniła się z objęć matki i zaczęła przemierzać pokój.  
- Ostatnio byłam tak pochłonięta własnymi sprawami... Biedna Lindsey. Napad rzucawki to najcięższa postać gestozy. Była pod moją stałą kontrolą. Boże, mamó! Ona przyszła z wizytą, siedziała w poczekalni, chciała się ze mną zobaczyć, a ja w tym czasie byłam w gabinecie i kłóciłam się z Mattem!

- Z Mattem? Kto to?

Danni podniosła głowę i popatrzyła na matkę, z przerażeniem uświadamiając sobie, że niechcący zdradziła imię swojego kochanka. Olivia postąpiła krok w stronę córki, potem spytała cicho:

- Kto to? Ojciec twojego dziecka?

Danni milczała. Olivia chwilę odczekała, po czym odchrząknęła i ponownie zwróciła się do córki:

- Mogłabyś mi przynajmniej wyjawić jego imię i nazwisko. Bądź co bądź chciałabym wiedzieć, kto jest ojcem mojego wnuka.

Danni czuła się zbyt zmęczona, by dłużej walczyć z matką. Skoro tak bardzo jej na tym zależy...

- Creed - szepnęła, spuszczać głowę. - Ojciec dziecka nazywa się Matthew Creed.

## *Rozdział 17*

Śnieg, który spadł po południu, powoli zaczął topnieć, ale wieczorem znów chwycił mróz i rozpełtała się kolejna zamieć. Podobnie jak większość miast na południowym zachodzie Stanów, Tulsa nie miała odpowiedniej ilości ciężkiego sprzętu do walki z nieoczekiwanym atakiem zimy, toteż rankiem następnego dnia, kiedy Olivia Goodlove wezwała Matthew Creeda do swojego domu przy bulwarze Terwillegera, ulice były pokryte grubą warstwą lodu.

Chcąc nadrobić czas spędzony na Karaibach, Matt pracował bez wytchnienia, przez trzy zmiany z rzędu. Dwudziestoczworogodzinny maraton polegający na stałej gotowości bojowej był niezwykle wyczerpujący fizycznie i psychicznie.

Tego ranka po skończonym dyżurze wziął prysznic w budynku straży; kiedy o wpół do ósmej zakręcił wodę i wyszedł z kabiny, jego przyjaciel Tom z wyraźną niechęcią w głosie powiadomił go o telefonie od Olivii Goodlove.

- Mamuśka chce, żebyś ją odwiedził. Cholera! Musiała sobie wybrać tak paskudną pogodę?

- Fakt, ale może dzięki niej uda mi się jakoś dotrzeć do Danni? - powiedział Matt, wciągając spodnie. - Codziennie wydzwaniam, zostawiam wiadomości na pagerze, a ona nic. Nie reaguje. Co mam do stracenia?

- Życie! Nie spałeś od dwudziestu czterech godzin, a ulice są oblodzone!

- Jak tylko wrócę, natychmiast pójdę spać - obiecał Matt, zapinając koszulę.

- Jeśli koniecznie chcesz jechać, przynajmniej weź mojego dzipa. Ma lepsze hamulce. - Rzucił kluczyki na pryczę Matta.

Rezydencję Olivii Goodlove oddzielał od ulicy wysoki żywopłot oraz niski kamienny murek. Kiedy Matt dotarł na miejsce, zrozumiał, dlaczego pani Goodlove zdecydowała się wezwać go na rozmowę, nie zważając na paskudną pogodę. Przypuszczalnie nie zdawała sobie sprawy ze stanu dróg, bowiem cały podjazd prowadzący do jej domu oraz wszystkie chodniki na terenie posiadłości były oczyszczone ze śniegu i kompletnie suche.

No tak, pomyślał, skręcając za kępą wiekowych drzew rosnących na stromym wzgórzu, na szczycie którego stał olbrzymi murowany dom; bogacze pewnie nawet nie muszą wydawać służbie poleceń. Służba sama wie, że kiedy pada śnieg, należy go odgarnąć.

Przez całą drogę zastanawiał się, dlaczego matka Danni postanowiła go zaprosić na rozmowę. Czego chciała? Zmusić go, by przyjął odpowiedzialność za swoje czyny? Próbowałem, proszę pani, naprawdę próbowałem. Ofiarować mu pieniądze w zamian za to, aby znikł z życia jej córki? Nie zamierzał brać od niej forsy. Przekonać się na własne oczy, kim jest ojciec jej pierwszego wnuka? Popatrzył na swoją wytartą kurtkę, znoszone dżinsy, porysowane kowbojskie buty. Jestem strażakiem, proszę pani, prostym strażakiem.

Ciekaw był, co powodowało panią Goodlove, ale jeszcze bardziej był ciekaw, co powodowało nim samym: dlaczego zgodził się złożyć jej wizytę. Cięża Danni dotyczyła wyłącznie dwóch osób: jego i Danni. To było ich dziecko, niczyje więcej. Lepiej żeby pani Goodlove pamiętała o tym. W razie czego nie zawaha się jej o tym przypomnieć.

Zaciągnął hamulec ręczny, wysiadł z wozu, zatrzasnął drzwi i przez chwilę stał na podjeździe, podziwiając okazały dwupiętrowy dom. Portyki, balkony, wieżyczki. Boże!

Więc tu się Danni wychowała, tu dorastała. Wśród przepychu, w luksusie. Na miłość boską, dlaczego ktoś taki jak ona zgodził się umówić na randkę z takim facetem jak on?

W jednym z okien na piętrze dostrzegł jakiś niewyraźny ruch, jakby ktoś stał za zasłoną i obserwował go z góry. Mimowolnie dotknął róna swego starego kowbojskiego kapelusza i wyprostował ramiona. Miał wrażenie, jakby kurtka nagle przestała go chronić przed zimnem.

Co Danni w nim widziała? Czym ją zainteresował? Może po prostu chciała przeżyć przygodę? W porządku, nie ma nic przeciwko przygodom, ale wróciła z Karaibów bogatsza nie tylko o wspomnienia. Kłopot w tym, że on, Matt, nie potrafił zapomnieć o tej małej istotce, która rosła w niej. Zresztą o Danni też nie.

Skierował się po szerokich schodach do drzwi i nacisnął dzwonek domofonu.

- Słucham? - spytał po chwili kobiecy głos.

- Matthew Creed do pani Olivii Goodlove.

Po paru sekundach drzwi się otworzyły, ukazując szczupłą kobietę o jasnych włosach zaczesanych w kok.

- Pani Goodlove?

- Nie. Jestem Monika. Gospodyni pani Goodlove. Matt poczuł, jak czerwienieje. No oczywiście. Bogacze

mają służbę, która nie tylko odgarnia śnieg, ale i otwiera drzwi.

- Proszę, niech pan wejdzie.

Zaprowadziła go na koniec długiego holu, który - jak Matt podejrzewał - był większy niż całe jego mieszkanie, następnie wzięła od niego kurtkę oraz kapelusz i wskazując na stojącą pod ścianą ławę, poprosiła, by zechciał chwilę poczekać.

Siedział, słuchając tykania dużego, staroświeckiego zegara. Starał się nie denerwować. Potarł palcem zaczerwienioną bruzdę na czole odcisniętą przez kapelusz, potem kilka razy przeczesał ręką włosy, ale nie przejrzał się w ogromnym lustrze, które wisiało tuż za nim.

- Pan Creed?

Z końca długiego foyer wyłoniła się niezwykle elegancka i urodziwa kobieta; idąc, wyciągnęła na powitanie szczupłą, ozdobioną biżuterią dłoń. Drobną, smukłą, o jasnych włosach, bladej cerze i wąskich ustach, miała w sobie coś niemal ptasiego. Danni miała podobnie zarysowane kości policzkowe i takie same zielone oczy. Ubrana była w spódnicę i żakiet z najlepszej gatunkowo wełny oraz w doskonałej jakości skórzane czółenka.

- Dzień dobry. Jestem Olivia Goodlove - przedstawiła się.

Dlaczego, przemknęło Mattowi przez myśl, wszystkie dobrze urodzone, bogate Amerykanki mówią takim samym niskim, gardłowym głosem Lauren Bacall, żony świętej pamięci Humphreya Bogarta?

- Dziękuję, że zechciał się pan tu pofatygować. I dlaczego zawsze wiedzą, jak się zachować? Olivia Goodlove uściśnęła jego rękę.

Chyba wypada, żebym coś powiedział, pomyślał Matt. Ale co?

- Miło mi panią poznać - mruknął pod nosem, choć prawdę rzekłszy, wcale nie marzył o tym spotkaniu.

- Może przejdziemy do biblioteki? Monika przygotowała tam dla nas kawę i ciastka.

Skinął głową.

- Dobrze. Ruszyła przodem.

Z początku panowała niezręczna cisza. Podczas gdy gospodyni nalewała kawę ze srebrnego dzbanka, Matt rozglądał się po pokoju. W ogromnym kamiennym kominku płonął ogień. Ciekawe, jak często Olivia Goodlove wzywa kogoś do czyszczenia kominów? Ludzie zazwyczaj nie pamiętają o takich rzeczach.

Popijał kawę, przyglądając się matce Danni znad cieniutkiej porcelanowej filiżanki. Nie sprawiała wrażenia, jakby była wrogo do niego nastawiona.

- No tak - powiedziała, sięgając po spodeczek i filiżankę. - Pewnie się pan zastanawia, dlaczego pana zaprosiłam?

Matt skinął głową, odruchowo marszcząc czoło.

- Otóż Danielle zdradziła mi, że jest pan ojcem jej dziecka. Po krótkim namyśle uznałam, że powinniśmy się poznać, wyjaśnić sobie pewne sprawy, dojść do jakiegoś w miarę satysfakcjonującego porozumienia.

Do jakiegoś w miarę satysfakcjonującego porozumienia? Ciekaw był, co matka Danni ma na myśli? Ale siedział cicho. Już dawno temu przekonał się, że lepiej nie zadawać pytań; prędzej czy później ludzie sami powiedzą, o co im chodzi.

- Najpierw... proszę mi wybaczyć obcesowość, panie Creed, ale od czegoś trzeba przecież zacząć, prawda? Otóż najpierw chciałabym wiedzieć, czym się pan zajmuje?

- Jestem strażakiem.

- Strażakiem? To fascynujące!

Miał wrażenie, że jej uśmiech jest nieco sztuczny, jakby trochę wymuszony. Zastanawiał się, co Olivia Goodlove tak naprawdę sądzi o zawodzie strażaka.

- Gdzie pan poznał moją córkę?

- Na ostrym dyżurze. Miałem poharatane ramię wymagające założenia szwów.

Danni wykonała kawał doskonałej roboty.

Na ustach pani Goodlove ponownie zawitał uśmiech, tym razem szczery. Matt domyślił się, że jest dumna z zawodowych osiągnięć córki.

- A potem?

- Potem Danni zadzwoniła do mnie i zaproponowała spotkanie.

Uśmiech rozjaśniający twarz Olivii Goodlove lekko przybladł - przypuszczalnie w jej sferach nie było przyjęte, aby kobieta dzwoniła do mężczyzny, proponując mu randkę - ale po chwili znów stał się promienny.

- Mój Boże, ciągle zapominam, jak bardzo czasy się zmieniły, odkąd ja byłam młodą kobietą - rzekła gospodyni.

- A więc zaczęliście się regularnie spotykać, potem zakochaliście się w sobie i postanowiliście, że pojedzie pan z nią na Karaiby, tak?

- Nie. - Matt pochylił się do przodu i odstawił filiżankę na spodek. - Nic nie postanowiliśmy. Swoim pojawieniem się zrobiłem Danni niespodziankę. Poleciałem za nią innym samolotem i tam, na Saint Martin, ją uwiodłem. Proszę pani - kontynuował, nie czekając na reakcję Olivii Goodlove - najlepiej będzie, jeśli od razu

przejdziemy do rzeczy. Najważniejsze jest to, że Danni spodziewa się dziecka.

Niestety, chce je urodzić i wychować beze mnie. Byłbym pani ogromnie wdzięczny, gdyby zdołała jej pani jakoś przemówić do rozumu.

Usłyszał ciche brzęczenie filiżanki o spodek - Olivii Goodlove trzęsły się ręce. Postawiła kawę na stoliku, ostrożnie, żeby nie rozlać, po czym zmarszczywszy czoło wstała, wygładziła elegancką spódnicę i przeszła do okna.

- Powinien pan wiedzieć, panie Creed - powiedziała, spoglądając na zaśniewany ogród przed domem - że moja córka jest wyjątkowo uparta. Osiągnęła w życiu absolutnie wszystko, co sobie zaplanowała, bez względu na cenę, jaką jej przyszło za to płacić, i bez względu na przeszkody, jakie musiała pokonywać. Jeżeli postanowiła samotnie wychować dziecko, to obawiam się, że w żaden sposób nie zdołam jej namówić na zmianę decyzji. - Zacisnęła rękę na zasłonie, jakby bała się, że może stracić równowagę. - Prawdę mówiąc, będzie na mnie bardzo zła, że się z panem kontaktowałam. - Przygarbiła ramiona. Z eleganckiej, pewnej siebie kobiety przeobraziła się w zmęczoną starszą panią. - Ale ja po prostu nie wiedziałam, jak inaczej postąpić. Bo widzi pan, Danni ogromnie cierpi.

Promień zimowego słońca odbił się w brylantach na palcach Olivii Goodlove, kiedy podniosła drżącą dłoń do czoła. Nagle Mattowi zrobiło się jej autentycznie żal.

- A więc Danni nie wie, że pani do mnie zadzwoniła? - spytał.

- Nie.

- Rozumiem. - Przyglądał się jej z zadumą. Wpatrywała się w śnieg za oknem, jakby szukała czegoś w oddali. - A dlaczego pani zadzwoniła, jeśli można wiedzieć?

Wyprostowawszy plecy, odwróciła się twarzą do swojego gościa.

- Szczerze? Chciałam sobie pana obejrzeć. Prawdę mówiąc, nie dziwię się, że spodobał się pan mojej córce. Ale miałam również inny powód. Znacznie ważniejszy... Pozwoli pan za mną? Coś panu pokażę.

Zaprowadziła go do mniejszego pokoju, który wystrojem przypominał gabinet, po czym podała mu stojące na biurku zdjęcie w srebrnej ramce, przedstawiające starszego jegomościa. Chociaż mężczyzna na zdjęciu uśmiechał się przyjaźnie, wyglądał groźnie, jak ktoś, z kim trzeba się liczyć. Po chwili Matt ze zdumieniem spostrzegł, że między nim a starszym panem istnieje pewne podobieństwo. Mężczyzna

na zdjęciu - pomimo okularów na nosie i łysiny na czubku głowy - był również bardzo podobny do Danni.

- To ojciec Danielle - wyjaśniła Olivia Goodlove.

Przez dłuższą chwilę Matt w milczeniu wpatrywał się w zdjęcie.

- Gdzie obecnie przebywa? - spytał cicho.

- Od wielu lat nie żyje - odparła równie cicho Olivia. Wzięła od Matta zdjęcie, delikatnie pogładziła twarz męża, po czym odstawiła je z powrotem na biurko.

- Ale jego imię wciąż żyje - dodała po chwili. - Jego władza także.

Matt potarł kciukiem oczy, jakby przecierał mgłę, która przyciemniała mu obraz rzeczywistości.

- No tak - westchnął - Conrad Goodlove. Szyby naftowe. - Spoglądając w sufit, pokręcił głową, zły z powodu własnej tępoty i braku domyślności.

- Wcześniej pan tego nie skojarzył? - spytała ze zdziwieniem Olivia Goodlove.

- Nie. Myślałem o Danni jako o Danni. Nie zastanawiałem się nad jej nazwiskiem ani rodziną.

- Mam nadzieję, że teraz poświęci nam pan trochę uwagi, panie Creed. Bo dziecko, którego Danni się spodziewa, siłą rzeczy połączy nas z sobą. I to bardziej, niż się panu wydaje.

- Jeżeli ma pani na myśli majątek Goodlove'ów, proszę się nie obawiać. Zamierzam łożyć na moje dziecko - oznajmił. - Zamierzam brać udział w jego wychowaniu i wychowywać je po swojemu. Nie chcę ani nie potrzebuję pieniędzy Goodlove'ów. Zamierzam...

- Nie o to mi chodziło - przerwała mu Olivia, unosząc w błagalnym geście dłonie. - Nie o pieniądze, ale o więzy rodzinne i uczuciowe. O wspólną troskę o dobro dziecka. Zresztą są inne sprawy, o których pan nie wie i których nie rozumie. Pozwoli pan, że jeszcze mu coś pokażę?

Zaprowadziła go do kolejnego pokoju, który wyglądał jak z okładki pisma „Southern Living”. Trzy rzeczy od razu rzuciły się Mattowi w oczy. Fortepian, ogromne barwne bukiety w wazonach pomimo zimy za oknem, i ogień buzujący w kominku, choć była dopiero ósma rano.



Olivia Goodlove podeszła do kominka i wskazała na zawieszony nad nim wielki obraz olejny. Matt rozpoznał kilkuletnią Danni, którą obejmowała trochę starsza dziewczynka, podobna do Olivii. Kiedy patrzył na ich promienne, pełne ufności uśmiechy, ogarnęło go wzruszenie. Miał nadzieję, że ich wspólne dziecko, dziecko jego i Danni, będzie równie piękne.

- To Danni, prawda? - spytał. Olivia skinęła głową.
- Tak, Danni. I jej starsza siostra, Liza.
- To Danni ma siostrę? - zdziwił się.
- Miała. Liza zmarła w wieku siedemnastu lat.

Matt zerknął spod oka na matkę Danni, niepewny, czy się nie przesłyszał. Wpatrywała się w obraz załzawionym wzrokiem. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Bardzo mi przykro - szepnął wreszcie, po czym spytał cicho: - Na co zmarła?
- Miała napad rzucawki. Dwa tygodnie przed rozwiązaniem.

I w tym momencie Matt poczuł się tak, jakby nagle trafił go grom. Tysiące pytań cisnęły mu się do głowy. Czy dlatego Danni w wieku trzydziestu czterech lat wciąż bała się seksu? Ile miała lat, kiedy siostra zmarła? Co się stało z dzieckiem Lizy? Czy przeżyło? A co z ojcem dziecka? Jak sobie poradzili ze śmiercią córki Goodlove'owie? Czy człowiek kiedykolwiek może pogodzić się z taką tragedią? Po tym, co Matt widział w Oklahomie, sądził, że już nic nie będzie w stanie go poruszyć. Ale wiadomość o śmierci Lizy Goodlove wstrząsnęła nim do głębi. Bo Liza była siostrą Danni.

- Nie wiem, co powiedzieć - rzekł. - To musiał być dla państwa straszny cios. Dla pani, dla pani męża, dla Danni... - Urwał. Spojrzał na portret, usiłując sobie wyobrazić Danni, niewinną kilkunastoletnią Danni, której śmierć zabiera ukochaną siostrę. - O Boże - szepnął. - Więc to o niej mówiła.

- Kto? O kim? - spytała Olivia.
- Któregoś wieczoru, kiedy rozmawialiśmy, Danni wspomniała, że straciła kogoś bliskiego i że do końca życia nie pogodzi się z tą stratą. Sądziłem, że mówi o jakimś mężczyźnie, z którym się dawniej spotykała. O dawnym narzeczonym.

Olivia otworzyła usta; zamierzała coś powiedzieć, ale zawahała się. Przez chwilę wpatrywała się bez słów w obraz.

- Liza i Danni bardzo się kochały. W dzieciństwie były nierozłączne. Liza była niezwykle dziewczyną. Niezwykle inteligentną, z ogromnym poczuciem humoru, zbuntowaną. Danni ją uwielbiała. Miała zaledwie czternaście lat, kiedy Liza umarła. Od tej pory stale towarzyszy jej uczucie pustki, samotności... - Głos Olivii się załamał. Starsza pani chrząknęła, po czym dodała: - Przyznaję ze smutkiem, że niekiedy sama nie wiem, jak pomóc własnej córce. Po prostu jestem bezradna.

Kiedy tak stała obok Matta, krucha i drobna, zdał sobie sprawę, jaka to wyjątkowa kobieta. Wzruszyła go jej postawa, jej troska o Danni; nie mówiła o własnym bólu, a przecież musiała bardzo cierpieć po śmierci starszej córki.

- Szczerze pani współczuję...

Na moment oderwała spojrzenie od obrazu i popatrzyła Mattowi w oczy, po czym ponownie przeniosła wzrok na zawieszony nad kominkiem portret dwóch dziewczynek.

- Dziecko Lizy również zmarło, tak więc od śmierci mojego męża została mi tylko Danni. Martwię się o nią. Nie wiem, czy pan się orientuje, ale kilka dni temu jedna z jej pacjentek miała taki sam napad rzucawki jak Liza...

- Byłem tam, kiedy to się stało.

Olivia Goodlove odwróciła głowę i przyjrzała się badawczo Mattowi.

- Faktycznie. Danni mi o tym wspomniała. Wybrał się pan do niej do pracy?

- Tak. Zamówiłem normalną wizytę. Bardzo się jej to nie spodobało.

Pokłóciliśmy się.

Olivia uśmiechnęła się. W jej oczach malował się podziw.

- Kto wie, panie Creed - rzekła. - Może dzięki swojej wytrwałości uda się panu przełamać opór Danni.

- Chciałbym, ale od tamtej pory nie miałem okazji z nią porozmawiać. Nie odpowiada na moje telefony. Pocieszam się, że może po prostu jest zapracowana, że tamta pacjentka wymaga jej obecności i ciągłej uwagi.

Twarz Olivii sposepniała.

- Ta dziewczyna nie żyje. I ona, i jej dziecko.

- Boże. - Matt cofnął się dwa kroki i opadł bezsilnie na kanapę. - Biedna Danni - szepnął.

Wzdychając głęboko, Olivia Goodlove usiadła powoli obok niego.

- Tak, biedna Danni. Właśnie z powodu śmierci siostry postanowiła zostać lekarzem. A ja zawsze się bałam, co będzie, jeśli kiedyś któraś z jej pacjentek umrze, tak jak Liza, w wyniku rzucawki. Wie pan, ona bardzo przeżywa śmierć tej dziewczyny. Traktuje to jak osobistą porażkę.

Matt pokiwał głową. Rozumiał doskonale chęć niesienia innym pomocy, potrzebę dokonywania bohaterskich czynów, i wiedział, jak strasznie to boli, kiedy wysiłek okazuje się daremny.

- Po śmierci Lizy zarówno mój mąż, jak i Danni bardzo się zmienili - ciągnęła opanowanym głosem Olivia. - Wcześniej Conrad był ekstrawertykiem, uwielbiał podejmować ryzyko; z dnia na dzień przeobraził się w ponurego mruka, który o wszystkim chciał decydować i do wszystkiego się wtrącać. Głównie wtrącał się do życia Danni, a ona mu na to pozwalała. W ten sposób pragnęła ulżyć jego cierpieniu. Obawiam się, że ona po dziś dzień stara się zrekompensować innym śmierć Lizy.

Z trudem przełykając ślinę, Matt ponownie skierował wzrok na portret Danni i jej nieżyjącej siostry.

- Jak pani sądzi, czy Danni się teraz boi? - spytał. - Teraz, gdy sama jest w ciąży?

Wyraz twarzy Olivii Goodlove złagodniał; na moment starsza pani zacisnęła usta, jakby próbowała powstrzymać falę emocji.

- Panie Creed... - powiedziała wreszcie; głos uwiązł jej w gardle. - Panie Creed - zaczęła od nowa. - To, że taka myśl w ogóle powstała w pana głowie, wiele mi o panu mówi. - Uśmiechnęła się. - Chociaż pana nie znam, cieszę się, że to pan jest ojcem jej dziecka, a mojego wnuka.

Nie wiedział, jak zareagować.

- Ojcowie są ważni - oznajmił z prostotą. - Moje dziecko zasługuje na to, żeby mieć dobrego ojca.

- Zgadzam się, panie Creed. Ale, jak już wspomniałam, moja córka jest bardzo upartą osobą. Żadne z nas nie zdoła wpłynąć na zmianę jej decyzji. Obawiam się, że nic nie można zrobić...

- Można, a przynajmniej ja mogę. - Matt pochylił się do przodu, oparł łokcie na szeroko rozstawionych kolanach i przez chwilę siedział tak bez ruchu, wpatrując się w obraz naprzeciwko. - Mogę pójść do sądu i domagać się, żeby sędzia przyznał nam wspólną opiekę nad dzieckiem.

Całkiem nieoczekiwanie w jego głosie pojawiła się hardość i zawziętość. Głos Olivii również zdradzał ślady zdenerwowania.

- Nie radzę - rzekła. - Proces niczego nie rozwiąże. Zresztą nie wygra pan. Dopiero gdy Danni wyrazi zgodę, żeby pańskie nazwisko figurowało w akcie urodzenia, może pan dochodzić swoich praw, a wcześniej...

Przez kilka sekund Matt nie odzywał się, po czym spytał cicho:

- Więc Danni nic pani nie powiedziała?

Na twarzy Olivii Goodlove odmalowało się zaskoczenie. Uniosła brwi.

- Pani córka i ja pobraliśmy się - wyjaśnił Matt. - Jesteśmy małżeństwem.

Olivia zamrugała nerwowo. Przez chwilę milczała, jakby dokładnie ważyła w myśli każde słowo, zanim je wypowie. Matt przyglądał się jej z niekłamanym podziwem. Sprawiała wrażenie równie inteligentnej i nieustraszonej jak jej piękna córka.

- Małżeństwem? - powtórzyła.

- Niestety tak.

- Niestety? - Potrząsnęła głową zdziwiona. - Nie rozumiem. Jak to możliwe?

Kiedy? Gdzie?

- Gdzie się pobraliśmy? Na Karaibach. - Poczul, jak mięśnie mu się napinają. - Tam udzielają ślubów od ręki. Bez zbędnych formalności.

Zmarszczywszy czoło, Olivia zmierzyła go podejrzliwym wzrokiem.

- Najpierw się pobraliście czy najpierw ją pan uwiódł? - spytała.

- Najpierw się pobraliśmy - odparł Matt.

- I Danni... na to pozwoliła?

- Sama tego chciała. I wydawała się szczęśliwa aż do ostatniego dnia, kiedy trzeba było wracać.

- Rozumiem.

Olivia przygryzła wargi i nagle Matt dojrzał silne podobieństwo między matką a córką. Wyglądały identycznie, kiedy były na skraju łez.

- Przepraszam. - Pochyliła głowę. - Rzecz w tym, że... Znow przygryzła wargi. Z całej siły starała się zapanować nad emocjami.

- Rzecz w tym, że wymarzyła sobie pani innego męża dla córki - dokończył za nią Matt.

Przytaknęła. Pojedyncza łza wymknęła się z oka i spłynęła wzdłuż prostego, cienkiego nosa. Delikatnie otarła ją palcem.

- Proszę się na mnie nie gniewać, panie Creed - dodała szybko. - Nie chodzi mi o pański status społeczny. Po prostu jestem osobą religijną. Zawsze marzyłam o tym, że Danni weźmie ślub w kościele, a potem że urządzi jej wspaniałe, huczne wesele.

- No tak...

Rozejrzał się po eleganckim salonie, usiłując sobie wyobrazić, jak huczne i wspaniałe musiałyby być wesele, aby pani Olivia Goodlove była usatysfakcjonowana.

Co zaś się tyczy religii... Cóż, w głębi duszy on też był wierzący. Kiedy człowiek stale walczy z ogniem, ryzykując życie, wiara w Boga jest wręcz nieodzowna. Przed każdą akcją ratunkową żegnał się, zmawiał krótki pacierz. Ale prawdą jest, że kiedy żenił się z Danni, nie myślał o Bogu ani o pacierzach. Myślał wyłącznie o niej: o tym, że za moment będzie jego żoną, że będzie ją trzymał w objęciach i starał się uszczęśliwić.

- Pobraliśmy się, bo Danni wyraziła takie życzenie - oznajmił, zdając sobie sprawę, jak nieprzekonująco to brzmi. - Sądziłem, że naprawdę tego chce - dodał po chwili.

Olivia podniosła się z kanapy i z pudełka na stoliku wyciągnęła dwie chusteczki.

- Och, nie. Ja pana o nic nie oskarżam. Danni jest dorosła i sama o sobie decyduje. Proszę mi powiedzieć, co pan zamierza?

- Nie wiem. Małżeństwo można rozwiązać lub unieważnić. Kto wie, może Danni już wystąpiła o rozwód? Jednakże chcę być obecny w życiu mojego dziecka. Akurat z tego nie zrezygnuję. Bo bez względu na to, co zaszło między mną a pani

córką i bez względu na to, co się jeszcze wydarzy, dziecko, które Danni nosi, jest wspólne. Moje i jej. I tego nic nie zmieni.

- Nie, tego nic nie zmieni. No cóż, mam nadzieję, że... że może Danni... sama nie wiem. Pojawienie się dziecka zwykle burzy cały istniejący porządek. Zauważył to pan, panie Creed?

Matt skinął głową.

- Pozostaje nam uzbroić się w cierpliwość. Zwłaszcza mnie, bo ta sprawa dotyczy tylko pana i Danni.

- To prawda - przyznał. - Ta sprawa dotyczy mnie i Danni.

Powiedział to, co zamierzał powiedzieć od samego początku, ale wyobrażał sobie, że wygarnie te słowa w gniewie, tak się jednak nie stało. Nie był zły na Olivię Goodlove, przeciwnie, czuł autentyczną sympatię do tej eleganckiej starszej pani, która nie miała na świecie nikogo poza jedną upartą, zapracowaną córką.

Nagle podniósł głowę.

- Mylimy się. Oboje - oznajmił cicho. - Dziecko, które Danni nosi, jest nie tylko jej i moje. Jest również pani. Oprócz ojca i matki będzie także miało kochającą babcie.

Starsza pani przestała wycierać oczy i popatrzyła na Matta ponad brzeżkiem papierowej chustki. Opuściwszy ją, uśmiechnęła się serdecznie.

- Panie Creed...

- Przyjaciele mówią do mnie Matt. Bardzo proszę...

- Dobrze, Matt. A więc pozwól, że powtórzę to jeszcze raz: bez względu na to, jak ty i Danni ułożycie sobie życie, cieszę się, że właśnie ty jesteś ojcem jej dziecka. Sprawiasz wrażenie dobrego, porządnego człowieka.

Matt, wyraźnie speszony, spuścił wzrok i uśmiechnął się niepewnie. Jaka szkoda, pomyślał, że córka ma inne zdanie niż matka. Ale cóż, trudno wszystkich zadowolić.

- Mogę obiecać, że pani wnuk będzie miał najlepszego ojca pod słońcem - rzekł.

Olivia Goodlove zacisnęła rękę na jego ramieniu. Poprzez flanelowy rękaw czuł ciepło bijące z jej dłoni. Danni też miała ciepłe ręce.

- Wierzę ci, Matt, ale błagam, nie rezygnuj z Danni. Nie wykreślaj jej ze swojego życia. Ona przechodzi teraz bardzo trudny okres i potrzebuje twojej pomocy. Aha, i mów do mnie Olivia, dobrze? Bądź co bądź jestem twoją teściową. Przynajmniej na razie.

Matt obdarzył ją szerokim uśmiechem.

- To prawda, Olivio. A ja twoim zięciem. Przynajmniej na razie. - Po chwili spoważniał. - Jeszcze jedno mogę ci obiecać. Że uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby ten stan rzeczy trwał wiecznie.

## *Rozdział 18*

Po południu pogoda jeszcze bardziej się zepsuła. Z równinnych terenów Kansas nadciągnęła kolejna śnieżycyca, w wyniku której cała Tulsa dosłownie zamarła. Gałęzie uginały się pod czapami śniegu, drogi były oblodzone, linie wysokiego napięcia pozrywane; zmarznięci, pozbawieni elektryczności ludzie grzali się przy kominkach, świecami usiłując rozproszyć panujący w domach mrok. Dla strażaków to był prawdziwy koszmar. Śliskie ulice uniemożliwiały szybki dojazd. Zresztą sam dyżur w takich warunkach bardzo się dłużył i każdego wyczerpywał psychicznie.

Matt, podobnie jak inni strażacy, starał się nie myśleć o swoich problemach osobistych, lecz skupić na tym, co go czeka. Wiedział, że powinien dobrze wypocząć i dostarczyć organizmowi odpowiedniej dawki kalorii, by potem w pracy móc normalnie funkcjonować.

Mimo zmęczenia nie był jednak w stanie przespać spokojnie kilku godzin. Po wyjściu od Olivii wstąpił na chwilę do baru szybkiej obsługi, żeby coś zjeść, potem zwrócił Tomowi dzipa i udał się pieszo do domu; mieszkał w odległości pięciu przecznic od swojego przyjaciela. Całe popołudnie usiłował się zdrzemnąć, ale kiepsko mu to szło.

Zasypiał, myśląc o Danni, o tragedii, jaka ją spotkała, po czym nagle budził się zlany potem, zaplątany w pościel, z trudem otrząsając się z nieprzyjemnych snów.

Wstawał wtedy z łóżka, szedł bosy do łazienki, wypijał szklanekę wody, uchylał zasłonę w oknie i patrzył przez szparę na ośnieżony świat, po czym wracał pod kołdrę i ponownie próbował zasnąć.

Wreszcie, gdy obudził się z całkiem innego snu - podniecony, bo śniła mu się zalana blaskiem księżycy plaża na Karaibach - zrezygnował ze spania; uznał, że dalsze próby nie mają sensu. Uchyliwszy drzwi, wypuścił na dwór Pannę Werbenę, by oznakowała na żółto śnieg, po czym napełnił jej miseczki wodą oraz mięsem.

Wziął prysznic, ubrał się i przeszedł pięć przecznic do domu Toma, żeby znów pożyczyć od niego dżipa; tym razem chciał odwiedzić Danni.

Tom robił, co mógł, żeby wybić mu pomysł z głowy. Proponował mu piwo, kolację.

- Nie wygłupiaj się, stary - błagał go. - Odłóż to na jutro. Jest już... - spojrzał na budzik stojący na odtwarzaczu kompaktowym - jest już prawie dziewiąta. A ty wcale nie wyglądasz na wypoczętego. Przydałoby ci się jeszcze kilka godzin snu. Trzech facetów z popołudniowej zmiany odniosło jakieś obrażenia. Niewykluczone, że szef zechce wezwać nas wcześniej...

Ale Matt nie słuchał. Wkładał z powrotem grubą puchową kurtkę i przemoczone buty.

- Muszę z nią porozmawiać. Czuję dziwny niepokój. Mówiłem ci, że jest w ciąży?

- Jackie o tym wspomniała.

- No tak. W dodatku jest potwornie przygnębiona z powodu śmierci pacjentki. Psiakrew, Tom! Wyobrażam sobie, jak siedzi sama jedna w tym wielkim domu, bez ogrzewania, bez elektryczności... Muszę do niej zajrzeć. I nie zamierzam czekać, aż skończy mi się następny dwudziestoczerogodzinny dyżur.

Wstał i wyciągnął rękę.

Wzruszywszy ramionami, Tom rzucił mu kluczyki. Matt złapał je w powietrzu.

- Dzięki, przyjacielu - rzekł, po czym zniknął w lodowatym mroku.

Drzwi pogrążonego w ciemności domu otworzyła Jackie; miała na sobie ciepły dres, barwne pasiaste getry, gruby męski bezrękawnik, czerwone wełniane rękawiczki, a na głowie starą niebieską czapkę z wypisanym z przodu logo uniwersytetu w Tulsie.



- Aż tak u was zimno? - spytał i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Jackie czym prędzej zamknęła drzwi, żeby dom się jeszcze bardziej nie wychłodził.

- Od samego rana - odparła. - Wyobrażasz sobie? Bez prądu nic nie działa. Ani kuchenka, ani żelazko, ani ogrzewanie. Lodówka też nie, ale przynajmniej nie ma obawy, że w tym zimnie cokolwiek się zepsuje.

Matt rozejrzał się dookoła. Wszędzie paliły się świece, a w kominku huczał potężny ogień. Jednakże z uwagi na dużą liczbę okien oraz wysoki sufit wewnątrz było zimno jak w psiarni.

- W tym stanie Danni absolutnie nie powinna tu przebywać! - oznajmił gniewnie. - Masz ją natychmiast zawieźć do specjalnie przygotowanego schroniska! - Skierował się biegiem do kuchni, potem do sypialni. - Albo do domu jej matki! - zawołał, skręcając do kolejnego pokoju. - W tamtej części miasta linie wysokiego napięcia są nie pozrywane. Danni! - krzyknął. - Danni!

Gdzież ona się podziewa?

- Nie ma jej w domu! - odparła Jackie. Wrócił do salonu.

- A gdzie, u diabła, jest?

- W szpitalu. Wszyscy, którzy tam byli po południu, kiedy rozpętała się śnieżycą, zostali na miejscu. Pewnie o tej porze śpi sobie smacznie na kozetce w pokoju lekarskim. - Jackie skrzyżowała ręce na piersi. - Nawet nie wie, że w domu panują egipskie ciemności. Uznałam, że nie ma sensu jej informować. I bez tego ma dostatecznie dużo problemów na głowie. A awarię ktoś wkrótce usunie.

- Chyba tak. Zajrzę do niej do szpitala. - Ruszył do drzwi; po paru krokach stanął i odwrócił się. - Słuchaj, Jackie, pogaś to wszystko - wskazał na świece oraz ogień w kominku - a sama jedź gdzieś, gdzie jest ciepło. Pootwierano mnóstwo schronisk. Jedno jest tu niedaleko, w kościele metodystów.

Jackie machnęła lekceważąco ręką, ale nie widział tego, bo był już za drzwiami, w połowie drogi do stojącego przed domem dżipa.

Po odjeździe Matta dziewczyna pomyślała sobie, że może jednak powinna zadzwonić do Danni i powiadomić ją o tym, że cała dzielnica pozbawiona jest prądu. Podniosła słuchawkę, ale okazało się, że w telefonie panowała głucha cisza. No

pięknie. A potem przyszło jej do głowy, że chyba Matt ma rację; należało go posłuchać i wybrać się do metodystów, przynajmniej na jedną noc. Nie było bowiem szansy, by małą toyotą mogła przejechać na drugi koniec miasta do domu swojej matki.

Udała się do pomieszczenia gospodarczego, żeby sprawdzić, czy psom niczego nie trzeba; pomieszczenie było puste - Perła i Dym zniknęły. Wędrując z latarką po domu, znalazła je w sypialni Danni, na jej łóżku. Psy popatrzyły na nią spode łba, lecz się nie podniosły.

Uśmiechnęła się.

- Przykro mi - powiedziała - ale nie sądzę, żeby u metodystów przyjmowano również zwierzęta.

Ponieważ czuła wyrzuty sumienia, że zostawia je same w ciemnym, zimnym domu, wzięła leżącą na fotelu wełnianą kapę od Ralph'a Laurena wartą trzysta dolarów i przykryła nią psy. Potem wróciła do salonu, gdzie przy kominku stały miseczki z wodą, i przeniosła je do sypialni; miała nadzieję, że zanim woda zamarźnie, włączy się ogrzewanie.

Następnie udała się do kuchni; zamierzała nabrać do wiadra wody, żeby zalać ogień w kominku, ale kiedy odkręciła kran, okazało się, że wody też nie ma.

- Boże - westchnęła - pewnie rury pozamarzały.

Poszła z powrotem do salonu i zaczęła zasypywać ogień popiołem; gdy wreszcie płomień wygasł, przysunęła do kominka mosiężną kratę.

- No dobra, chyba wystarczy - powiedziała lekko zdenerwowana, bo zawsze dotychczas, ilekroć wychodziła z domu, dokładnie polewała ogień wodą.

A z drugiej strony, pomyślała, jakież może stać się nieszczęście? Tym bardziej że między kominkiem a dywanem znajduje się metrowej szerokości kamienna posadzka.

Przez moment wahała się, czy zamknąć przewód kominowy; byłoby wtedy cieplej, ale bała się, że od żarzących się węgielków salon może wypełnić się dymem. Danni z pewnością by to nie ucieszyło.

Zostawiła przewód otwarty.

Dom od razu wydał się chłodniejszy. Drżąc z zimna, Jackie przyniosła z góry palto, poduszkę i kluczyki do toyoty. Następnie obeszła pośpiesznie wszystkie pokoje, gasząc zapalone świece.

Zapewne winny był przeciąg, w każdym razie gdy tylko zamknęła za sobą drzwi wejściowe, z kominka wystrzeliła na dywan iskra.

## *Rozdział 19*

Idąc do pokoju lekarskiego, Danni potarła szyję, chcąc rozmasować obolałe mięśnie. Pomieszczenie dla lekarzy składało się z dwóch pokoi - pierwszego, w którym stał wygodny fotel i kozetka, oraz znacznie rzadziej używanego drugiego pokoiku w głębi, z którego korzystano tylko w wyjątkowych sytuacjach. Był czysty, niemal sterylny. Znajdowały się w nim dwa wąskie pościelone łóżka, stolik nocny, na którym leżała paczka chusteczek do nosa, stała kuchenka mikrofalowa, z której nikt nigdy nie korzystał oraz nieduża lodówka, która była równie pusta jak stojące wzdłuż jednej ściany szafki.

Danni zamknęła za sobą drzwi, izolując się od hałasu i światła jarzeniówek. W pokoju były trzy okna, wszystkie nie zasłonięte. Podeszła do najbliższego i przez chwilę patrzyła na nocny krajobraz zamarznęty w bieli.

Generatory wytwarzały elektryczność w szpitalu, ale parking przed szpitalem był pograżony w ciemnościach, podobnie jak i cała okolica. Wiatr rozpędził właśnie chmury i na niebie pojawił się księżyc. W jego mlecznym blasku pokryte śniegiem dachy i uginające się pod białą pierzyną konary drzew wyglądały jak na kartkach bożonarodzeniowych.

Powłócząc nogami, Danni podeszła do pierwszego z brzegu łóżka i padła, wyczerpana. Nawet nie miała siły, żeby opuścić żaluzje w oknach ani odwinąć sobie koc. Przemknęło jej przez myśl, że gdyby jakakolwiek pacjentka w pierwszym trymestrze ciąży pracowała tak ciężko, ona, Danni, na pewno zmyłaby jej głowę.

Ledwo przytknęła oczy, zaczęła rozmyślać o Matcie. Powinna była zignorować wiadomość, że do niej dzwoni, powiedzieć, że jest zajęta. Chyba

niemądrze postąpiła, podchodząc do telefonu. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później dojdzie do ich spotkania i rozmowy, ale nie chciała, żeby odbyło się to w szpitalu. Tu człowiek jest totalnie pozbawiony prywatności. Akurat mówiła Mattowi, że nie może się z nim teraz widzieć, kiedy usłyszała, jak na oddziale położniczym ktoś podnosi słuchawkę i przysłuchuje się ich rozmowie. Szybko się rozłączyła.

Czuła się taka zmęczona. Czy kiedykolwiek w swoim wypełnionym harmonogramie znajdzie czas na to, aby uporządkować życie osobiste?

Miała wrażenie, że drzemała dosłownie kilka sekund, kiedy nagle zorientowała się, że ktoś nad nią stoi. Otworzywszy oczy, ujrzała w ciemnościach zarys wysokiej męskiej sylwetki. Poderwała się.

- Jaka piękna noc...

- Roger, to ty? - spytała, usiłując otrząsnąć się ze snu. - Czy coś się stało?

Zastanawiała się nerwowo, jak długo spała. I dlaczego Roger Bryant stoi nad nią i podziwia widok za oknem, kiedy powinien być na oddziale i dyżurować przy pacjentach?

- Nie, nic się nie stało - odparł. - Po prostu chciałem sprawdzić, co u ciebie słychać...

Specjalnie zniżył głos, nadając mu zmysłowe brzmienie. Danni poczuła się niezręcznie; miała ochotę uciec.

- Wyglądasz pięknie, kiedy tak leżysz...

Powoli ogarniał ją niepokój. Do diabła, czego Bryant tu szuka? Czego chce?

Przetarła oczy; zamierzała wstać i poprosić go stanowczym tonem, aby przestał prawić jej komplementy, ale zanim zdołała podnieść się na łokciu, przysiadł na łóżku, ograniczając jej swobodę ruchów.

- Roger, proszę cię. Jestem skonana. Daj mi pospać.

Po chwili usiadła. Odwrócił się lekko i wyciągnąwszy ręce, zaczął masować jej szyję.

- Oboje ciężko dziś pracowaliśmy - powiedział ochryple. - Masaż dobrze ci zrobi.

Twarz miał tak blisko jej twarzy, że Danni czuła na skórze jego oddech, gorący, nieświeży, zalatujący kawą. Nie widziała jego spojrzenia, bo włosy opadły mu na czoło, przysłaniając oczy, ale w blasku księżyca wyraźnie widziała jego usta. Były lśniące. Mokre. Rozchylone.

Wpadła w panikę. Serce waliło jej młotem. Odsunawszy od siebie ręce Rogera, zerwała się z łóżka.

- Co robisz? - spytała oskarżycielskim tonem, starając się zachować spokój.

- Od dawna czekałem na szansę, żeby znaleźć się z tobą sam na sam - odparł szeptem.

Przez chwilę stała bez słowa, zbyt zaszokowana, aby zareagować.

- Oboje jesteśmy dorośli - ciągnął. - Odpręż się. Nikt nam nie będzie przeszkadzał. Zwłaszcza podczas takiej pogody wszyscy siedzą w domu...

Danni nie wierzyła własnym uszom; nie mieściło jej się w głowie, że kolega po fachu może ją tak potraktować, w dodatku w miejscu pracy! A jednak Roger w sposób niedwuznaczny czynił jej awanse.

- No, kotku, odpręż się. Przecież nie zrobię ci krzywdy. Zabawimy się tak jak ty z tym swoim chłoptasiem na Karaibach.

Wzdrygnęła się. Ogarnął ją niesmak i oburzenie. Nagle, przez uchylone drzwi, z pokoju obok dobiegł Danni jakiś hałas. Roger, który najwyraźniej nic nie słyszał, podszedł bliżej i chwycił ją za ramię.

- Danni? - rozległ się głos Matta.

W następnej chwili drzwi otworzyły się na oścież; w progu, oświetlony blaskiem księżyca, stał Matt. Roger zamarł. Danni wyszarpnęła ramię.

- Skąd się tu wzięłeś? - spytał gniewnie Roger, patrząc na intruza. - Poza lekarzami nikt nie ma tu wstępu. Nie czytałeś tabliczki na drzwiach?

- Danni? - powtórzył Matt. Domyślał się, że coś jest nie tak; było to wyraźnie słychać w jego głosie. - Czy wszystko w porządku?

- Nie...

- Powiedziałem, że obcym nie wolno tu wchodzić - przerwał jej Roger, postępując krok do przodu. - Więc wynoś się! Bo wezwę ochronę.

Mrużąc zmęczone oczy, Matt uporczywie wpatrywał się w ukochaną kobietę. Nie wyglądała dobrze. Była blada i zdenerwowana.

- Nigdzie nie zamierzam iść - rzekł. - Przyszedłem zobaczyć się z doktor Goodlove.

- Mam wrażenie, że dość się na siebie napatrzyliście na Karaibach - oznajmił zgryźliwie Roger, po czym pchnął Matta.

I to był błąd. Matt chwycił Rogera od tyłu pod pachy, uniósł go i przytrzymał chwilę w powietrzu, potrząsnął nim jak workiem.

- Matt! - krzyknęła Danni.

- Puszczaj, bo oskarżę cię o napaść! - zawołał Roger, usiłując się odwrócić.

Chociaż Matt od pierwszej sekundy żałował, że stracił nad sobą kontrolę, jeszcze raz potrząsnął rywalem, uderzając nim o szafki, i dopiero wtedy go puścił.

- Nic ci nie zrobił? - zapytał, zwracając się do Danni. Pokręciła przecząco głową.

- Nie, ale gdybyś nie wszedł, jestem prawie pewna, że...

- Ta baba oszalała! - krzyknął Roger, pocierając dłonią zakrwawiony nos. - Masowałem jej ramiona, kiedy nagle zaczęła się do mnie zalecać.

Ignorując go, Matt spojrzał na Danni.

- Chcesz, żebym wezwał policję? Podniosła na niego wystraszony wzrok.

- Żebym mogła złożyć zeznania?

- Jakie zeznania? - oburzył się Bryant. - Jeśli ktoś miałby kogoś oskarżać, to raczej ja ją. I ciebie, za pobicie.

Matt nie odrywał oczu od Danni.

- Czy wezwać policję? - spytał ponownie.

Odwróciła twarz i potarła czoło. Wiedziała, że to głupie, ale w pewien sposób czuła się odpowiedzialna za to, co się stało. Dużo wcześniej powinna była zniechęcić Rogera, dać mu wyraźnie do zrozumienia, że nie jest nim zainteresowana. Zresztą do niczego tak naprawdę nie doszło.

Chwiejnym krokiem Roger podszedł do stolika nocnego, z leżącej na nim paczki chustek wyciągnął jedną i wytarł spocone czoło.

- Niech cię szlag trafi, Bryant! - powiedział przez zaciśnięte zęby Matt. - Zejdź mi z oczu!

Roger ruszył do drzwi.

- Jeszcze pożałujesz, ty... - Drżącą ręką, w której trzymał chustkę, pogroził Mattowi. - Nie można bezkarnie napadać lekarzy na dyżurze.

Matt znalazł się przy nim w paru susach, chwycił go za poły fartucha i przyciągnął do siebie, tak że niemal stykali się nosami.

- Słuchaj, doktorku. Jestem mężem tej pani. Od dziś trzymaj się od niej z daleka, bo inaczej pogruhoczę ci kości.

- Matt, przestań! Puść go!

Pchnąwszy Rogera na drzwi, Matt opuścił ręce. Roger wygładził fartuch, po czym patrząc na Danni, mruknął:

- Mężem? Chryste! Jak można upaść tak nisko? Wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi.

Światło, które paliło się w drugim pokoju, padło na twarz Danni. Matt przestraszył się. Miała zapadnięte policzki, wielkie ciemne wory pod oczami, oczy przekrwione. Pierwsze tygodnie ciąży, a ona haruje jak wół! Praca, śmierć pacjentki, a teraz to: niewczesne awanse Bryanta. Tego było za wiele. Chciał ją zabrać gdzieś daleko, w jakieś spokojne, ustronne miejsce, wziąć w objęcia, chronić przed złem.

Kiedy zatrzasnęły się drzwi na korytarz, Danni odetchnęła głęboko, po czym zacisnęła ręce na skroniach.

- O Boże - jęknęła cicho.

Usiadła na łóżku i zakryła dłońmi twarz.

Matt nie wiedział, co robić. Przymknął drzwi między pokojami, żeby ostre światło nie raziło jej w oczy, po czym stanął przy łóżku i wpatrywał się w nią bez słowa. Jej piękne ciemne włosy lśniły w blasku księżyca.

- Danni... - zawahał się. - Może przynieść ci szklanek wody albo...

Potrząsnęła głową.

- A mogę cię przytulić? Załkała cicho.

- To był straszny tydzień...

- Wiem, kochanie.

Usiadł koło niej na łóżku, delikatnie kładąc ręce na jej ramionach. Dopiero kiedy poczuł, że pochyla się w jego stronę, objął ją mocniej i przytulił do siebie. Jej włosy pachniały tak, jak pamiętał: czysto, świeżo.

- Chociaż prosiłam, żebyś nie przychodził, cieszę się, że mnie nie posłuchałeś - szepnęła, przyciskając twarz do jego piersi.

- Postanowiłem wpaść i cię uprzedzić, że nie masz w domu elektryczności. Ale przede wszystkim chciałem cię zobaczyć. Pielęgniarki powiedziały, że jesteś w pokoju lekarskim. Pukałem, pukałem i nic.

- Bo ten pokój jest dźwiękoszczelny. Specjalnie go tak zaprojektowano, żeby można było w nim spać o dowolnej porze dnia i nocy.

- Pewnie na to liczył ten drań. Że nikt cię nie usłyszy. Pokiwała głową.

- Danni... - Poglaskał ją po włosach. - Fakt, że facet jest lekarzem i razem pracujecie, wcale nie oznacza, że nie możesz złożyć na niego skargi.

- Wiem, ale nie chcę się denerwować. Nie teraz. Zresztą tak naprawdę to nic się nie stało. Poza tym nie jestem pewna, czy ktokolwiek by mi uwierzył. Ludzie często widywali nas z sobą. Nawet poleciliśmy razem na Saint Martin.

- Powinno się dać łobuzowi nauczkę.

- Powinno, ale wiesz, jak to jest. Stale chodzi otoczony wianuszkiem kobiet. Każda z nich zezna w sądzie, że Roger Bryant nie musi nikogo gwałcić ani do niczego zmuszać; wystarczy, żeby skinął palcem, a chętna sama się znajdzie. Nie myśl, Matt, że boję się przegrać, nie w tym rzecz. Po prostu wiem, kiedy trzeba walczyć o swoje, a kiedy należy się poddać. Jestem niezamężną kobietą, która w dodatku jest w ciąży. Kto mi uwierzy? - Ponownie zakryła rękami twarz. - Boże, ale sobie pokomplikowałam życie.

Tulił Danni do siebie, szczęśliwy, że znów ma ją w swoich objęciach, choć oczywiście wolałby, aby okoliczności, w jakich się dzisiaj spotkali, były inne.

- Nic sobie nie pokomplikowałaś - powiedział. - Może jesteś w ciąży, ale nie jesteś niezamężna.

Opuściwszy ręce, podniosła głowę i napotkała jego wzrok - spokojny, życzliwy.

- Bo jesteśmy jeszcze małżeństwem, co? - spytał, patrząc jej głęboko w oczy.



- Mówisz tak, żebym poczuła się lepiej. - Odwróciła twarz. - Wcześniej nawet nie dzwoniłeś. Po raz pierwszy odezwałeś się dopiero tydzień temu.

- Bo dopiero tydzień temu dowiedziałem się o dziecku!

- Gdyby Jackie się nie wygadała, w ogóle byś nie zadzwonił. Tyle czasu czekałam, a ty...

Zmarszczył czoło i nieco zwolnił uścisk.

- No no, chwileczkę! - zaprotestował. - Przecież to ty nie chciałaś się ze mną widzieć.

Oswobodziła się z jego objęć i skrzyżowała ręce na piersi. Patrząc jej w oczy, mówił dalej:

- Nawet nie zamierzałaś mnie powiadomić o dziecku, prawda? Uważasz, że jesteś dla mnie za dobra? Że ktoś taki jak ja, prosty strażak, nadaje się na kochanka, ale nie na...

Poderwała się na nogi.

- Przepraszam, Danni. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. - Wyciągnął ręce, żeby ją objąć w pasie, ale się odsunęła. - Danni, czy ty tego nie rozumiesz? Nie wiesz, co do ciebie czułem, kiedy byliśmy razem? Ile ten wspólny tydzień dla mnie znaczył?

Stała odwrócona do niego plecami, ale widział, jak powoli opuszcza ją napięcie.

- Słuchaj, zdaję sobie sprawę, że ta ciąża... że nie jest ci łatwo, bo... Wiem o twojej siostrze.

Zaskoczona, wbiła wzrok w jego twarz.

- Wiesz o Lizie? Skinął głową.

- Kto ci powiedział?

- Twoja mama.

Opadła z powrotem na łóżko.

- Moja mama powiedziała ci o Lizie? Zacisnął ręce na jej dłoniach.

- Tak, Danni.

W blasku księżyca dostrzegł, jak usta jej drżą. Zastanawiał się, czy płacze. Serce krwawiło mu z bólu, mimo to mówił dalej:

- Zrozum, tu chodzi o nasze dziecko. Po tym, co spotkało Lizę, masz prawo się bać. Pewnie dlatego bałaś się również związać ze mną. Ale ja o niczym wcześniej nie wiedziałem...

Milczała; nawet na niego nie patrzyła.

- Może tego nie chciałaś, lecz stało się - kontynuował po chwili. - Jesteś w ciąży. Ze mną...

Nagle zabrakło mu tchu; czuł się tak, jakby nie miał czym oddychać. Ale jedno wiedział ponad wszelką wątpliwość: musi ją przekonać, że przeszłość to przeszłość, że on kocha ją do szaleństwa, że przezwyciężą wszystkie przeszkody pod warunkiem, że będą razem, ona, on i ich dziecko.

- Nie odtrącaj mnie - błagał. - Tylko dlatego, że na pięknej plaży zachowaliśmy się...

Napotkała jego wzrok. Łzy wciąż lśniły jej w oczach, ale twarz miała zaciętą, zagniewaną.

- Głupio - rzekła. - Po prostu głupio.

- Ja tak nie uważam. Uważam, że przeżyliśmy cudowną przygodę. I chciałbym, żeby ona trwała wiecznie. Daj mi szansę, Danni. Postaraj się mnie poznać, zrozumieć...

Wyrwała mu rękę.

- W takim razie pozwól, że przynajmniej w okresie ciąży będę się tobą opiekował. - Ponownie wziął ją za rękę i ścisnął tak mocno, że aż się skrzywiła. - Błagam cię, tylko nie rób nic... nic...

Wiedziała, o co mu chodzi.

- Mówisz o usunięciu ciąży? Nawet mi to nie przyszło do głowy. - Na moment się zamyśliła. - Zresztą ty i tak nie masz prawa mi nic...

- Nie mam prawa?! - Zdenerwował się. - Ojciec nie ma prawa? Odkąd pamiętam, zawsze marzyłem o dziecku. Nie pozwolę, żebyś swoim głupim uporem zniszczyła moje marzenia. Jeżeli tobie nie zależy na dziecku, oddaj je mnie! Ja je wychowam!

Danni otworzyła ze zdumienia usta, po chwili jednak wstąpił w nią nowy duch.

- Myślisz, że dałbyś radę samotnie wychować dziecko? - spytała z namysłem.

- Staralbym się. Skoro umiałem poradzić sobie z Panną Werbeną, to...

Prychnęła ze wzgardą.

- Z Panną Werbeną? Panna Werbena to pies!

- Co z tego? Sparkym opiekowałem się, jakby był dzieckiem.

Danni znów otworzyła usta, tym razem z bezsilności, i potrząsnęła głową.

- Mogłem go przecież oddać. Do schroniska, do tresera, gdziekolwiek. A nie oddałem. W dodatku nie mam służącej, która dzień i noc by po mnie sprzątała. Pochodzę ze skromnej rodziny. Skromnej, ale ucziwej.

Danni zmrużyła oczy.

- Co przez to rozumiesz? Że patrzę z góry na twoją rodzinę? Chyba oszalałeś! Przecież nawet jej nie znam. Że moja jest bogata? Co to ma do rzeczy, że ojciec zdobył fortunę? Sama zarabiam na swoje utrzymanie. Ciężką pracą.

I jeżeli mam ochotę wydawać pieniądze na służącą, to nie twój interes! Powiem ci jeszcze coś. Bez względu na to, co uważasz, Olivia Goodlove jest wspaniałą matką i wierzę, że ja będę równie dobrą!

Z Matta nagle wyparowała cała złość i ochota do walki. Przygarbiwszy ramiona, westchnął głęboko.

- Podoba mi się twoja matka. To kobieta z charakterem - rzekł, po czym zerkając spod oka na Danni, dodał cicho:

- Jeszcze sporo musimy się o sobie dowiedzieć.

Oparł łokcie na kolanach, złączył dłonie i opuścił je w dół.

Przyglądała się w milczeniu jego szerokim plecom i kształtnej głowie porośniętej ciemnymi włosami, starannie przyciętymi u nasady szyi. Tak często na Karaibach dotykała jego karku, pieściła ustami, podczas gdy Matt... Wstała, bojąc się, że nie wytrzyma, że zaraz wyciągnie rękę i go pogładzi.

- To prawda, niewiele o sobie wiemy - przyznała. - Ale sprzeczać się nie mamy o co, bo po pierwsze, aborcja mnie nie interesuje, a po drugie, nie zamierzam nikomu oddawać dziecka na wychowanie.

- Wiem - oznajmił smutnym głosem, wpatrując się w swoje złączone dłonie, jakby na nich zapisana była cała prawda. - W głębi serca od początku o tym wiedziałem. Ale po tragedii, jaka spotkała Lizę... Musiałem nabrać pewności. Po

prostu wystraszyłem się. - Siedział z głową nisko opuszczoną, z wzrokiem wbitym w ziemię. - Może to, co powiem, zabrzmie banalnie, ale jest prawdą. Otóż podczas akcji ratunkowej w Oklahomie wiele się o sobie nauczyłem. Długo nie mogłem pogodzić się ze śmiercią. Tyle osób tam zginęło, tyle dzieci! W końcu jednak zrozumiałem, że życie jest zbyt krótkie, żeby wciąż rozpamiętywać rzeczy, na które nie ma się wpływu i których nie można już zmienić.

Podniósł na nią wzrok, a ona aż wzdrygnęła się, widząc tę niesamowitą siłę i wiarę malującą się w jego niebieskich oczach.

- Pozbądź się goryczy, Danni. Staraj się każdego dnia budzić z nowym optymizmem. I z optymizmem patrzeć na mnie, na nas, na naszą przyszłość.

Kiedy odwróciła się bez słowa, ponownie westchnął, po czym stanął naprzeciw niej i ujmując w palce jej brodę, delikatnie przekreślił jej twarz, tak by napotkała jego wzrok.

- Wiesz, o czym mówię, prawda? Nie możesz ciągle rozpamiętywać śmierci siostry...

Nie pozwalał jej opuścić głowy. Po chwili schylił się i przywarł ustami do jej ust, jakby pocałunkiem chciał wyrazić to, czego nie potrafił wyrazić słowami.

Stojąc w jego objęciach, zalana wpadającym przez okno srebrzystym blaskiem księżyca, czuła się oszołomiona. Słyszała bicie własnego serca i oddech Matta; żadne inne dźwięki nie docierały do pokoju. Po paru sekundach, w miarę jak pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny, coś się w niej zaczęło budzić: jasność, zrozumienie, ulga...

Bo kiedy Matt ją całował, to było tak, jakby nic innego się nie liczyło. Jakby zniknęły wszelkie troski, problemy. W jego ramionach czuła się bezpieczna.

Ale była rozdarta; z jednej strony pragnęła ulec, poddać się namiętności, zapomnieć o smutkach, a z drugiej...

Nie! Nie mogła.

Odepchnęła go od siebie.

- Przepraszam - szepnęła, opierając drżące dłonie na jego piersi. - Przepraszam. Jestem taka skołowana.

Umknęła gdzieś wzrokiem.

- Nie chciałem ci jeszcze bardziej mieszać w głowie - powiedział cicho.

Przyłożył ręce do jej policzków i delikatnie uniósł jej twarz. - Ale mamy tak niewiele czasu. Wkrótce narodzi się nasze dziecko, a życie biegnie nieubłagane. Nawet jeśli będzie nam dane spędzić z sobą sto lat, cóż to jest? Zaledwie cząstka wieczności. Pomyśl o tym, Danni.

Zamknęła oczy, usiłując powstrzymać zniechęcone łzy. Nie musiał jej mówić, że życie jest krótkie; dobrze o tym wiedziała. Jej ukochana siostra miała zaledwie siedemnaście lat, gdy przegrała walkę ze śmiercią.

- Wiem, jaki to dla ciebie trudny okres - mówił, przesuwając palcem po jej brodzie i ustach. - Zrozum, Danni, chcę ci jedynie pomóc. Życie jest o wiele prostsze, niż sądzisz.

Prostsze? Otworzyła oczy.

- Proszę cię, przynajmniej pozwól mi być twoim przyjacielem.

Otarła ręką łzę, której nie zdołała powstrzymać.

- Tobie wszystko wydaje się łatwe i proste - powiedziała.

- Nie, nieprawda - zaproponował łagodnie. - Miłość nie jest sprawą prostą. Ani małżeństwo. Nie mam zamiaru ci się narzucać i na siłę być twoim mężem. Ale po rozmowie z Olivią zacząłem się zastanawiać, czy nasze problemy rzeczywiście wynikają z dzielących nas różnic. Czy przypadkiem nie są wynikiem tragicznych przeżyć, jakie pamiętasz z dzieciństwa?

Czekał na jej reakcję, lecz ona, zdezorientowana i oszołomiona, milczała.

Tęskniła za prostym, uporządkowanym życiem, jakie wiodła, zanim postanowiła zrzucić brzemień samotności i znaleźć miłość. Miłość. Niektórym nie dane jest jej zaznać. Może ona należy do tej grupy? Łzy znów podeszły jej do gardła.

Matt, niczym troskliwy ojciec, odgarnął jej z ramion kilka kosmyków, a jeden wyjątkowo niesforny zawinął za uchem.

- Nie musimy teraz o tym rozmawiać. Powinnaś odpocząć.

Skinęła głową.

- Pójdę już, żebyś mogła się przespać.

Gdy ponownie skinęła głową, ruszył w stronę drzwi.

- Wiesz, Danni - powiedział, przystając - nie w ten sposób osiąga się spokój ducha. Może ty po prostu za mało z siebie dajesz?

Otworzyła usta, żeby zaprotestować.

- Owszem, poświęcasz się w pracy - ciągnął, nie dopuszczając jej do głosu. - Poświęcasz się dla pacjentów. Ale to nie to samo, co poświęcić serce jednej jedynej osobie.

Przez moment stał w drzwiach, mając nadzieję, że ona coś powie, coś zrobi. Usiadła na łóżku i wbiła wzrok w podłogę. Siedziała tak, oświetlona zimnym blaskiem księżycy, nieruchoma jak skuty mrozem krajobraz za oknem.

- Mam czas, Danni - oznajmił cicho. - Będę na ciebie czekał do końca życia. Odwrócił się i wyszedł na korytarz.

## *Rozdział 20*

Siedziała samotna i nieszczęśliwa na brzegu wąskiego, twardego łóżka w ciemnym, zimnym pokoiku, do którego wpadały przez okno blade promienie księżycy.

Pochyliła głowę, przygarbiła plecy, zacisnęła leżące na kolanach dłonie; wyglądała jak skruszona grzesznica pogrążona w modlitwie. Nie modliła się jednak. Serce miała wypełnione smutkiem i strachem.

Towarzyszyły jej od dwudziestu lat. Od dwudziestu lat skrywała smutek przed światem, wypierała go ze swojej świadomości, lecz nie umiała się od niego wyzwolić. I od dwudziestu lat żyła w strachu. W strachu przed nowym smutkiem i nowym cierpieniem. W strachu, który nie pozwalał jej się zakochać ani być kochaną.

Teraz, na skutek ciąży, wszystko w niej odżyło. Lęk, smutek, ból, cierpienie. Co ma robić? Jak sobie radzić?

Siedziała w samotności, usiłując rozwikłać swe problemy, i nagle przyszło jej do głowy, nie po raz pierwszy w życiu, że może powinna zwrócić się do kogoś o pomoc. Do jakiegoś fachowca.

Całymi latami próbowała odsunąć od siebie ból, przechytryć go, stłumić. Sądziła, że jeśli rzuci się w wir pracy, nie będzie miała czasu, aby o nim myśleć.

Niestety, wzmógł się, kiedy sama zaszła w ciążę. Po prostu tego jednego nie wzięła pod uwagę - że pozna mężczyznę, do którego zapala namiętnością.

Na co liczy? Co sobie wyobraża? Że jakiś mężczyzna zwali ją z nóg, że ona oszaleje na jego punkcie, a wtedy ból zniknie jak ręką odjął i już nigdy nie wróci? Czy w osobie Matthew Creeda widziała swego wybawcę? Czy naprawdę wierzyła, że uratuje ją przed strachem, smutkiem i cierpieniem, które towarzyszą jej od lat? I które sprawiają, że jest teraz na skraju wyczerpania?

Łzy popłynęły jej z oczu, kiedy tylko pomyślała o Matcie. I gdy lały się jej po policzkach, gorzkie, piekące, zrozumiała, że to już koniec. Że dłużej nie potrafi się bronić.

Runął mur, który wzniosła wokół siebie, by odgrodzić się od cierpień.

Zalała ją fala wspomnień - obrazów z przeszłości. Widziała Lizę, która śpiewa jakąś zwariowaną piosenkę. Lizę, która wspólnie z nią zmywa naczynia, a jednocześnie tańczy po kuchni. Lizę, która gra z nią w karty i próbuje ją pocieszyć, kiedy ona, Danni, pokłóciła się ze swą najlepszą przyjaciółką. Lizę, która zawsze wszystko stara się naprawić, która do wszystkiego wnosi radość i życie. Uśmiechniętą, przyjazną ludziom Lizę. Kochaną Lizę.

Zacisnęła powieki.

- Siostrzyczko - szepnęła w mroku, który rozpraszały jedynie srebrzyste księżycowe promienie. - Jestem taka zagubiona. Skrzywdziłam Matta. Boję się, że mogę również skrzywdzić dziecko. Nie mam tyle siły co ty. Dlaczego... - Wbiła załzawione oczy w sufit. - Dlaczego odeszłaś? Dlaczego umarłaś?

Położyła się na boku, nawet nie przykrywając się cienkim kocem, i leżała tak, pogrążona w rozpacz. Po raz pierwszy od śmierci siostry nie tłumiła smutku; jej ciałem wstrząsał gwałtowny szloch.

Długo leżała w dźwiękoszczelnym pokoiku, aż wydało się jej, że wypłakała wszystkie łzy. Wtedy z paczki na stoliku nocnym wyciągnęła garść chustek, wydmuchała nos, osuszyła oczy i westchnęła ciężko. Chyba jeszcze nigdy nie czuła się tak zmęczona i wypompowana emocjonalnie jak teraz.

Sięgnęła po omacku po telefon i połączyła się z dyżurką pielęgniarek na oddziale położniczym. Starając się opanować drżenie głosu, poprosiła Carol Hollis, jedyną osobę, której mogła ufać.

- Carol? To ja... Nie, nie, w porządku, jestem tylko zmęczona... Pewnie tak. - Westchnęła. - Słuchaj, powiedz Bryantowi, że źle się poczułam i poszłam do domu... Co takiego? Pośliznął się na lodzie? W takim razie zadzwoń do Stone'a. Przepróż go i wyjaśnij sytuację... Nie, nie potrzebuję twojej pomocy. Naprawdę nic mi nie jest... Nie przejmuj się mną. Dam radę dojechać do domu.

Dopiero za trzecim razem udało jej się odłożyć słuchawkę na widełki. Wstała. Nogi jej drżały. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się jej wyjść ze szpitala podczas dyżuru. Tym razem jednak nie było sensu zostawać, skoro nikomu na nic nie mogła się przydać. Tak jak się spodziewała, danie upustu uczuciom, które dusiła w sobie od śmierci Lizy, w niczym jej nie pomogło, wręcz odwrotnie - zaszkodziło; nie była zdolna wykonywać swych obowiązków. To się nigdy nie zmieni, pomyślała smętnie. Liza nie żyje, a ona, Danni, nigdy nie pogodzi się z jej śmiercią. Smutek i strach nadal będą towarzyszyć jej w życiu.

Teraz jednak marzyła tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w swojej sypialni, położyć do łóżka, zwinąć w kłębek, odizolować od świata i zasnąć.

Dojechawszy do domu, usiłowała otworzyć pilotem drzwi garażu - bezskutecznie. No tak. Bez prądu mechanizm nie działa. Patrząc przez zaparowane szyby samochodu, rozejrzała się dookoła. Nigdzie nie paliło się ani jedno światło. Widocznie awaria objęła całą dzielnicę.

Ze schowka na mapy wygrzebała latarkę, po czym, oświetlając sobie drogę, skierowała się do drzwi. Weszła do środka; przy schodach podniosła głowę i zawołała:

- Jackie!

Odpowiedziała jej cisza; najwyraźniej dziewczyna udała się na noc gdzieś, gdzie grzeją. Z szafy w holu Danni wyjęła puchowy śpiwór, który nadawał się do spania na mrozie, i zaciągnęła go do sypialni.

Perła i Dym leżały wtulone w siebie na stosie poduszek pośrodku wielkiego łóżka.



- Cześć, pieski! Dzięki za ogrzanie mi miejsca - powiedziała, spychając zwierzęta na bok, tak by móc wyciągnąć spod nich narzutę i kołdrę.

Nie zdejmując kurtki ani czapki, wcisnęła się do śpiwora, zaciągnęła zamek, po czym wysunawszy rękę, nakryła się dodatkowo grubą kołdrą.

Środek łóżka, gdzie psy spały w czasie jej nieobecności, był cudownie nagrany. Zwierzęta przysunęły się do swej pani, usiłując zająć dawne miejsce.

- Och, wy paskudy - szepnęła do nich czule.

Po chwili powieki zaczęły jej ciążyć, więc zamknęła oczy. Uznała, że prześpi się ze dwie godziny, a jeśli po obudzeniu się stwierdzi, że w domu wciąż nie ma prądu, wówczas wstanie i pojedzie do matki. Albo rozpali ogień w kominku.

Rozpalić ogień - to była jej ostatnia myśl przed zaśnięciem.

Małutki kawałek rozżarzonego węgla, który wystrzelił z kominka zaraz po wyjściu Jackie, leżał w salonie, nie na kamiennej podłodze wokół kominka, lecz na dywanie, i powoli wypalał w nim dziurę. Nie było ani dymu, ani ognia, nie było nic, żadnego ostrzeżenia...

Tlił się bezgłośnie w cichym, lodowatym domu. Zegar w holu tykał miarowo, odmierzając czas, szron osiadał na szybach, pozbawiony prądu system alarmowy nie wyczuwał niebezpieczeństwa.

Lecz pożar jeszcze nie wybuchał. Czekał. Dojrzewał. Jakby zbierał siły.

## *Rozdział 21*

Zawsze po powrocie z akcji strażacy rzucali się z apetytem na jedzenie.

W kuchni mieszczącej się na zapleczu budynku straży pożarnej powietrze wypełniał intensywny zapach pieczonej szynki, która została po świętach. Mężczyźni siedzieli wokół stołu, opowiadając dowcipy - był to ich sprawdzony sposób na rozładowanie napięcia.

Tak jak przewidział Tom, poproszono Matta, aby wrócił do pracy i zastąpił kapitana, który pośliznął się na oblodzonym chodniku i nadwreżył sobie kręgosłup.

Przez cały wieczór strażacy wyjeżdżali do pożarów, szynka stygła, bo nie miał jej kto jeść, potem kucharz znów ją wsuwał do pieca. Ostatnie wezwanie porządnie dało się wszystkim we znaki. Wreszcie o drugiej nad ranem nastąpiła chwila spokoju. Mężczyźni byli głodni, zmęczeni, ale zadowoleni. Tym bardziej że podczas żadnej z akcji nikt nie odniósł ran.

- Czy z tego mięska nie został już sam popiołek? - spytał ktoś, a reszta ryknęła śmiechem.

Żartowali, przekomarzali się, wołali do kucharza, żeby szybciej kroił, bo nie zamierzają czekać do wiosennej odwilży, szybciej, szybciej, zanim znów rozlegnie się alarm i trzeba będzie pędzić do pożaru. Jakoś tak zawsze się składało, że musieli wszystko rzucać i gnać do wozu, akurat gdy jedzenie pojawiało się na stole. Więc popędzali kucharza i nie czekając, aż ułoży mięso na półmisku, zabierali mu plastry niemal spod noża.

W kuchni byli wszyscy poza Mattem.

Matt siedział przy podrapanym metalowym biurku w gabinecie kapitana, przesuwał z kąta w kąt papiery i myślał. Myślał o Danni, na niczym innym nie potrafił się skupić.

Odrzącała go. Nie chciała ani jego pomocy, ani miłości. Nie sposób zmusić kogoś, by cię pokochał, powtarzał sobie w duchu. Raz po raz stawał mu przed oczami obraz karaibskiej plaży oświetlonej blaskiem księżycy. Pamiętał, jak leżeli na piasku, pamiętał dotyk jej ciepłego ciała...

Ręka z długopisem zawisła mu bez ruchu nad kartką papieru. Siedział zamyślony, wpatrując się w światło lampy. W jego głowie odżyły wspomnienia; słyszał śmiech Danni, potem jej przyśpieszony oddech i błagalny szept o jeszcze...

Życie. Rosło w niej nowe życie. Dziecko, które razem splodzili. Nagle przeraził się. Czy ma być jednym z tych ojców, którzy zaledwie kilka razy w miesiącu mogą widywać swoje dziecko? Nie chciał tego. Chciał mieć normalną rodzinę. Prowadzać synka na zawody baseballowe, gotować mu ulubione potrawy, bawić się z nim w ogródku, wspólnie uczyć psa nowych sztuczek, razem puszczać latawce, słowem codziennie przebywać z dzieckiem, wychowywać je, kształtować jego charakter.

Dlaczego Danni się temu sprzeciwia? Dlaczego woli być samotną matką? Dlaczego musiał zakochać się w kobiecie, która nie podziela jego marzeń? Która nie umie ich dzielić?

Była w ciąży. Dobry Boże! Za kilka miesięcy urodzi dziecko. Jego dziecko!

- Psiakość, nie ma bitej śmietany! - zawołał któryś ze strażaków, otwierając potężną lodówkę. - Placek z dyni bez bitej śmietany to nie to. Hej, Dolby! Leć na róg do nocnego i kup śmietanę!

- Ani się waż, Dolby! - krzyknął przez uchylone drzwi Matt, który zastępował nieobecnego kapitana. - Mamy dwunastu ludzi na trzy wozy. Trochę mało.

- No nie! - rozległ się z kuchni chóralny okrzyk niezadowolenia.

- Hej, Creed! - Najstarszy strażak wsunął głowę do gabinetu. - Coś ty taki zasadniczy? Przecież to dwa kroki stąd!

- No dobra, w porządku! - zgodził się po chwili wahania Matt. - Ale niech idzie Smith. I wraca piorunem!

Smith w biegu narzucił kurtkę i skierował się do wyjścia. Był to młody chłopak, przyjęty na okres próbny, który podczas akcji pozostawał przy wozie i pilnował ciśnienia wody - dlatego Matt uznał, że przez kilka minut mogą się bez niego obyć. W najgorszym razie poradzą sobie we trzech: on, Tom i Gil. Już parę razy zdarzało im się jechać na akcję w takim składzie. Na szczęście - odpukać! - w mieście panuje teraz spokój. A skoro chłopakom tak bardzo zależy na bitej śmietanie...

Zanim kucharz pokroił do końca szynkę i zanim Smith wrócił ze sklepu, rozległ się kolejny alarm.

Pod ciężarem śniegu i lodu zwała się gałąź rosnącego przed domem wielkiego dębu. Spadając na ziemię, zerwała z dachu ogromny sopel, który niczym kryształowy miecz wbił się w śniegową pokrywę.

Danni, wyczerpana fizycznie i psychicznie, spała kamiennym snem, owinięta kołdrą i śpiworem, nie mając pojęcia, co się dzieje na zewnątrz. .

W salonie rozżarzony węgielek wielkości dziesięciocentówki wypalił w pięknym, miękkim dywanie ciemną dziurę wielkości ćwierćdolarówki. Znad dziury unosiła się cienka smuga dymu - znak, że lada moment dywan może stanąć w ogniu. Wystarczy lekki podmuch...

Przewód kominowy był otwarty i lekki podmuch wędrował kominem w dół.

Sąsiadka Danni z naprzeciwka, pani Forde, przekreślała się z boku na bok, zła, że znów nie może zasnąć. Rozkosze menopauzy, pomyślała kwaśno. Mimo iż miewała typowe dla kobiet w jej wieku napady gorąca, nic one nie pomagały. Bez ogrzewania w domu było diabelnie zimno. Brrr! Zastanawiała się, kiedy wreszcie służby miejskie usuną awarię. Piecyki na naftę, które mąż porozstawiał, okazały się całkiem nieprzydatne. Postanowiła zejść na dół do kuchni. Oświetlając drogę latarką, szła po schodach, kiedy nagle przez szybę w drzwiach ujrzała migotliwy blask. Pomarańczowe refleksy na śniegu wyglądały dość podejrzanie na tle pograżonego w ciemności miasta.

Dziwne, pomyślała, zbliżając się do okna. Skąd tak intensywne światło? Ogień w kominku? Nie, niemożliwe.

Pani Forde, jak zwykle lubiąca wszędzie wścibiać nos, choć ona sama nazywała to „czujnością”, wciągnęła ocieplane zimowe buty i puchową kurtkę, po czym wyszła pośpiesznie na ośnieżony trawnik przed domem, by zobaczyć, co się dzieje. Ponieważ od kilku dni wszyscy palili w kominkach, z początku nie zwróciła uwagi na zapach dymu unoszący się w powietrzu.

Ostrożnie, by nie upaść, doszła po oblodzonym wzniesieniu aż na skraj ogrodu, skąd miała dobry widok na południową ścianę domu swej młodej sąsiadki; pomarańczowe światło docierało właśnie stamtąd.

Na widok ogromnych okien w domu po drugiej stronie ulicy pani Forde stanęła przerażona.

Zasłony stoją w ogniu!

Kobieta nabrała do płuc lodowatego powietrza, otworzyła szeroko usta i zaczęła krzyczeć; wołała swojego męża.

Potykając się na śliskim zboczu, wspinała się z powrotem do swojego domu. Raz po raz wołała męża, a jednocześnie modliła się w duchu, aby w płonącym domu nie było nikogo. Doktor Goodlove miała, zdaje się, służącą i psy. Boże kochany! - pani Forde zerknęła nerwowo za siebie - czy BMW stojące na podjeździe przypadkiem nie jest własnością młodej lekarki? Może powinna pobiec do domu sąsiadki i sprawdzić, czy nic się jej nie stało? Bała się jednak, że nie zdoła pokonać oblodzonego podjazdu. Nie. Musi czym prędzej dotrzeć do telefonu komórkowego i zadzwonić po straż pożarną. Bo nie ulegało wątpliwości, że jeszcze kilka minut i ogień strawi cały dom.

W tym samym momencie oba psy zaskomlały, usiadły na łóżku i zaczęły węszyć. Nozdrza im drgały. Po chwili Perła, w odpowiedzi na krzyk kobiety za domem, zaczęła szczekać zajadle, jakby się czegoś bardzo wystraszyła.

Danni powoli odzyskiwała przytomność. Najpierw czuła irytację z powodu szczekania psa. Potem usłyszała hałasy na zewnątrz, wołanie albo krzyk, a następnie przez oczy wciąż klejące się od snu zobaczyła dochodzący z holu blask. Dziwne. Czyżby jednak wstała i rozpałała ogień w kominku?

W salonie rozległ się odgłos, jakby coś strzeliło w powietrze; niespodziewana jasność sprawiła, że Danni otworzyła szeroko oczy. Wciągając zadymione powietrze, nagle uświadomiła sobie, że dom się pali.

- O Boże! - zawołała.

Perła i Dym, ujadając z furją, zeskoczyły z łóżka i pognały do drzwi.

Drżącymi rękami Danni przesuwiała nerwowo po śpiworze, nie mogąc znaleźć suwaka. Ogarnęło ją uczucie klaustrofobii. Wreszcie uspokoiła się na tyle, by wymacać ukryty pod materiałem suwak i pociągnąć go w dół. Pamiętaj, że jesteś w ciąży, powtarzała sobie w myślach. Zachowaj spokój i trzeźwość umysłu. Nie zapominaj o dziecku. Staraj się jak najszybciej wydostać przed dom.

Przypomniała sobie, że podczas pożaru najłatwiej oddycha się, będąc jak najniżej, stoczyła się więc z łóżka na podłogę. Mimo że ogień trawił dom, w sypialni panował lodowaty chłód i dygotała jak w febrze.

Próbując nie zwracać na to uwagi, czołgała się po podłodze wzdłuż brzegu łóżka, w stronę drzwi. Nie widziała, by gdziekolwiek w sypialni błyskały płomienie, nic nie widziała, tylko gęsty, nieprzenikniony mrok, mimo to oczy ją szczypały, gardło piekło. Nie chciała wciągać w płuca dymu, więc starała się wstrzymywać oddech, ale po chwili zaniosła się kaszlem.

Moje dziecko, myślała nerwowo. Czy dziecku nie stanie się krzywda?

Sunęła na czworakach ku drzwiom, kiedy nagle uzmysłowiła sobie, że to bezsens - nie powinna kierować się w stronę ognia, tylko w przeciwną, do okien, aby jak najprędzej wydostać się na zewnątrz. Zawróciła. Lecz wielkich szyb nie dawało się podnieść, a lufciki w górze znajdowały się za wysoko. Kaszel oraz szczekanie psów przeszkadzały jej logicznie myśleć.

Odkąd psy zbudziły ją skomleniem, minęło piętnaście cennych sekund.

Kiedy następowało wezwanie do pożaru, w budynku straży automatycznie zapalały się wszystkie światła i rozlegało się przeraźliwe wycie syreny alarmowej. Strażacy błyskawicznie przystępowali do działania. Teraz też, wepchnąwszy do ust trzymane w rękę kawałki jedzenia, rzucili się pędem do prycz, wciągnęli kombinezony i gumowe buty. Ciężkie, solidne drzwi otworzyły się, aby wozy mogły natychmiast wyjechać.

Matt ubierał się w gabinecie kapitana, słuchając w radiu komunikatu.

- Utica Square - powiedział płaski monotony głos kobiecy. - Pierwsze wezwanie. Wozy piąty i siódmy. Pożar się rozprzestrzenia. Uwaga, podaję adres: 2125 Wschodnia Dwudziesta Druga. Powtarzam. 2125 Wschodnia Dwudziesta Druga. Mapa: strona 1075.

Na ułamek sekundy Matt zamarł bez ruchu; miał nadzieję, że się przesłyszał albo dyspozytorka się pomyliła. Lecz zanim jeszcze kobieta przestała mówić, z drukarki zaczęła wysuwać się kartka z dokładnym adresem. Poczul ciarki na grzbiecie.

To adres Danni! Płonie jej dom!

Chwycił wydruk i pognął do wozu. Mason i Hernandez czekali w piątce. Pozostali wsiadali do siódemki.

- Jedziemy! - krzyknął Matt. - No, już!

Wiedział, że przez pierwsze najważniejsze minuty będzie tylko jeden wóz - piątka z trzyosobowym zespołem. Ale to nieważne. Ważne, aby dojechać jak najszybciej.

- Boże, żeby tylko jej nie było w domu! - powtarzał przez zaciśnięte zęby. Brzmiało to bardziej jak groźba niż życzenie.

Walczyła o każdy oddech, o to, by nie stracić przytomności. Czy po wejściu do domu, zamkneła za sobą drzwi? Gdzie się podziewają Perła z Dymem? Otworzyła oczy, usiłując dojrzeć psy, ale wokół było czarno - czasem tylko otaczający ją mrok przeszywał błysk płomieni, które wypełniały hol. Nagle przez trzask ognia przebił się dźwięk jadących na sygnale wozów strażackich. Och, gdyby tylko udało się jej dotrzeć...

Wyciągnęła rękę, szukając po omacku łóżka. Bezskutecznie. Na moment znów otworzyła oczy, ale tak bardzo ją piekły, że czym prędzej zacisnęła mocno powieki. Kręciło się jej w głowie, była zdezorientowana. W którą stronę ma iść? Gdyby chociaż wiedziała, gdzie jest łóżko, ściana, okno... Nisko pochylona, z trudem posuwała się naprzód.

Wreszcie, po nieskończonej długiej wędrówce, poczuła pod rękami chłodne kafelki - dotarła do łazienki. Resztkami sił wczołgała się do środka i opadła na podłogę. Przez chwilę leżała bez ruchu, z policzkiem przyciśniętym do zimnej terakoty. Miała wrażenie, że podłoga wiruje, a ona sama waży kilka ton. Mimo to zdołała unieść głowę, potem tors, usiąść w kucki, owinać ramiona wokół kolan, tak by chronić brzuch i dziecko, które w nim rosło.

Teraz o niczym innym nie była w stanie myśleć. Dziecko jest najważniejsze. Czy wie, jak bardzo je kocha?

Czuła, że traci grunt pod nogami, że odpływa w jakimś nieznanym kierunku. Myśli się jej plątały. Bardzo dziwne to były myśli: miękkie, puszyste, błękitne.

Zdumiała się, kiedy życie zaczęło się jej przetaczać przed oczami. Wiedziała, że to się niektórym zdarza, ale zazwyczaj ludzie widzieli obrazy ze swojej przeszłości,

ona zaś widziała przyszłość. Przyszłość, której nie zazna, jeżeli teraz zginie w płomieniach. Przyszłość, którą sama niemal zniweczyła, ulegając własnym strachom. Przyszłość, którą dzieli z Mattem. I dzieckiem, które odziedziczyło po ojcu niebieskie oczy i czarne włosy.

Oczami wyobraźni widziała, jak Matt zgarnia ją i dziecko w ramiona. Czowała jego dotyk. Matt... Był taki silny, taki pełen życia - życia, które z niej coraz szybciej uchodzi.

Matthew, Matthew. Potrzebuję cię. Ono cię potrzebuje. Nasze maleństwo. Przyjedź, proszę cię. Przyjedź, Matthew. Uratuj je. Ocal nasze dziecko. Matthew...

Kocham cię, Matt... To była ostatnia myśl, jaka się pojawiła w jej głowie.

Gdy tylko wóz, który przez całą drogę pędził na sygnale, zajechał pod płonący dom, Matt zeskoczył na ziemię i rozglądając się wkoło, zaczął szukać Danni wśród stojącej nieopodal gromadki przerażonych ludzi. Nie dojrzał jej.

Tuż za nim dwaj inni strażacy, Mason i Hernandez, których słabo znał, bo nie byli z jego zmiany, też zeskoczyli na ziemię i przez moment wpatrywali się w trawiony ogniem budynek. Potem skierowali wzrok na białe BMW zaparkowane na podjeździe.

- Myślisz, że ktoś jest w środku? - zawołał Mason do Matta, który uwijał się jak w ukropie, rozwijając potężny szlauch.

- Z tyłu domu jest szklana ściana! - krzyknął Matt, zarzucając szlauch na ramię.  
- Rozbijcie ją. Ja pójdę od drugiej strony i...

Mason pokręcił głową.

- Zgłupiałeś, szefie? W pojedynkę nie dasz rady! Skończy się na tym, że będziemy ratować ciebie.

Matt minął Masona, ignorując jego ostrzeżenie. Psiakrew, z Tomem i Gilem nie musiałby się wyklócać.

- Kiedy przyjedzie karetka - krzyknął przez ramię - skieruj sanitariuszy od tyłu! Przez rozwaloną ścianę!

Mason biegł za nim, usiłując nie stracić ani słowa z udzielanych mu instrukcji.

- Tam jest łazienka! - kontynuował w biegu Matt. - Postaram się w niej ukryć z ofiarą!



- W porządku, szefie!

Matt miał świadomość, że porywa się z motyką na słońce; że to, co zamierza zrobić, to szaleństwo, zwłaszcza w sytuacji, gdy jest tylko jeden wóz, w dodatku z zespołem w osłabionym składzie. Wchodzenie w pojedynek, bez zabezpieczenia, do płonącego domu jest łamaniem wszelkich reguł. Ale nie miał wyjścia. Musi zaryzykować. Tam w środku jest Danni.

Hernandez rozmawiał przez radio z drugim wozem strażackim.

- Siódemka jest już o przecnicę stąd! - zawołał do Matta. Ryk syren coraz głośniejszy przeszywał nocne powietrze.

- Nie mogę czekać! - odparł Matt, ciągnąc szlauch. - Nie ma czasu!

Hernandez wyprzedził go, po czym uniósłszy bosak, z całej siły uderzył w drzwi. Otworzyły się. Mężczyźni kucnęli; nad ich głowami wypłynęła chmura czarnego dymu.

- Odkręć wodę! - polecił Matt, znikając w otchłani mroku i dymu.

Nic nie widział. Wewnątrz było czarno. A potem kątem oka dostrzegł czerwoną łunę osłoniętą grubą pierzyną ciemnego dymu. W holu panował niemiłosierny żar. Matt kucnął, po czym ruszył przed siebie; uznał, że idąc wzdłuż ściany najszybciej dotrze do sypialni. Modlił się w duchu, aby Danni tam była. Niech będzie w sypialni, niech będzie w sypialni...

Zdawał sobie sprawę, że w tak wysokiej temperaturze może pracować wydajnie najwyżej pięć minut. Zazwyczaj, kiedy nocą wybuchał pożar, domownicy umierali w łóżkach, zaczadzeni dymem.

Nasunął maskę na twarz. Wiedział, że wciągając w płuca rozgrzany dym, nie dotrze do niej na czas. W masce czuł się jak Darth Vader z „Gwiezdných wojen”. Jego własny oddech dudnił mu w uszach. Ogień był wrogiem, z którym potrafił walczyć, wrogiem, którego umiał pokonać. Oby tylko nie okazało się, że przybyli za późno. Nie, na pewno zdąży. Danni nie może zginąć!

Przeklinał pod nosem, mocując się ze szlauchem. Niełatwo jest wlec go za sobą, nawet gdy kolega stoi przy wozie i odwija ze szpuli. Zacisnął ręce na końcówce, czekając, aż pojawi się woda.

I nagle usłyszał szczekanie psów.

Domyślił się, że muszą być tam, gdzie Danni.

Raptem szlauchem szarpnęło i wystrzelił z niego potężny strumień. Matt czuł się tak, jakby trzymał na lasso dzikiego, wyrywającego się konia. Skierował wodę w górę, nad ogień, tak by odbity od sufitu strumień z jeszcze większą siłą opadł na płomienie. Szedł w stronę, z której docierało rozpaczliwe ujadanie psów. Każde szczeknięcie napawało go nadzieją, wiarą, że jeszcze nie jest za późno.

Dwukrotnie musiał prostować się i przedzierać przez ścianę ognia, lecz brnął dalej, miotając przekleństwa.

Ona tam jest. Wyczuwał jej obecność.

Kiedy nie ciskał przekleństw, modlił się. Modlił się gorąco, choć to, co mówił, nie było prawdziwą modlitwą. Było nerwowym, chaotycznym błaganiem, krzykiem rozpacz, który popychał go naprzód. Niczym rozwścieczone zwierzę przedzierał się przez huczące płomienie. Główny hol stanowił istny labirynt, w bok odchodziły mniejsze korytarze i korytarzyki.

Nareszcie. Pierwsze drzwi. Drugie. Za nimi sypialnia.

- Danni! - krzyknął, nie zdejmując maski.

Z głębi pokoju, gdzie mieściła się łazienka, odpowiedziało mu szczekanie. Opadł na kolana, bo tuż nad podłogą było najmniej dymu i - mocując się z węzłem, jakby to był żywy organizm, którego trzeba okiełznać, przytrzymać - zaczął się czołgać.

W pewnej chwili zamiast twardej podłogi wyczuł ręką coś miękkiego. Był to jeden z psów, który poderwał się i uciekł z cichym, wystraszonym piskiem. Matt odrzucił za siebie szlauch, pozwalając, by strumień leciał na wszystkie strony. Wiedział, że wody i tak zaraz zabraknie.

- Chodź, piesku! Dobry piesek! - usiłował przywołać zwierzę.

Wkrótce szczupłe, umięśnione ciało Perły otarło się o jego bok. Chwycił zwierzę za sierść. Zwierzę natychmiast zaczęło go ciągnąć. Kilka sekund później drugą ręką wymacał zwiniętą na podłodze Danni. Leżała całkiem bez ruchu. Odnalazł po ciemku jej głowę, po czym zerwał maskę i przytknął ją do jej twarzy.

W tym samym czasie usłyszał głośny brzęk tłuczonego szkła. Nawet nie zastanawiając się, co robi, przysłonił swoim ciałem ciało Danni. Do środka wpadł

powiew zimnego powietrza. Matt poderwał się na nogi, podniósł z podłogi Danni i przytulił ją mocno do piersi.

Tylko przestrzeń pokoju dzieliła go od otworu, który jego koledzy wyrąbali w szklanej ścianie. Przez trzask płomieni i syk wody z węża zalewającej sypialnię wyraźnie przebijały się ludzkie głosy. Miażdżąc butami kawałki szkła, ruszył w ich stronę.

Już zamierzał unieść Danni wyżej i podać ją przez wyrąbany otwór kolegom, gdy wtem uświadomił sobie, że to niemożliwe. Otwór jest zbyt mały, aby przedostać się przez niego na zewnątrz. Szkło wciąż sypało się z brzękiem na podłogę. Ratownicy walczyli zaciekle ze ścianą, kruszyli ją kawałek po kawałku, ale...

Wziął głęboki oddech, odwrócił się i przez kłęby dymu rzucił się w przeciwnym kierunku - do okna po drugiej stronie łóżka. Ponieważ pracował tu podczas remontu, znał dokładnie wszystkie wymiary i odległości między ścianami.

Kiedy wyczuł kolanem siedzisko pod oknem, odruchowo zacisnął wokół Danni ramiona, następnie skoczył.

Szyba się stłukła.

Przez moment toczył się po oblodzonej, pokrytej śniegiem ziemi, myśląc tylko o tym, by nie przygnieść Danni. Potem, wciągając w płuca czyste, zimne powietrze, zaczął się wolno podnosić. Nagle poczuł, jak ktoś go chwyta od tyłu i pomaga wstać. Oddychał tak łapczywie, że aż się zakrztusił. Chwilę później tą samą drogą, przez okno, wyskoczyły z domu dwa psy. Szczekając głośno, wylądowały na Matcie, niemal zwalając go z nóg.

- Czy ona oddycha? - krzyknął Matt do dwóch mężczyzn w białych fartuchach.

- Tak! - odparł jeden z nich.

Ściągnęli Danni z twarzy maskę, wzięli ją na ręce i ruszyli pędem do karetki. Matt biegł za nimi, ślizgając się i potykając na oblodzonej ziemi. Ni stąd, ni zowąd kątem oka dostrzegł Toma, który go podtrzymywał, by nie upadł, a jednocześnie usiłował zmusić do zatrzymania.

- Przyjechałem, jak tylko usłyszałem wezwanie! - zawołał Tom. - Stój, Matt! Poczekaj...

- Danni!

Do Matta nic nie docierało, nic go nie obchodziło. Liczyła się tylko ona. Nie interesował go pożar; płomienie mogły strawić wszystko - dom, dzielnicę, całe miasto.

Oswobodził się z rąk przyjaciela i potykając się, znów ruszył przed siebie. Na podjeździe przed płonącym domem stała karetka. Obok niej uwijali się sanitariusze.

Nasunęli Danni na twarz maskę tlenową, ją samą ułożyli na noszach i okryli kocami. Matt podszedł, z trudem trzymając się na nogach; ból rozsadzał mu klatkę piersiową, a buty ważyły chyba tonę.

- Szybciej, do cholery! - wycharczał gniewnie, popychając czarnoskórą sanitariuszkę.

- Spokojnie, kolego - powiedziała kobieta. - Najważniejsze, że ofiara żyje.

- Jadę z wami! - Wgramolił się do środka i usiadł przy noszach. - Na co czekajcie?! Jazda!

Tom i jakiś strażak, którego nie znał, zatrzasnęli drzwi. Po chwili karetka ruszyła na sygnale.

Dopiero wtedy Matt przyjrzał się uważnie Danni. Była nieprzytomna, brudna, czarna na twarzy, zwłaszcza przy nosie i ustach. Ciekawe, ile się dymu nawdychała? Na szczęście nie wyglądała na poparzoną. Wziął ją za rękę i siedział cicho, starając się nie przeszkadzać w pracy sanitariuszom.

- Jest w ciąży - oznajmił nagle.

Sanitariusz skinął głową, po czym zerknął na płaski brzuch pacjentki; jeszcze nic nie było widać.

- Pan ją zna?

- To moja żona - odparł Matt, nie odrywając oczu od ukochanej.

Mężczyzna na moment zamarł bez ruchu.

- Do diabła...! - zaklął głośno. - To był pana dom? Cholera!

- Może byście dali jej kroplówkę?

- Słusznie. Racja.

Matt uniósł bezwładną dłoń Danni, przyłożył sobie do czoła, potem do ust.

- Żyj, maleńka, proszę cię. Nie umieraj - szepnął, całując jej palce. - Żyj, Danni, żyj.

Oczy piekły go od łez.

- Proszę się nie obawiać - rzekła uspokajającym tonem sanitariuszka. - Serce bije mocno, puls ma regularny...

Podłączyli kroplówkę. Danni zakasłała, powieki jej zadrgały, jakby usiłowała je podnieść. Matt poczuł nagłą ulgę.

- Danni - wyszeptał ochryple. - Jestem przy tobie. Jestem tu.

Czarnoskóra sanitariuszka sięgnęła po kawałek gazy, przetarła pacjentce usta i nos, po czym nasadziła z powrotem maskę tlenową. Widoczna pod maską twarz odprężyła się; po chwili Danni otworzyła oczy - były obrzękłe, przekrwione - i rozciągnęła usta w słabym uśmiechu.

- Matt... przyszedłeś. - Skrzywiła się z bólu. - Byłam taka głupia, Matt...  
Przepraszam...

Pokręcił głową.

- Ciii. Nic nie mów, kochana. Po prostu oddychaj. - Gładził ją po czole. -  
Oddychaj głęboko...

Posłuchała; zamknęła usta, oczy i przez kilka sekund leżała spokojnie, wciągając w płuca czyste powietrze. Potem znów otworzyła oczy.

- Tak się poznaliśmy, prawda? - spytała cicho.

Na widok jej uśmiechu Matt poczuł, jak radość rozpiera mu serce.

- Tylko wtedy... - zakasłała - tylko wtedy ty miałeś maskę na twarzy.

Uścisnął mocno jej dłoń.

- Odpoczywaj, malutka. Oszczędzaj siły. Zaraz dojedziemy do szpitala.

Skinęła posłusznie głową, znów zamknęła oczy i przez chwilę oddychała spokojnie, długo jednak nie wytrzymała.

- Co sobie o mnie pomyślałeś? - spytała, napotykając jego przenikliwe spojrzenie.

- Kiedy? - Zmarszczył czoło.

- No wtedy. Kiedy się poznaliśmy.

Uśmiechnął się, nie tyle na wspomnienie tamtego wieczoru, co z radości i ulgi. Cieszył się, że Danni żyje, że nie jest na niego zła, że chce z nim rozmawiać.

- Pomyślałem sobie - czubkami palców delikatnie odgarnął jej z czoła kilka kosmyków - że piękniejszej istoty w życiu nie widziałem.

- Akurat.

Patrząc jej głęboko w oczy, skinął z powagą głową, po czym pochylił się i pocałował w brudną, ze smugami sadzy skroń.

- Kocham cię, maleńka.

Objęła go za szyję. Wzruszenie ścisnęło jej gardło.

- Myślisz, że dziecku nic się nie stało?

Położył rękę na jej brzuchu, poniżej pępka, który tak lubił całować.

- Na pewno nic. Jest cała i zdrowa. Przyrzekam ci.

- Cała i zdrowa? A nie cały i zdrów?

- Dziewczynka, chłopczyk... co za różnica? - odparł, gładząc ją lekko po brzuchu. - Ważne, że dziecko jest nasze.

Zacisnęła powieki.

- Nie opuszczaj mnie, Matt - szepnęła. - Nie zostawiaj...

- Wiesz, że tego nie zrobię. Nigdy.

- Jeśli matka się dobrze czuje, dziecko na ogół też - wtrącił zdecydowanym tonem sanitariusz, który dotąd siedział tak cicho, że Matt niemal zapomniał o jego obecności.

- Zaraz będziemy na miejscu. Zbada cię lekarz...

- Daleko jeszcze?

Matt wyrzwał przez okno; jego oczom ukazał się czerwony napis nad izbą przyjęć szpitala Świętego Krzyża.

- Właśnie dojechaliśmy.

Ponownie uścisnęła go za rękę. Uścisk miała słaby, ale to mu nie przeszkadzało. Ważne było to, że Danni, jego ukochana Danni, żyje.

## *Rozdział 22*

Kilka następných dni było niezwykle wyczerpujących dla nich obojga, głównie z powodu nadmiaru emocji, jakich doświadczali; bezbrzeżna radość mieszała się z tęsknotą, a tęsknota z niecierpliwością.

Radość czuli na samą myśl o tym, że Danni nic nie dolega, że wyszła z pożaru bez poważniejszych obrażeń. Owszem, miała parę siniaków, kilka zadrapań, a dym, którego się nawdychała, spowodował zapalenie oskrzeli, które trzeba było leczyć antybiotykami, ale to właściwie wszystko. Podczas badania pacjentki doktor Stone zdołał nawet uchwycić bicie serca płodu. Wsłuchując się w ten cudowny, rytmiczny dźwięk, Danni z Mattem trzymali się za ręce, a w oczach kręciły im się łzy.

Jeśli chodzi o tęsknotę... pragnęli być sami, we dwoje, dotykać się, tulić, całować, póki jednak Danni leżała w szpitalu, nie było to możliwe. Mimo to Matt ciągle przesiadywał u niej w pokoju, opiekował się nią, gładził czule po twarzy, po rękach. Pozamieniał się z kolegami na dyżury, żeby tylko być blisko ukochanej.

Nazajutrz po pożarze, kiedy Danni obudziła się rano w szpitalu, ujrzała Matta, który spał na krześle, z głową opartą na poręczy łóżka. Przyglądając mu się z czułością, wyciągnęła rękę i delikatnie pogładziła go po ciemnej czuprynie. W tym momencie uprzytomniła sobie, jak bardzo się myliła, myśląc, że może żyć wyłącznie pracą. Zrozumiała, że bywają ludzie samotni, przez nikogo nie kochani, ale tylko głupcy zamykają się w sobie i nikomu nie chcą ofiarować miłości.

Jeśli chodzi o niecierpliwość - głównie to ona się niecierpliwiła. Rola pacjentki, która biernie leży w łóżku, w dodatku we własnym szpitalu, słuchając zaleceń opiekującego się nią doktora Stone'a, bardzo jej nie odpowiadała. A najważniejsze zalecenie Stone'a brzmiało: odpoczywać.

- Równie dobrze mogę odpoczywać w domu - zaprotestowała drugiego dnia, kiedy przystanął nad jej łóżkiem podczas porannego obchodu.

- Doktor Goodlove, chyba pani zapomina, że ja też jestem lekarzem. Nie wierzę, żeby jakikolwiek lekarz z własnej nieprzymuszonej woli potrafił leżeć bezczynnie. Jeszcze jeden dzień w szpitalu na pewno pani nie zaszkodzi - rzekł Stone

z uśmiechem. - Może jutro puszcze panią do domu; pod warunkiem, że przez kilka dni nawet nie pomyśli pani o pracy.

- A kto się zajmuje moimi pacjentami? - spytała zaniepokojona.

Bała się, że Bryant, a przecież postanowiła sobie, że choćby miała zaharować się na śmierć, nie pozwoli łądakowi zbliżyć się do żadnej swojej pacjentki.

- Ja - odparł Stone. - Proszę się o nic nie martwić... Chociaż muszę przyznać - dodał po chwili - że miło będzie znów panią zobaczyć na oddziale. Wie pani, że doktor Bryant też jest na zwolnieniu? Podobno się pośliznął i złamał sobie nos.

W tym momencie do pokoju wrócił Matt, który parę minut wcześniej udał się do szpitalnego bufetu na śniadanie.

- Dzień dobry - powiedział do Stone'a, stawiając na stoliku kubek gorącej czekolady dla Danni.

- Matt, to jest mój lekarz i szef, doktor Kenneth Stone. Panie doktorze, przedstawiam panu Matthew Creeda, mojego... narzeczonego.

Doktor Stone wyciągnął rękę.

- Ach tak. - Uśmiechnął się szeroko, widząc koszulkę z nadrukiem straży pożarnej. - To pan uratował z płomieni naszą panią doktor.

- Tak - odparł Matt.

Spoglądając czule na Danni, odgarnął jej za ucho kosmyk włosów. Podniosła głowę i uśmiechnęła się marzycielsko.

- No cóż. Jesteśmy panu ogromnie wdzięczni - kontynuował Stone. - Doktor Goodlove jest nie tylko jednym z naszych najlepszych lekarzy, ale również jednym z najbardziej przez wszystkich kochanym.

Danni zarumieniła się.

- Dobrze, zostawiam państwa samych - dodał Stone. - Gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, proszę się nie krępować...

Kiedy zniknął za drzwiami, Danni sięgnęła po gorącą czekoladę.

- Zupełnie co innego mieć Stone'a za szefa, a zupełnie co innego być jego pacjentką.

- Wyobrażam sobie. - Matt przysunął krzesło do łóżka. - To co, od dzisiaj jestem narzeczoną?



Podniosła kubek do ust i wypila kilka łyków.

- Tak. Niech się wszyscy przyzwyczajają do myśli, że w moim życiu jest mężczyzna. Poza tym mama chce nam wyprawić wielkie wesele.

Matt pochylił się nad łóżkiem, oparł łokcie o materac i wziął Danni za rękę.

- I co ty na to? - spytał.

- A ty? Wzruszył ramionami.

- Mnie to nie przeszkadza. Jeśli jej na tym zależy, myślę, że powinniśmy się zgodzić. Przecież to nic takiego, a Olivia będzie zachwycona.

Patrząc mu w oczy, zbliżyła do ust jego ręce i pocałowała.

- Kocham pana, panie Creed.

- A ja panią - powiedział i zniżając głos do szeptu, dodał: - pani Creed.

Następnie przysunął się i przywarł ustami do jej warg o smaku czekoladowym.

## *Rozdział 23*

*Sześć tygodni później*

Danni stała bez ruchu, z rękami, zwieszonymi wzdłuż ciała, przyglądając się sobie w lustrze. Nagle przez grube ściany kościoła dobiegły ją przytłumione dźwięki organów. Wiedziała, że za moment Olivia skończy wydawać polecenia fotografowi i wpadnie zdyszana do pokoiku na zapleczu, by poprowadzić córkę do ołtarza.

Nie o takim ślubie Danni marzyła, kiedy była małą dziewczynką. Na uroczystość, w jakiej dziś uczestniczyła, po prostu nie starczyłoby jej wyobraźni. Uważnie wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze. Czy ta kobieta to naprawdę ona, Danielle Goodlove?

Obróciła się, żeby przyjrzeć się sobie z profilu. Miała przepiękną suknię, która nawet jej samej zapierała dech w piersiach. Zawdzięczała ją matce, która szukała odpowiedniej kreacji ślubnej w najelegantszych sklepach Denver i Dallas, a w końcu znalazła ją w miejscowym sklepiku na Utica Square, dosłownie kilka przecznic od dawnego domu Danni. Uszyta z połyskliwego materiału w kolorze kości słoniowej,

odslaniała dekolt i ramiona, zasłaniała zaś lekko powiększoną talię panny młodej - chociaż nie było to akurat konieczne, bo Danni z dumą obnosiła swój zaokrąglony brzuch. Rosło w nim dziecko, dziecko jej i Matta. Czując, jak maleństwo się rusza, przyłożyła rękę do brzucha i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Odwróciła głowę, usiłując zobaczyć się od tyłu. Ileż w tej sukni koronki! Delikatnej, miękkiej, w drobny różyczkowy deseń. Sam tren liczy z siedem metrów długości! Welon, uszyty w najcieńszego tiulu, ozdobiony drobnymi perłami, spływał ku ziemi niczym poranna mgiełka. Pod welonem włosy miała rozpuszczone, tak jak Matt najbardziej lubił.

Obejrawszy ze wszystkich stron suknię, popatrzyła na jednokaratowy pierścionek z brylantem, który tak cudownie połyskiwał na jej lewej ręce. Gdzieś w zgłiszczach pozostał śmieszny tandetny pierścionek, który Matt podarował jej na Karaibach. Pierścionek, który tamtej szalonej nocy posłużył im za obrączkę. Chociaż Matt ani razu o nim nie wspomniał, Danni nie mogła przeboleć straty. Gdyby po powrocie z Saint Martin nie zdjęła go z palca, nadal by go miała! Wszystko straciła w pożarze, ale najbardziej było jej żal właśnie tego kiczowatego pierścionka.

A potem dostała pierścionek z brylantem. Któregoś dnia Matt delikatnie pocałował ją w usta, następnie sięgnął do kieszeni dzinsów, powoli wyciągnął pierścionek i wsunął jej na palec. Cały czas patrzył jej prosto w oczy i cały czas milczał.

Ponownie skierowała wzrok w lustro - i spojrzała we własne oczy. Po chwili zamknęła je i przyciskając ręce do piersi, szepnęła:

- Dziękuję. Dziękuję, Boże. Rozległo się pukanie.
- Danni? - usłyszała głos Toma.
- Wejdz - powiedziała.

Tom uchylił drzwi i wsunął głowę do środka.

- Przed chwilą zaprowadziłem na miejsce rodziców Matta - oznajmił. - Gdzie się podziała reszta? - spytał zdziwiony.

- Jackie poszła zdobyć dla mnie wodę - odparła, zwracając się do jego odbicia w lustrze. - Carol przygotowuje się do swojego solowego występu. Mama instruuje fotografa, jak ma robić zdjęcia, a mnie przykazano, żebym się nigdzie stąd nie ruszała.

Strażak pokazał zęby w uśmiechu.

- Jesteś najpiękniejszą panną młodą, jaką kiedykolwiek widziałem. Właściwie równie dobrze mogę to zrobić teraz... - dodał cicho, po czym wszedł do pokoiku i zamknął za sobą drzwi.

- Co zrobić?

- Wręczyć ci prezent od Matta. - Podał jej małe, owinięte srebrnym papierem pudełko.

- O Boże! - Przyciskając ręce do policzków, Danni spojrzała na prezent, po czym z przerażeniem podniosła wzrok na Toma. - A ja mu nic nie kupiłam!

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Nie szkodzi, aniołku. On niczego poza tobą nie chce. Od samego początku pragnął tylko ciebie... - Nagle urwał i zaśmiał się pod nosem, jakby mu się przypomniało coś śmiesznego.

- Co? No powiedz...

- Pamiętam, jak go musiałem namawiać, żeby zadzwonił do ciebie i zaprosił cię na to ognisko w szkole. Strasznie się bał.

- Żartujesz! - Nie mogła uwierzyć, że Matthew może się czegokolwiek bać. - Na miłość boską, a czego się bał?

- Ciebie.

- Mnie? - Otwierając szeroko ze zdumienia oczy, wskazała na siebie palcem.

- Tak. Twoich pieniędzy, wykształcenia, pozycji społecznej. Był przekonany, że tak mądra kobieta jak ty, która na dodatek odniosła w życiu sukces, nigdy nie zechce mieć nic wspólnego z tak pospolitym facetem jak on.

- Matthew nie jest żadnym pospolitym facetem! - zawołała oburzona.

- Zgadzam się. I cieszę się, że tak uważasz. Bo widzisz, Carla ciągle dawała mu do zrozumienia, że jest nikim. Co za straszna ba... - Urwał w pół słowa. Minę miał zawstydzoną. - Przepraszam. Nie powinienem o niej mówić.

- Naprawdę bał się do mnie zadzwonić? - spytała szybko, chcąc wybawić Toma z zakłopotania.

- Tak. A kiedy w końcu go przekonałem, to chciał się ze mną założyć, że taka kobieta jak ty nie przyjmie zaproszenia na ostatnią chwilę.

Poczuła, jak się rumieni, ale lekko zaróżowione policzki jedynie dodawały jej uroku.

- A ja go zaskoczyłam...

- Jesteś pełna niespodzianek, aniołku - powiedział z sympatią Tom. - No, otwórz prezent.

Wzięła pudełeczko, które trzymał w dłoni, rozwiązała delikatną koronkową tasiemkę, ściągnęła cienkie srebrzyste opakowanie. Jej oczom ukazała się mała, obita niebieskim atłasem szkatułka.

- Ojej - szepnęła Danni. - Co jest w środku?

Przez uchylone drzwi dobiegł ją z kaplicy wspaniały, choć nieco przytłumiony głos Carol śpiewającej altem piękną arię.

Powoli uniosła wieczko. W szkatułce, na kawałeczku równo przyciętej waty, leżał klucz. Danni popatrzyła pytająco na Toma.

Przełknął ślinę. Przez moment nie mógł wydobyć głosu.

- To... - Był wyraźnie wzruszony. - To klucz do nowego domu.

- Do nowego domu? - powtórzyła. Nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi.

Mężczyzna skinął głową.

- Tak. Twojego i Matta. Znalazł stary dom podobny do tego, w którym mieszkałaś. Troszkę mniejszy i wymagający remontu. Oczywiście, musisz go najpierw obejrzeć, ale... Ten klucz to po prostu symboliczny prezent ślubny.

Oczy Danni zaszkliły się.

- Podejrzewał, że tak zareagujesz, więc prosił, żebym ci również dał to.

Sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął czysty kawałek materiału w kolorze spłowiełej czerwieni; była to stara chustka Sparky'ego. Danni wzięła ją drżącą ręką, delikatnie otarła łzy, po czym wetknęła chustkę za dekollet, tak by spoczywała na jej sercu.

Nowy dom? Matt doprawdy jest niesamowity. Wiedziała, że czeka ją wspaniałe życie.

Nagle do pokoiku wpadła Jackie; w papierowym kubku niosła wodę.

- Droga pani doktor! Ty płaczesz? - zawołała. - Co się stało?

Odstawiwszy kubek, podbiegła do Danni. Ta wyciągnęła rękę i pokazała jej klucz, ale to Tom musiał wyjaśnić, co on oznacza, Danni bowiem ze wzruszenia nie potrafiła powiedzieć ani słowa.

- Na miłość boską! - zezłościła się Jackie. - Czy ten twój mąż nie ma za grosz wyobraźni? Nie przyszło mu do głowy, że się przez niego poryczysz i rozmażesz sobie makijaż? Napij się. - Podała Danni kubek wody, potem chwyciła pędzelek i przypudrowała nim lśniące policzki panny młodej.

- Matthew od początku wie, jak doprowadzić mnie do łez - oznajmiła Danni, pociągając nosem.

Jackie popatrzyła na nią niepewnie, po czym odwróciła się i pogroziła pędzelkiem Tomowi.

- Już dość narozrabiałeś! Wynoś się! Wracaj do mężczyzn, tam, gdzie twoje miejsce!

- Lepiej nie wymachuj tym na wszystkie strony - rzekł, wskazując pędzelek, po czym otrzepał poły smokingu i znikł za drzwiami.

Po chwili zjawiała się Olivia. Jackie natychmiast pokazała jej prezent, jaki Danni dostała od Matta.

- Wiedziałam, że z nim nie ma żartów - rzekła z uśmiechem matka panny młodej.

Potem wszystkie trzy pokazały klucz Carol, która przyszła na zaplecze, gdy tylko skończyła śpiewać.

- A nie mówiłam, że prędzej czy później znajdziesz odpowiedniego mężczyznę? A raczej że on znajdzie ciebie?

- No i znalazł! - Parskając śmiechem, Jackie puściła do Danni oko. - Na wyspie Saint Martin!

W skrytości ducha Danni musiała przyznać, że ich nieortodoksyjny ślub na Karaibach to było istne szaleństwo. Kiedy wspomniała o tym Mattowi, on chichocząc wesoło stwierdził, że przynajmniej będą mieli co opowiadać wnukom. Na myśl o dzieciach z Mattem, a potem wnukach, oczy znów zaszyły jej łzami.

- Och, przestań się mazgać! Bo będziesz paskudnie wyglądać - skarciła ją Jackie, ponownie chwytając za pędzelek i puder.

- Nie wiem, co mi się stało - powiedziała Danni, posłusznie poddając się zabiegom upiększającym. - Całymi latami nie potrafiłam wykrzesać z siebie ani jednej łzy, a teraz płacę co chwila!

- To dlatego, że jesteś w ciąży, kochanie - oznajmiła czule Olivia. Podeszła do córki i zaczęła jej poprawiać fryzurę. - I dlatego, że jesteś szczęśliwa...

- No dobra, droga pani doktor. Przestań wreszcie myśleć o swoim szczęściu - pouczyła ją Jackie - a zacznij myśleć o tym, że masz tam wyjść i złożyć przysięgę w obecności dwustu osób.

- I trzech psów - dodała panna młoda.

Olivia wzniosła oczy do nieba. To była jedyna, dotychczas, kość niezgody pomiędzy nią a jej zięciem. Psy na ślubie i weselu. Kto to słyszał? Ale Matt oświadczył, że jeżeli Perła,

Dym i Panna Werbena nie mogą wejść do kościoła, to on z Danni rezygnują ze ślubu w kościele i złożą przysięgę małżeńską gdzieś w plenerze, nad rzeką. Olivia ustąpiła. Psy siedziały cicho na kamiennej posadzce, w jednej z bocznych naw, a obok stał strażak w galowym mundurze, trzymając w ręku trzy smycze.

- Co wam odbiło z tymi psami? - spytała Jackie, pudrując Danni czoło. - W dodatku musieliście je wystroić? Białe kokardki dla suczek, szary krawacik dla samca!

Uśmiechając się z pobłażaniem, Danni uściśnęła jedną przyjaciółkę, potem drugą, a na końcu matkę. Widząc, jak łzy ponownie migoczą w oczach panny młodej, wszystkie trzy przekazały jej surowo, aby nawet się nie ważyła rozplakać, po czym szybko wprowadziły ją do kościoła, by po raz drugi mogła poślubić swojego wymarzonego mężczyznę.

## *Epilog*

Na niebie świecił księżyc w pełni, a pacjentka odmawiała współpracy.

- Przyj! - rozkazała Carol. - Przyj!

Danni nie miała zamiaru słuchać przyjaciółki. Wystarczyło spojrzeć na jej twarz, czerwoną i spuchniętą, aby wiedzieć, że jest na skraju wyczerpania.

Matt położył ręce na policzkach żony.

- Danni - rzekł, patrząc jej prosto w oczy. - Przecież wiesz, co należy robić.

Chyba nie chcesz, żeby cały szpital się z ciebie śmiał?

Carol podeszła do łóżka z zimnym, mokrym okładem, który położyła na czole rodzącej.

- Odsuń się - szepnęła do Matta. - Ja z nią porozmawiam... Danni, kochanie, masz prawo być zmęczona - powiedziała spokojnym, rzeczowym tonem. - Po osiemnastu godzinach każda byłaby skonana. Ale zbliżamy się do końca, jeszcze troszkę i będzie po wszystkim. Musisz nam pomóc. Musisz znaleźć siłę, żeby przeć. Myśl o dziecku, kochanie. Myśl o dziecku.

Dobrze. Będzie myślała o dziecku.

Po chwili zacisnęła z determinacją zęby i uniosła się na łokciach.

- Kolejny skurcz - rzekła, szukając wzrokiem Matta.

Stanął tak, żeby ją podtrzymać. Gdyby mógł, urodziłby to dziecko za nią.

Wciągnęła głęboko powietrze, nadeła się niczym Atlas dźwigający na barkach świat i zaczęła przeć. Robiła to przez półtorej godziny, a rezultatu wciąż nie było. Matt liczył na głos, nie odrywając oczu od jej twarzy i starając się ukryć narastający niepokój. A jeżeli coś jest nie w porządku? Gdzie, u diabła, podziewa się lekarz? Dlaczego go tu nie ma? Czyż Danni, jako lekarka i pracownica tego szpitala, nie powinna być otoczona szczególną opieką? W ciągu ostatnich kilku godzin odwiedziły ją chyba wszystkie pielęgniarki zatrudnione w Świętym Krzyżu. Śmiały się, żartowały. Matt miał ochotę wyganiać każdą po kolei. Przecież Danni cierpi. Czy one tego nie widzą? Dlaczego nikt nie chce jej pomóc? Sam z pięć godzin temu podsunął

pomysł cesarskiego cięcia; ku jego zdumieniu Danni roześmiała się i poklepała go po ręce.

- Dziecko nadal jest w położeniu pośladkowym. Chcesz spróbować pozycję klęczną? - spytała nagle Carol, zerkając na monitor.

Danni opadła z powrotem na poduszkę i skinęła głową. Pewnie wiedziała, o czym Carol mówi. Jaka szkoda, pomyślał Matt, że jemu nikt nic nie raczył wyjaśnić.

Carol zbadala pacjentkę, po czym wcisnęła przycisk w ścianie nad łóżkiem. Po chwili zjawila się druga pielęgniarka. Razem pomogły Danni przyjąć odpowiednią pozycję - na czworaka, z głową zwieszoną w dół, a pupą wypiętą w powietrze. Czy to bezpieczne? - przeraził się Matt. Rozsądne? Normalne? Ale kobiety zachowywały się tak, jakby te dziwne wygibasy były czymś naturalnym. W Danni zaś wstąpiła nowa siła. Matt nie chciał im przeszkadzać i zadawać niepotrzebnych pytań, a z drugiej strony martwił się. Bądź co bądź to była jego żona i jego dziecko. W końcu nie wytrzymał.

- Co się dzieje?

- Dziecko jest źle ułożone - odparła Carol, przyciskając dłoń do zwisającego brzucha Danni. - Czasem ta pozycja pomaga je odwrócić.

- Nie denerwuj się, Matt - powiedziała przytłumionym głosem Danni. - Często tak robimy.

Nagle krzyknęła z bólu i z całej siły zaczęła przeć.

- Udało się! - ogłosiła triumfalnie Carol. - Leć po doktor Clemmens - poleciała drugiej pielęgniarce.

Ta wybiegła, a na jej miejsce pojawiła się inna; wyrosła jak spod ziemi i wraz z Carol szybko przystąpiła do pracy. Danni, czując przyływ nowej energii, zaczęła nimi dyrygować. Potem przybyła doktor Clemmens. Kobiety szykowały instrumenty, jakieś płyny, a jednocześnie rozmawiały, śmiały się, żartowały. Wszystko robiły tak sprawnie, z takim opanowaniem, że patrząc na nie, Matt również się uspokoił.

Włożył maseczkę, którą dostał wcześniej od Carol. Tym razem, kiedy pocałował Danni w czoło, nie odpędziła go od siebie.

Wyglądało na to, że doktor Clemmens i Danni rozumieją się bez słów. Po prostu jedna skinęła do drugiej i w sali zapadła cisza. Danni nawet nie krzyknęła, gdy



jednym silnym parciem wypchnęła na świat idealnie uformowaną ciemną główkę. Podtrzymując ją, lekarka delikatnie obróciła maleńkie ramionka. Danni i Matt z zapartym tchem śledzili narodziny córeczki. Po chwili płaczące niemowlę leżało na brzuchu Danni, wymachując rączkami.

- Wykapana mama.
- Wykapany tata.

Powiedzieli to równocześnie i wybuchnęli śmiechem. Danni wzięła córeczkę w ramiona, Matt zaś podał jej palec; maleństwo odruchowo zacisnęło wokół niego rączkę i przestało płakać. Matt poczuł, jak przebiega mu po krzyżu elektryzujący dreszcz.

Jedna z pielęgniarek pochyliła się nad Danni i zabrała niemowlę; należy je umyć, zważyć... Matt ruszył za nią, jakby łączyła go z dzieckiem niewidzialna nić.

- Czy światło nie jest zbyt ostre? Czy nie razi dziecka w oczy?
- Czy on zawsze jest taki? - spytała pielęgniarka, zwracając się do Danni.
- Zawsze - odparła młoda mama i położyła głowę na poduszce, szczęśliwa, że o nic nie musi się troszczyć.

I w tym momencie go dojrzała - wielki srebrzysty księżyc w pełni, który lśnił na niebie. Księżyc, który był milczącym świadkiem narodzin nowego życia.

Jak zawsze podczas pełni zalała ją fala wspomnień. Kocham cię, Lizo, powiedziała w duchu do nieobecnej towarzyszki swoich dziecięcych zabaw, do siostry, której obraz stale miała w pamięci. Kocham cię i nigdy nie przestanę.

I znów łzy zawisły jej na rzęsach.

Patrząc zamglonym wzrokiem na nocne niebo, tym razem miała wrażenie, że księżyc się do niej uśmiecha. Że śle jej błogosławieństwo.

Doktor Danni Goodlove Creed spojrzała w róg sali, gdzie wysoki, silny mężczyzna o imieniu Matt stał pochylony nad śliczną malutką dziewczynką o imieniu Liza, po czym oparła głowę o poduszkę i uśmiechnęła się do księżyca.

Poczuła, że w jej sercu zagościł wreszcie spokój.

